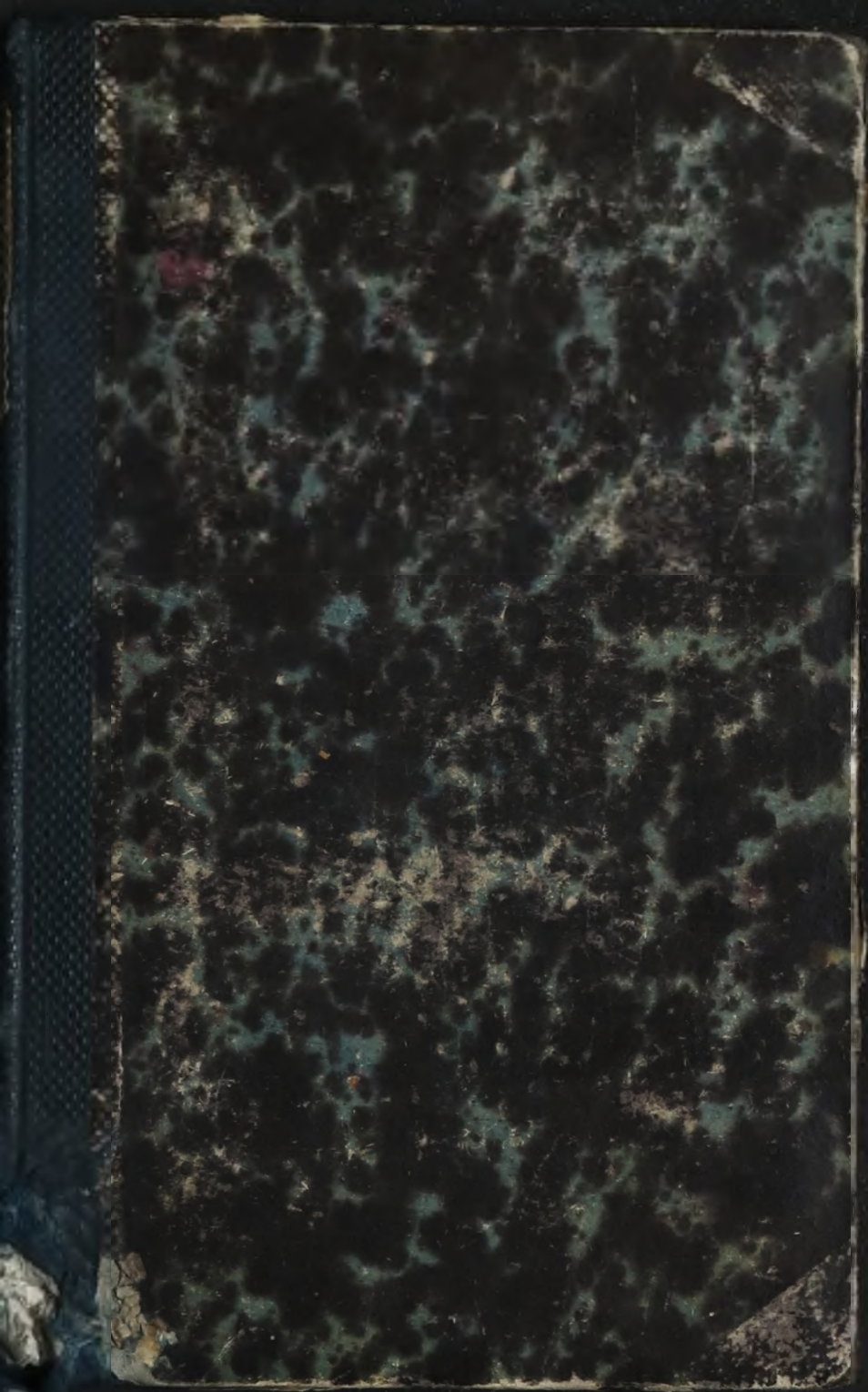
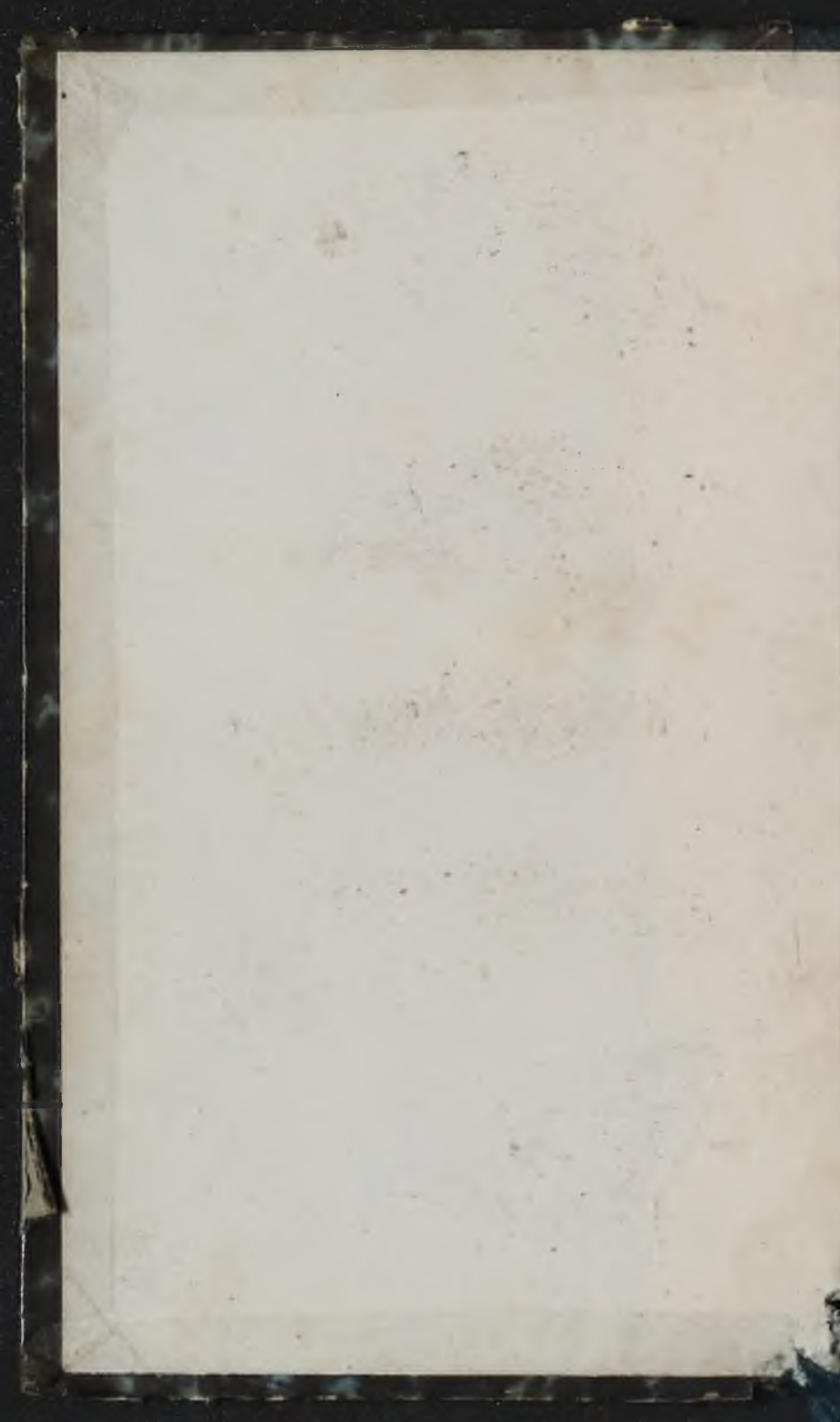
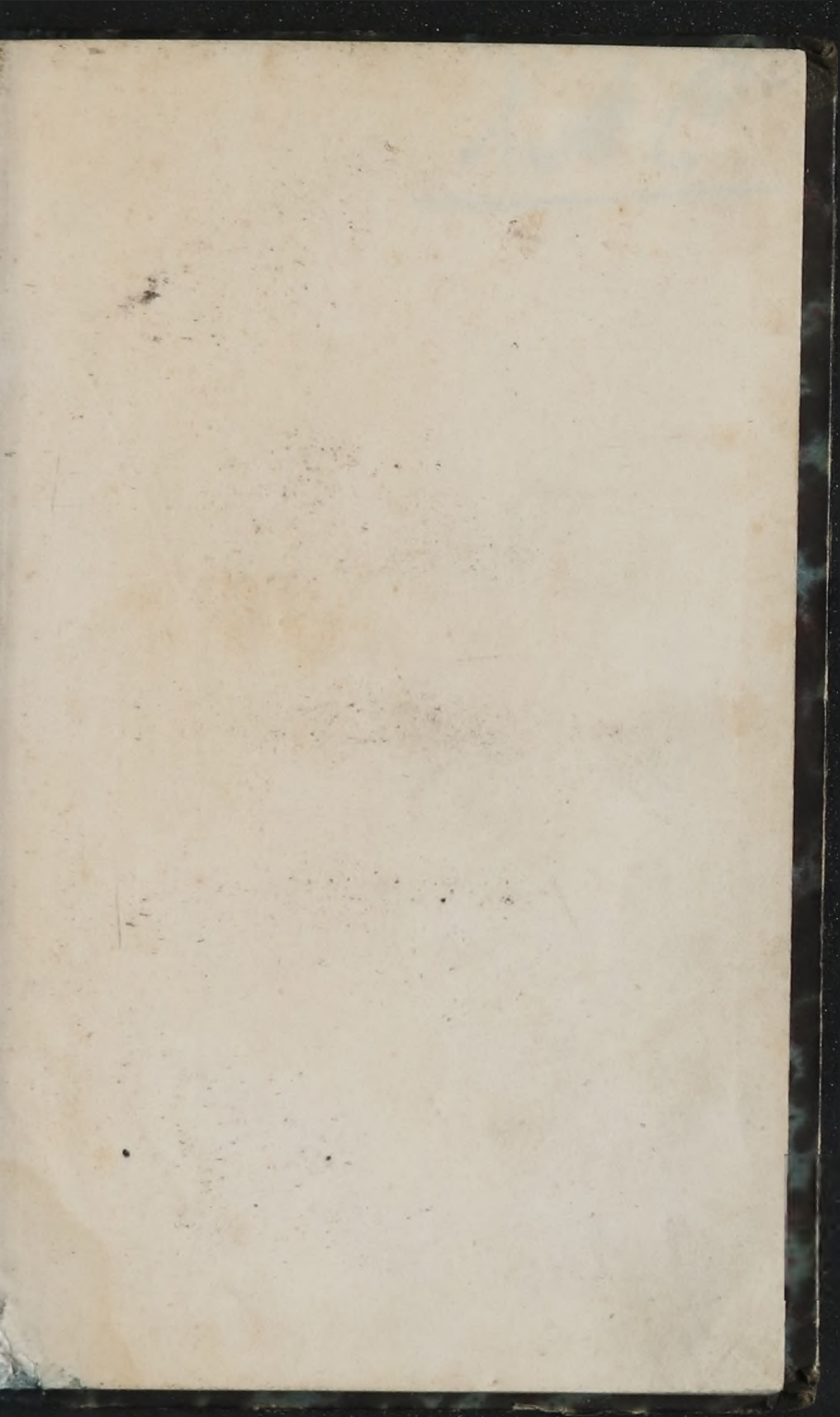








X.M.C.

9. 11. 12.

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM I.

POEZYE

STEFANA

GARCZYŃSKIEGO.



8-7

~~32883~~

~~13115~~

902



LIPSK:

F. A. BROCKHAUS.

1863.



Handwritten blue ink markings, possibly a signature or date, located on the right side of the page.

SPIS RZECZY.

WACŁAWA MŁODOŚĆ, POEMA.	Stronica
Część pierwsza.	3
Część druga.	45
Wizya, scena fantastyczna.	93
Nabożeństwo tegoczesne, scena fantastyczna.	103
Zdradca, powieść.	111
Ostatnie chwile samotnika.	115
Grobowiec na granicach Syberji.	121
W nocy jesiennej.	124
Elegja na śmierć Grabowskiego.	125
Z Lorda Byrona.	127
Chory na pogrzebie Miniona.	127
Strata zmysłów.	128
Śpiew starca.	131
Do—	131
Do imiennika siostry.	132
Do—	133
Do—	135
Cdpowiedź na list.	136
Na moje urodziny.	137
Śpiew.	137
W imienniku.	138
Chór strzelców.	139
Rozmowa.	140
Pierwsze słowo.	141
W nocy nowego roku.	142
Wspomnienia z czasow wojny narodowej polskiej 1831.	143
Sonety wojenne.	177
Król i germek, romans.	192
Reduta Ordona.	196

WACŁAWA DZIEJE.

POEMA.

The time is out of joint. — O cursed spite
That ever I was born to set it right!

SHAKSPEARE (*Hamlet*).

ADAMOWI MICKIEWICZOWI

NA PAMIĄTKĘ KILKU MIESIĘCY Z ROKU 1831⁵⁰ RAZEM W DREZNIE
PRZEPĘDZONYCH

POŚWIĘCA

PRZYJACIEL DOZGONNY.

CZĘŚĆ PIERWSZA.
WACŁAWA MŁODOŚĆ.

Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca,
Ludzkości całe ogromy
Przenikaj z końca do końca!

ADAM MICKIEWICZ.

WACŁAWA NIDBORSKA
KSIĘŻKA PIERWSZA

WYDAWANA W WARSZAWIE

W KSIĘGARNI "PROGRESS"

WYDAWCA: KSIĘŻKA NIDBORSKA

WARSZAWA, 1900 R.

I.

WIELKI PIĄTEK.

Milczą dzwony pobożne wieżycy wysokiej,
Jak usta skąpe w słowa, gdy myśl wśród pamiątek.
W strojny grób już złożono Zbawiciela zwłoki;
Lud bieży grób odwiedzić — święcić wielki piątek.

Smutno w kościele było — okna kirem czarnym
I ściany i obrazy zasłoniono kirem;
Ciche modły do koła — ten westchnieniem szczerem,
Łzą skruchy, albo datkiem kupuje ofiarnym
Przebaczenie za grzechy u świętego grobu;
Ten ufny że Bóg wznosi kiedy się uniżem,
Ustami proch całując, rozpostarł się krzyżem:
Kiedy krzyż dźwigać w życiu nie widział sposobu.
U ołtarza w zakonne odziani kapice,
W dwóch rzędach, zasępionych mnichów stoją chóry,
Przed nimi świec dwanaście, i palą się świece,
Słychać hymny żałobne za zwykłe nieszpory.

Z hymnami nikną światła — w kościele mniej jasno —
Świece jedna za drugą, po kolei gasną.
Lud czeka — już zgaszono — już ciemno się stało —
Jedyna lampa błyszczy na grobowe ciało.
Zapukano — czas wyjścia — lud tłumnie wychodzi —
I księża się ruszyli — i w komżach dwaj młodzi

Przodem księgi wynoszą — a rzędem za niemi
Sandały mnichów słychać jak biją po ziemi.

Wyszli wszyscy — w kościele samotnie i głucho.
Czasem tylko u góry świergocące ptaki
Uderzą skrzydłem w okna, szukając wylotu;
Cicho i ciemno — przecież bardzo czułe ucho
Mogłoby więcej przejąć — ktoś westchnął — kto taki?
Nie wiedzieć — może grzesznik z żalu i kłopotu
Został jeden, by dłużej opłakiwać mękę;
Może — ktoś idzie — to ksiądz — on jego dostrzeże —
Ale cóż mu westchnienie — uklęknął przy grobie,
Głowę schylił, pod ramię kładzie prawą rękę.
Wydobył książkę — rozwarł — przemówił pacierze —
Znów się chylił, nabożnie składa ręce obie,
I odrętwiałym głosem tak śpiewa przy grobie:

A gdy na krzyż przybili — sługi wszystkie w tej chwili
Suknie pana porwali z pośpiechem,
I dział każdy chce stroju — czy przez zgodę, czy w boju
Bo to u nich zabijać nie grzechem.
Ale płaszcz tam był pana, jakby chusta utkana,
Bo nietknięty ni igłą, ni nożem;
Więc mówili do siebie: by go nie psuć w potrzebie
Losy w koło na niego rozłożym.
I co rzekli to było — bo tak pismo mówiło:
Suknie łotrów rozszarpia mi zgraje,
Ale na płaszcz los padnie, jeden tylko płaszcz skradnie.
A tak dzisiaj to wszystko się staje.

Śmiech jakiś niespodziany — gwałtowny i dziki
Przerwał śpiewy pobożne — ksiądz schwycił krzyżyki
U różańca wiszące przy habita sznurze,
Schwycił, i głowę swoją zasłonił w kapturze.
Aż w końcu śmielszy w myśli, jak dowódca, który
Nim bój zacznie, szkłem zmierzy szyki nieprzyjaciół,
Spojrzał — i w znaku krzyża dłoń wznosząc do góry,
Już mówić jakieś słowa tajemnicze zaczął,

Gdy widzi, — gdy poznaje człowieka, w kształt głazu
 Stojącego opodal jak marmur smętarzy;
 Czarny płaszcz wisiał na nim — blady był na twarzy,
 Zdawał się być bez ruchu — czucia — i wyrazu.
 «Kto jesteś — mnich zawołał — czy cię złe obsiadło,
 «Człowieku! że chcesz wicherzyć spokojność klasztoru?
 «Milczysz — jeżeliś nie żywy — jeżeliś widziadło
 «Jest przedemną i w ciele tajny duch potworu,
 «Mam sposób — bicz na ciebie — czy znasz godło krzyża?»
 «Znam — krzyknął nieznajomy — wielka to obrona!»
 Rozśmiał się, i tym śmiechem, jak głaz Pigmaliiona
 Całowaniem ożywion — do księdza się zbliża —
 Czarny płaszcz swój zarzucił z ramienia na ramię,
 Z pod brwi, choć jasne oko, wypadł wzrok ponury,
 I rumieniec gwałtowny, chorych myśli znamię,
 Błysnął w twarzy, jak wstęga piorunu w mgłę chmury.

KSIĄDZ, poznawając nieznajomego.

To ty młodzieńcze tutaj?

MŁODZIENIEC.

Krzycz — żegnaj — przeklinaj!

Duch stoi — jako waszych kościołów wieżyce,
 Choć deszcz leje — grzmiały nieba — palą błyskawice,
 One stoją — nuż śmiało egzorcyzm zaczynaj.
 Tylko pomnij że płaszcz mnie słów więcej nie mam,
 Ze choćbyś drgał językiem, jak wicher potokiem,
 Jam zawczasu ten potok zbadał myśli okiem,
 I płaszcz twój czarodziejski zdarł myśli zębami.
 Że żartuję —

KSIĄDZ.

Młodzieńcze! nie bluźń nadaremnie.

Takież to odebrałeś nauki odemnie,
 Na tożem cię wychował, ażebyś w kościele,
 W dzień dzisiejszy, przy grobie Zbawiciela świata,
 Bluźnił wiarę najświętszą?

MŁODZIENIEC.

Poznaj się w twem dziele!

(Z ironią.) Tyś mój mistrz!

KSIĄDZ.

Słuchaj tedy — burzliwe są lata
 Młodości — wiele ludzi na zawsze w nich ginie.
 Jam to wiedział — jam ciebie chcąc zbawić jedynie,
 Chcąc ratować —

MŁODZIEŃCIE, przerywając z zapalem.

Na zawsze zgubił bez ochyby.
 Tłało we mnie przecucie wolności szlachetnej,
 I mocne miałem ramię i do czynów dzielność;
 Tyś mi odgadł mą duszę — miałem w myślach szyby
 Do przejrzenia — tyś przejrzał i jak dąb stuletni
 Upadkiem strzaska drzewka — Bogaś nieśmiertelność
 Spuścił na mnie, na duszę, myśl strzaskał ogromem:
 Wzgardziłem tem co dawniej w oczach stało bóstwem,
 Ojczyzną i miłością, przyjaźnią i domem,
 Otoczyłem się waszą pokorą, ubóstwem;
 Jam wiarą waszą świętą jak tarczą się składał —
 I cóż stąd? jam nareszcie wiarę i was zbadał.
 Chcecie, pokory suknie zawdziawszy na pychę,
 Zamieniając pałace na ustronia ciche,
 W duszy gmachach zarządzać — i chatą i tronem;
 Mieszkańców ich jak ptaków łapiąc w szpon sokoi,
 Sami zimni — bez serca — męczyć, gryźć dowoli?
 Chcecie, martwi — spokojni jak klasztoru ściany,
 Na czas nieczuli, jako na pył śmierci wianek,
 Patrzeć zimnawo na lzy, gdy kto łzami zlane,
 Albo gdy ginie człowiek — wolny lud — kochanek? —
 Wam wolność, miłość niczem — płakać nie myślicie.
 Jleż razy wam w duszy złorzeczyłem skrycie!
 Wyrwałem się na koniec! — lecz czarowne słowo
 Wiary waszej i klątwy i modlitw i sztuki,
 Wisiało, jak na włosie miecz, nad moją głową.
 Drżałem żeby nie upadł! — dziś czas — dziś nauki —
 O! dzisiaj już inaczej — rozumiem was mnichy —
 Dzisiaj — żarty to żarty — wszystkich was zbadałem
 W głos pytam: gdzie jest słowo co się stało ciałem?
 W głos krzyczę: wiara wasza jest to dziecko pychy.

KSIĄDZ.

Panie, odpuść mu, bo on sam nie wie co robi.

MŁODZIEŃCIEC.

Tys rzekł. tylko za mało! Panie: serce dobij,
Ktorem tak ciężko zranił: oto treść modlitwy.
Wy mnichy, wy myślicie, że choroby, bitwy
Tylko człowieka gubią!

KSIĄDZ.

Na krzyżu rozpięty,
Natchnij go mocą swoją, i przywróć mu zmysły!

MŁODZIEŃCIEC, patrząc na grób.

Jezus Chrystus — znak krzyża — znak ofiar — znak święty!

(Z uniesieniem.)

Czemuż krwi twojej krople na ludzi nie prysły,
I mózgów im nie spalał wieczystem zażewiem?
Ot twój sługa — tys cierpiał, jak żaden z śmiertelnych,
A ten śmierć twoją święci w kantyczkach kościelnych,
I żyje, i szczęśliwy — spokojny — jak nie wiem
Żadnego szczęśliwszego!

KSIĄDZ.

Grzesznicy my, prawda,
I bardzo grzeszni ludzie — lecz za to pokora —

MŁODZIEŃCIEC.

Jutrem odkupujecie grzechy wasze z wczora.

(Udając głos kędza.)

A dziś do was należy: grzesznicy my prawda!

KSIĄDZ.

Nie bluźń, nie bluźń młodzieńcze — któż ogród potępi,
Dla tego że w nim drzewo spruchniałe lub chore?

MŁODZIEŃCIEC.

Kto dom przeklnie, ja pytam, gdy dom z wszystkim zgore,
Albo sępów, gdy z głodu: siebie pożrą sępi?
Ot słuchaj — dom ten dusza — tys podłożył ogień;
Ot słuchaj — sępem człowiek — kiedy w duszy świta!

A obca przemoc — wiara — myśli, jak jelita
 Wydzierając mu z głowy, głowę w proch mu dognie.
 Cóż za dziw, jeśli biedny człowiek przy upadku,
 Widząc i sił zniszczenie, i niemoc swych chęci —
 Jeźli cierpiąc, tysiące w koło męczeństw wkręci,
 Albo wzniosłszy kark nad was, plunie na ostatku.

KSIADZ.

Szalony, milcz na Boga!

MŁODZIENIEC.

Milczyć? toć milczałem:

Długo i bardzo długo — dziś mówić przychodzi.
 Dziś krzyczeć będę, słyszysz, krzyczeć gardłem całem!
 Chciałbym po słów mych fali, na myśli mych łodzi,
 Z duszą moją żeglować i wpędzać się w dusze.
 Niechajby moja mowa, jako bystra rzeka,
 Wszystkie strumienie myśli korytem swem zlała!
 I zleje — bo ja myśleć — bo ja mówić muszę.
 Słuchaj, z duszą mą wpadnę w głąb serca człowieka,
 I jak szkło młota gromem, wiara pryśnie cała.
 Mówić mu chcę wolności świętymi słowami,
 Mówić mu chcę niemowląt — nieszczęśliwych łzami,
 Krzyczyć nad nim, jak matka nad śmiercią dziecięcia,
 Gdy je z pod piersi matce, wyrwie ptak straszliwy;
 Zaklnę go na najświętsze uczucia zakłęcia,
 Na śmierć ojca, na przodków szereg nieszczęśliwy.
 Niech wszystkiemu zawierzy — wam jednym nie wierzy!
 Bo wy słudzy nikczemni, zamiast Boga słudzy,
 Wy, kiedy ludzie giną, męczeni są drudzy —
 Wy, jakby to nie ludzkie trafiło przygody,
 Choćbyście jednym słowem krwi wstrzymali strugi,
 Patrząc zimnem okiem jak giną narody,
 Ledwie trupom oddając ostatnie przysługi.
 Toż więc jest wiara wasza? na to macie władzę,
 Aby cnót się wyrzekłszy, dawać przykład zbrodni?
 Nikczemni ludzie! boskich przydomków nie godni!
 Od mleka matki waszej ziemi was odsadzę,
 Kiedy litości ziemskiej, cnót w sercu nie macie.
 Wyprą się was rodzice, jak wy się wyparli,

I siostry, przyjaciele, i brat was po bracie
 Kłąć będzie, i tam z grobu powstaną umarli, —
 I kłąć będą, i wołać o zemstę wszechwładną —
 I głowy wasze w końcu pod żelazem padną,
 A wiara — —

KSIĄDZ.

Stój! — nic więcej!! —

Zegar bił w tej chwili

I na hymny wieczorne księża nadchodzili.
 Twarz swoją nieznajomy płaszczem więc osłonił,
 Coś jeszcze prędko wyrzekł, zwrócił się z pośpiechem,
 Idzie — krok nagli — śpieszy — nim zegar wydzwonił,
 Trzask drzwi mocnem się odbił o sklepienie echem.

II.

POWRÓT Z KOŚCIOŁA.

Zachód się blaskiem purpurowym pali,
 Jako żar węgla, chmury błyszczą w dali,
 Już słońca nie ma — po dziennych mokołach,
 Wieśniak znużony powraca do domu;
 Jest co zastawić, jest usłużyć komu,
 W chatce ma żonę, dostatek w stodołach.
 Szczęśliwi ludzie zagrody ubogiej!
 Macie skarb wielki, nie żądając więcej.
 Cóż, że na palcu błyszczy kamień drogi,
 Że skrzynie ciężkie krociami tysięcy,
 Kiedy myśl, dusza w ustawicznej wojnie?
 Wam dni i nocy mijają spokojnie:
 Nie chciwi sławy, nauk nie żądliwi,
 Zdała od świata żyjecie szczęśliwi!

Lecz co za tentent — patrz — krzyknęły dzieci,
 Że jakiś czarny jeździec przez wieś leci.
 To on — pan młody — wybiegają z chaty
 Widzieć go; bo on rzadko jest widziany.
 Na czarnym koniu, sam czarno ubrany
 W cwał leciał, dziko rozpuściwszy szaty —
 Płaszcz jego czarny, jako skrzydło ptaka
 Wiatr pod się chwytął — a piana rumaka,
 Pęd jego nagły, nozdrza rozognione,
 I jeźdca oczy na dół pochylone,
 Że wracał gniewny i śpiesznie, świadczyły.
 Przeleciał wioskę — drogą tylko pyły
 W kłęby się wznosząc z piasku ciemnej chmury,
 Długo wisiały jak orle pazury,
 Nim ptak drapieżny ciała swego brzemię,
 Znużony wiatrem, opuści na ziemię.

Tak uczą gminnych poetów ballady,
 Że w dzień zaduszny o północnej porze
 Duch świeżo zmarłych z wysoka zejść może,
 I dzielić z ludem zastawne biesiady.
 W chmurnym on, mówią, z nieba ciągnie dymie,
 Z gęby żar ognia płomieniem wybłyska,
 A czyje najprzód wywoła on imię,
 I czyje najprzód wywoła nazwiska,
 Tym lub przekleństwo, albo śmierć jest bliska.

III.

SNY PROROCZE.

Śpią wszyscy — w całej wiosce milczenie grobowe —
 Jeden jest tylko człowiek, który spać nie może.
 Oczy jego biegają, niby czujne stróże,
 Dzikich marzeń, które mu zawichrzyły głowę.

Myśli jego, na wieki potępione więźnie!
 Gdy wioska cała w miękkim spoczynku zagrzeźnie,
 I sen, jak chmury niebo, zaszuwa powieki:
 Podróżny go spotyka u spienionej rzeki,
 Leżącego na brzegu; albo też u wzgórza,
 Gdzie rozpadlin bez liku, bystrej wody ścieki,
 On się w bystrzejszych myślach — dumaniach zanurza.

Wacław jest imię jego — lecz ojców nazwisko,
 I herbów rzędy zwykle milczeniem pominię
 Z przodków wstawionych może od trzech wieków blisko,
 Nie jeden za brzeg Elby, za Dniepr i za Dźwinę,
 Dosięgając orężem, obcym był znajomy;
 Nie jeden w radzie siedział i sławnym był w radach.
 Wiele mówić o jego dziadach i pradziadach;
 Jednem słowem: Wacława wielkie rodzą domy.

Czyny z ducha wynikną — ale i krwi związki
 Pokoleniem tajemnie zarzekają ducha.
 I jako kiedy dębu spadnie gałąź sucha,
 Z niej pewno nie wyrosną zielone gałązki;
 Jak z nocy, choćby trwała czasy nieskończone.
 Światło nie błysnie, ani gwiazda się zapali;
 Jak z struny, choćbyś długo w jedną brząkał strunę,
 Głos nie wyjdzie dźwięczący harmonijnej skali;
 Tak człowieka duch, myśli, czyny, przewinienia,
 Są dźwiękiem różnych śpiewów, pieśni tajemniczej,
 Którą długo tworzyły całe pokolenia,
 Którą echem tajemnem, późny wnuk dziedziczy.

O syna dziwnych losach, sny poroczcie wcześniej
 Ostrzegały Wacława matkę przed pologiem.
 Widziała chmury, niby czarne byki we śnie,
 Co rycząc jako gromy, błysk ciskając rogiem,
 Uderzały na siebie — i jak morze w burzy,
 To raz piętrząc swe wody, okręt w niebo miecie,
 To znowu przyczajone, na spłaszczonym grzbiecie
 Okręt aż do mielizny, w piasku dna zanurzy,

Tak one rogi swoje raz wspięły wysoko,
 Aby ich żadne ludzkie nie mogło dojść oko;
 To znowu karki niżąc, ostrym zębem roga
 Z dołu sieką, prą, gonią ryczącego wroga;
 I nie tak błysk za błyskiem leci w pędzie dzikim,
 Jak rogiem najeżonym ścigał byk za bykiem.
 Tak jej się we śnie zdało; w tem z góry czy z dołu
 Niewiedzieć jakiś nowy olbrzym w szranki bieży;
 On jeden pragnie walczyć; zbyć wszystkich pospołu:
 Był to człowiek jej znany, z twarzy i odzieży;
 Młody, miły, powabny; wielki miecz miał w dłoni,
 Jasną zbroję na piersiach, przyłbicę na skroni.
 Zaczęła płakać matka, wyciągnęła dłonie
 Ku niemu, lecz na próżno — on nie widział matki —
 Wyciągnęła ku niebu. — Bóg przyszłe wypadki
 Skrył w zastanie.

Drugi raz sen był inny — śniła się jej łąka,
 Którą zdobyły kwiaty i ptaki i trzody,
 Wszystko piękne, piękniejszy jednak pasterz młody,
 Siedzi obok kochanki, i na lutni brząka.
 Chłodem tchnęło powietrze, słońce błyszczy mile,
 Ptaki śpiewem, pasterza powtarzały tony;
 Aż nagle wieher zawył — przeciągły motyle
 Z wschodu w zachód, i było ich jak myśli tyle,
 Różne, kraśne i w wstęgach jak pawie ogony.
 Spojrzała na dół matka — gdzieś znikła kochanka,
 Pasterz tylko sam jeden błądził po tem polu,
 I plótł wieniec, lecz zamiast kwiaty brać do wianka,
 Brał pokrzywy — chwast — oset — i liście kąkolu.
 Gdy skończył, wieniec włożył sobie sam na czoło,
 W ręku strzelbę ognistą piastował za lutnie,
 I spoglądał ku niebu dziko i okrutnie,
 I na głos śmiać się zaczął — ale nie wesoło,
 Rozpaczy jednej tylko takie jest rozśmianie.
 Długo czekał — noc przyszła — znów błysło zaranie,
 A z niem z chmur jakiś orzeł wyleciał straszliwy,
 Szpony nad nim zawiesił, okiem mu był w oko,

Pióra jego groźniejsze były od lwa grzywy,
I olbrzymem się zdawał, choć wisiał wysoko.

Widziała matka walkę — zwarli się zarazem
Jeden groził szponami a drugi żelazem,
Młodzieniec pierwszy strzelił i krew z orła boku
Prysnęła nawałnicą jako deszcz z obłoku;
I orzeł na dół zleciał, ale swoje pióra
Jak wachlarz roztoczywszy przed obliczem słońca,
Skrył ziemię czarnym puchem, od końca do końca,
A w głowę dumną wroga wcisnął ostrz pazura.

Takie były sny matki, Wacława proroki.
W sny nie wierzym; lecz często i znaczą nie mało:
Gdy oczy noc zasunie, martwe leży ciało,
A duch zbywszy zmysłowej, émiącej go powłoki,
Na granice przyszłości lekkim skrzydłem wzleci,
Okiem twórcy, na wszystkie spojrzy swoje dzieci,
I w zmysłów chmurę znowu obleczony wcześniej,
Tem okiem i w tej chmury tęczę rzuca we śnie.

Dzień Boga narodzenia był i dniem Wacława.
Później gdy wyrósł chłopiec, czy jego chęć dzika,
Czy myśli religijne, matki snów obawa,
Dały powód — to mniejsza — habit zakonnika
Włożono Wacławowi, zamknięto w klasztorze.
Śród murów rośło dziecię i piękne i choże,
Jako owa roślina co w cieniu dojrzewa,
Gdy inne w słońcu tylko kwitnąć mogą drzewa;
Opuścił klasztor z czasem, nie wiem w jaki sposób,
Chociaż znajomych jemu wiele znałem osób.
On często — później jeszcze — zwyczajnym nałogiem,
Samotny lubił jeździć do klasztoru swego;
Dla czego? nie powiadał nikomu dla czego.
Może lubił samotnie mówić z panem Bogiem,
Może Bóg go natchnieniem czasami obdarza;
Może głośniej przemawia grobowiec smętarka,
Kościół pusty, szmer liści, lub strumienia mruki,

Do serca czującego, duszy skołatanej,
 Nad świat pełny — trzask ludzi — książki i nauki.
 Bez tchu — blady — w noc późną — i łzami zalany,
 Wracał z klasztoru zwykle — wtenczas pióro chwyta,
 W oczach jego myśl jakaś dzień zaczyna skryta —
 Były to chwile wieszczą, zachwycenia chwile.

Mnie dziennik podpadł jego — na czele dziennika
 Czytam wiersz — myśli dumne — pieśń, melodia dzika
 Ale silna, zaświadcza o wewnętrznej sile.

O D A

NA CZELE DZIENNIKA WACŁAWA UMIESZCZONA.

Geniuszu! ty jeden nie opuść mnie w życiu!
 Skrzydłem twem boskiem obwiewaj mą duszę,
 A śpiewać będę, i śpiewem poruszę,
 Siły tajemne, choć w piekła ukryciu!

Kiedy chmury jak duchy powietrznego gmachu,
 W olbrzymich kształtach, odzieniem ciemnoty
 Niebo zakryją — zadrży świat w przestrachu,
 Niechaj mnie wzniosą skrzydeł twych poloty
 Tam w chmury czarne —
 Pieśń i tam zadźwięczy;
 A okiem tęczy,
 Chmury w krąg ogarnę!

Geniuszu! gdy burza ześle wiatry mściwe
 I niebo morzem ognia się zapali,
 Chcę jak rumaka schwycić fali grzywę,
 I twojem skrzydłem popędzić na fali!

Niechaj nadpowietrzne żagle
 Serce moje, duszę wzmogą;
 Wiatry zdepcę moją nogą,
 I do jarzma wiatry znaglę!

Geniuszu! gdy ludzie uśpieni bezwładnie
 Od burzy legną, co zmysły ich głuszy,
 Śpiew ty mój natchnij! a z duszy
 Jak słońce w oko, śpiew mój błyszcząc, wpadnie.
 Wszystkie siły wstrząśnie na dnie,
 Wstrząśnie cały świat uśpiony,
 Jako lutni mojej strony
 Kiedy niemi ręka władnie!

Geniuszu! ty i piersi natchniesz zemsty pieśnią,
 I śpiew mój będzie czuły, jak płacz matki,
 Mściwy, jak w piekle zemsty sobie nie śnią,
 I ludzie — nieho — staną mu na świadki:
 Jako sercu, myśl wysoka,
 Jako myśli, czynów dzielność,
 Jako czas — pieśniom proroka,
 Jako prawdzie — nieśmiertelność!

A gdy przyjdzie godzina, wieszcz słaby zaginie,
 Geniuszu! ty i śmierci bądź moim aniołem,
 Niech życie kończę, jak życie zacząłem,
 Życie i śpiew mój, ach w jednej godzinie!
 Niech ostatnie głosy moje,
 Jak dźwięk lutni w echa brzmieniu,
 We śnie miłym tam dostroję,
 Tam dosłyszę — w przypomnieniu?

IV.

N A U K I.

Przyjemną była wioska rodzinna Waclawa.
 Dworzec ojca mieszkalny, wspaniała wystawa;
 Budowę staroświecką przedrzeźniając wieki,
 Stał na górze o podał wielkiej, spławnej rzeki.
 Dwa skrzydła i dwie wieże wyrastały z dworca,
 Z obydwóch wiewał przez dzień biały znak proporca,
 Godło bytności pańskiej — a gdy po zachodzie
 Wiatr, chmury rozpędzając, zatlił blask wieczorny,
 Z obydwóch widzieć było na obłoków spodzie
 Meteorem błyszczący — krzyż wieży klasztornej.
 Klasztor to był fundacyi Waclawa pradziada.
 Grono ojców wielbnych świętego Bernarda,
 Liczne cele wypełnia i zakon ten składa:
 Znane jest ich ubóstwo i świata pogarda.
 Tamto w dziecinnych latach Waclawa zamknięto;
 Tam — choć kościół daleki — pobożna gromada,
 Ze wsi śpieszy obchodzić każde wielkie święto.

Trzeci dzień wielkanocy przemijał z wieczorem,
 W tysięcznym osiemsetnym dziewiętnastym roku.
 Chłopi drogą wracali w posuwistym kroku
 Z niesporów dnia świętego — a w rzece — za dworem,
 Prócz trzciny wiatrem kwietnia lekko kołysanej,
 Albo jaskółki rychłej co wodę przelata;
 Cicho. — Inaczej w dworcu — krzyk wypadł z za ściany,
 Przytłumiony lecz mocny — to jego komnata,
 Jego głos — przecież nikt mu na pomoc nie bieży.
 On pracuje — bo dawno światło w oknie mruga,
 Słychać ilekroć nogą w posadzkę uderzy,
 Widzieć przez okno — zdala — jakaś postać długa,
 To cień Waclawa — widny w szybach zwierciadlanych
 Jak w przezroczystem niebie słup tumanów rannych

Znów głos — woła służących — wierny wchodzi sługa;
 «Ciemno! nie dosyć światła — czyż na ogniu zbywa?
 «Zapalić drugą świecę, trzecią świecę, czwartą!»
 Uciał — ale wzrok podniósł — ową broń wypartą
 Z duszy — która jak gwiazda błyska nieszczęśliwa.
 Zadrżał przełękły sługa; bo choć pan łaskawy,
 Takiego coś ma w mowie, takiego coś w oku,
 Że gdy spojrzy, nikt nie śmie dotrzymać mu kroku,
 Że gdy mówi, drży sługa jako liść z obawy.

Już w trzech lichtarzach światła zabłyśły na stole:
 Jemu ciemno — «Niech ogień zagrzmie całą siłą
 Tam» na komin pokazał — i w gardle komina.
 Świeci — dym się ulatnia w czarnych kłębow kole,
 Ogień buchnął, skier tysiąc powietrze rozcina:
 I w pokoju się wszystko razem wyiskrzyło.

Z rozwartych ksiąg na stole, czarnych liter półki
 Wyrzały, jak z pod śniegu pnie zgorzałych borów,
 A z szaf liczne narzędzia, maszyny, ampułki,
 Służące do fizycznych, chemicznych rozbiórów,
 Raz pierwszy z pleśni kurzu krwawą świecę łuną.
 Dwa tylko twory inne — czaszka martwa trupa,
 Błada, między księgami, jakby kawał słupa,
 Który z marmuru cięty wznosi się nad truną,
 I twarz blada Wacława — ona jak śnieg góry,
 Światłem się nie maluje, dymem się nie plami:
 I kiedy myśli czasem w kształt przechodniej chmury
 Zawichrzzone ze sobą w wewnętrznej niezgodzie,
 Po twarzy się przesuną jako wiatr po lodzie,
 Nikną na niej. — Dziś jednak — widać w jego chodzie,
 (Bo gwałtownemi mierzy komnatę krokami,
 I pot z czoła mu spada gwałtownemi łzami);
 Że ta bladeść jest czucia gwałtownego świadek.
 Włos spadał mu na czoło w dzikim nieporządku,
 A wzrok jego? — tak czasem okiem dziko strzeli,
 Że gdybyś chciał aniołów malować upadek!
 Owych przed światem jeszcze nieba wichrzycieli,
 W jego oku szatańskich myśli badaj wątku.

«Ciemno jeszcze — daleko ciemniej niż z początku,
 «Okna wszystkie otworzyć!» — i okna otwarte —
 I chustkę z szyi zrywa — duszno — suknie zrywa,
 nów stanął — nagle księgę przed sobą rozłoży,
 Ciekawie okiem śledzi rozpostartą kartę,
 I jakby wyrok jego na niej odpoczywa;
 «Eritis sicut Deus» przeczytał znów czyta —
 Milczy — ale myśl jego jak magnes żelazem
 Rozdrażniona słowami — jak strumień alpowy
 Pędzi, gdy go raz wypchnie z góry moc ukryta;
 Jak koń spięty ostrogą mknie na wiatr kopyta;
 Tak myśl jego wzbudzona tym jednym wyrazem,
 Na skrzydłach oka rwie się z zadumanej głowy,
 Pewna swojego lotu, jak orlica z gniazda.
 Zaiskrzyły się oczy — widzi ogrom świata,
 Przeszłość — przyszłość! — z trzech liter wybija się gwiazda
 Pędzi za nią — wzrok podniósł — do góry ulata —
 Zadrżała — on ją okiem dogonił na niebie —
 W niebie — w ziemi — on jeden — on Bóg — on zna siebie
 Wstaje — myśli że głową obłoków dostanie,
 Że wielki!! — Kiedy nagle z rąk mu pada księga,
 W duszy coraz to mniejsza przestrzeń widokręga,
 Przed okiem znowu tylko pokój — księgi — banie!
 Wszystko tak, jak przed chwilą; sługa przy drzwiach czeka;
 Na stole świece — ogień skry do koła ciska —
 A dusza! — dusza która Boga była bliska,
 Jako pielgrzym do domu, wraca w kraj człowieka!!
 «Precz mi z oczu,» drzwi wskazał — sługa na znak idzie.
 On nie zniesie ażeby człek go jaki w wstydzie,
 I to przed sobą samym, przydybał z nienacka.
 Gdy wyszedł, znów krokami zadrżała posadzka,
 Wacław samotny chodzi — «niechaj gmin zwyczajny
 «Serce swoje jak papier na jaw pokazuje!»
 Wacław inny — im większą boleść w sercu czuje,
 Tym bardziej w słowach skąpy, w myślach swoich tajny:
 Przejrzyć go jednak można! spojrzij mu w oblicze,
 W oczy, na usta jego — i choć świadkiem gardzi
 Myśli swoich — wysledzisz myśli tajemnicze;

Wyszędzisz, że od ludzi, cierpi, czuje, bardziej.
 Oczy ma jasne — przecież jakaś mgła, powłoka,
 Jakoby w żalu ciągłym wieczna łza stopiona,
 Spojrzenie mu łagodzi, żar mu studzi oka.
 Na usta śmiech nie zbłądzi — ale nieraz z łona
 Dawniej może z potrzeby, dziś zwyczajem częstym,
 Westchnienie się wyrывa i na ustach kona.
 Czoło jego ściemnione spadkiem włosa gęstym,
 Krok wolny — twarz bladawa — i zwyczajne szaty
 Czarne i zaniedbane dodają żałoby.
 A kto słyszał głos jego, gdy mówi — i ktoby
 Ludzkie serce rozumiał, ten zrozumie postać.
 Lecz myśli jego tajnię, daremnie kto bada;
 Jak z przepaści nic z niego nie można wydostać;
 Gdy kto mówi do niego, krótko odpowiada,
 Sam nigdy nie zaczepi — dla czego? — nikt nie wie.
 Czasem słów kilka znanych z pism lub ojców świętych,
 Z dumą rozumnym ludziom prędko rzeknie w gniewie,
 I zamilknie — czasami nie skończy zaczętych,
 Jakoby słów żałował — może bydź że z dumy,
 Albo że głupstwem mieni zwyczajne rozumy.
 Był czas i on pracował — nie raz zorze ranne
 Bezsenne zdybały przy książek czytaniu,
 A gdy późno w noc usnął, wstawał o świtanu.
 Znękały go zapewne prace niustanne,
 Bo później długo w rękę żadnej książki nie brał.
 Dziś znów szal przyszedł dawny — nad stołem od rana
 Zasiadł i tysiąc książek prędką dłonią przebrał,
 Czytał i składał znowu — do skąpca podobny,
 Któremu choć na rozkaz skrzynia złotem tkana,
 On się z tem złotem zamknie, jak pajak osobny,
 I liczy i przelicza, lecz chleb suchy gryzie.
 Jedna przecież w Wacławie wielka jest odmiana:
 Dawniej — myśli powagą ksiąg trzymane w ryzie,
 Nie wznosiły rokoszu chociaż jarzmo czuły;
 Dziś inaczej — sam siebie w odmiar nauk kładzie,
 I jak śmiało rozdarłszy ornaty i stuły.
 W serce, w czyny religii posłanników wgląda,

Tak dziś nauk zdarł formę, i w myśli osadzie,
 Nie sentencyi, nie zabaw — prawdę znaleźć żąda.
 Żąda, lecz nie dostrzeże, chyba cień za ciało,
 Kreski planów za gmachu węgielne kamienie;
 Osobno mur do niego — dach — ściany sklepienie,
 A gmach? — na powiązanie gmachu rąk nie stało.

Czuł to Wacław — czuł więcej — bo dumne nauki,
 Jako w białosć papieru nasadzone druki,
 Splamiły mu niewinność — serce mu wykradły:
 Tak mówią, że na ludzką krew upiór zajadły,
 Gdy ofiarę wybierze z której soki pije,
 Gfiara umrzeć musi — lecz zmarła, ożyje,
 I mordercy swojego postępując torem,
 Znów niewinnych krew chłepcąc, staje się upiorem.
 Tym jest rozum nabyty, alboliteż raczej
 Tym przez rozum z krwi dusza wyssana, człowieka;
 Jaka śmierci opieka, taka jej okieka;
 Komu serce drga w piersiach temu nie przebaczy:
 Czujesz świata cudowność, i myśl w świecie bożą?
 Nauki ci świat, boga, na części rozłożą;
 I poznasz błąd twój dawny — kiedy niebo gromy
 Ręką rzuca olbrzymią, błysk świeci po błysku,
 To chmury trą się z sobą — a co chmury, niebo,
 Fizycy wytłómaczą, wiedzą astronomy.
 Kochasz się — patrz czy miłość przyniesie co w zysku,
 Gdy nie — miłość jest głupstwem bo pieniądz potrzebą.
 Masz przyjaciół, ojczyznę? jeżeli kraj cię wzywa,
 Rozpatrz się jakie cele, korzyści i skutki;
 Czy co zacząć dokończą, czy pora szczęśliwa,
 Czy po nagłej rokoszy nie nadejdą smutki;
 Inaczej — niechaj inni krew swą marnie leją,
 Tobie lepszej przyszłości cieszyć się nadzieją!

Wacław przecież za dumny, aby nakształt węża
 Zatruiwał jadem złego niewinności serce:
 Toć on sam w pomoc książki nie wziął lekkomyślnie!
 Kiedy blask wiary dawnej zciemnili mu księga,

Myslił tedy, że z nauk iskrę po iskiecie
 Zsypując, znowu światłem jasnym duch zabłyśnie.
 Oszukał się okropnie! — rozumowań słowa
 Słyszał ciągle — w nich jakaś treść — ziarno — osnowa,
 A duszy ani śladu — Czasem, niecierpliwie
 Rzucając książkę z ręki, wołał na głos cały:
 «Gdzież jest bóstwo, które ja w piersiach moich żywię?
 «Przyjaźni zapal — miłość — wolności zapaly,
 «I myśl co człeka tworzy i różni od zwierza?
 «Gdzie jest Bóg, stwórca świata?» — Książki nie wiedziały!
 One jak taktyk stary, gdy wojnę zaczyna,
 Zwycięstwo liczbą kreśli — ustawi żołnierza,
 Ale mu wiara wyższa nie staje jedyna.
 Wiedzą ile jest zwierząt, zkąd która roślina,
 Tylko czeni zwierzę, kwiatek; czem człowiek — nie doszli,
 Byli i tacy prawda, co innych przerosli
 Myślą o rzeczach wyższych, lecz w ich nauk szkole,
 Kto wytrzyma? — gdy w słowa myśl — jak w nurt potoku
 Ziarno zboża rzucone, tonie — a na dole,
 Na dnie choćby i rosło — nie dojrzeć je oku!

«Rozbrat więc z niemi wieczny,» — pomyślił — wykona.
 Wacław czucia i myśli na frymarkę nie ma:
 Raz jeszcze w świat ów martwy zatoczył oczyma,
 Dzisiaj — i nic nie znalazł — dusza przesilona,
 Kurzem już żyć nie może, głupcom ku podziwie.

Z pogardą więc pchnął stół ręką niecierpliwie,
 Słowa na wpół ucięte, niewyraźne zrazu
 Chwilowo usta miecą, aż w głosie pomalu
 Wyraz się coraż bardziej łączy do wyrazu,
 Z dumań wypada mowa — jak deszcz śród upału:
 «Niechaj mól życie nędzne w starych księgach pędzi,
 «Niech się w kartę zbutwiała z ciekawością wżera,
 «Moja ręka napróżno tysiąc ksiąg otwiera,
 «I warzy doświadczenia z tysiącnych narzędzi.
 «Któż jak ja, z potem czoła, męczył się i czytał?
 «Dziś gdym na równi z wami, gdybym się zapytał
 «Czegoście nauczyli i co sami znacie,

«Wstydby wam czoło, serca i rozum wypalił,
 «Jeśli wstyd znacie jeszcze — wam, gdybym się żalił!
 «Zamknijcie księgi dumne, i w nauk warsztacie,
 «Na każdej ścianie, każdej książkowej okładce,
 «Zapiszcie jedną prawdę — wypadek zagadce;
 «I ja z wami zapiszę: że człowiek zrodzony
 «By wszystkiego dociekał, sam niedocieczony!

CHÓR MŁODZIENCÓW w oddaleniu.

Hulajmy, hulajmy — póki w worku grosze,
 I dziewczyna, jak malina,
 Młodości po trosze — młodości po trosze.
 Tańczymy, tańczymy — póki noga skoczy;
 Toć jest śpiewka — toć jest dziewczka,
 I skrzypek ochoczy — i skrzypek ochoczy!
 Dziś pijmy, — kiedy gardziel sucha;
 Dobry miodek, i dzban wódek
 U naszego drucha — u naszego drucha.
 Bo potem, bo potem — starość nas opęta,
 Młodość zniknie — człek odwyknie,
 Odwykną dziewczęta, odwykną dziewczęta.

CHÓR STARCÓW.

Bodajto czasy dawne — człowiek miał pieniądze,
 Piękne śpiewki, choże dziewczki
 Od nich cacka, wstażki — od nich cacka, wstażki.
 Każda się uśmiechała — każda była rada,
 Dziewka wdówka — z mego słówka,
 Dziś żartują z dziada — dziś żartują z dziada.
 Nawet przyjaźń inną była — dobrzy przyjaciele
 Wsparli ciebie w twej potrzebie,
 Dziś nie warci wiele — dziś nie warci wiele.
 Piję więc zdrowie dawnych — starcze w ręce twoje!
 Choć w pamięci, niechaj święci
 Człowiek szczęście swoje — człowiek szczęście swoje.

Śpiew ustał — przepadł drogą — w mętным tonów zlewie;
 Tylko echa dalekie zawrzały po śpiewie
 Coś o szczęściu i zmiłły — przy rozbiegłym chórze
 Ciekawych gwiazd tysięcy, księżyc na lazurze
 Twarz swoją bladą chyląc z błękitnego łoża,
 Na którym zadumany żegluję w przestrzeni,
 Włosy swe w kształcie srebrnych rozwiesił promieni;
 Rzekłbyś że czołem bije u niebios podnóża.
 I z okna dworca widać — czy muru kobierce?
 Nie, to postać Wacława po murze się łamie,
 I ku ziemi roztacza coraz większe ramie,
 I rośnie, jako płomień zawarty w iskiecie,
 Gdy wiatr zarzew rozdmucha, rozprzestrzeni gwałtem;
 Aż w końcu cień olbrzymim ziemię dopadł kształtem,
 I zniknął — słyszeć tylko jak się okno zwarło;
 Szyby brzękły z łoskotem, a ganek głęboki
 Głucho odbił — znajome — prędkie — mocne kroki.
 Cicho — tylko po chwili dozorcze psa garło,
 Szczekaniem kilkakrotnem wiejskie strzegąc domy,
 Dało znak, że ktoś po wsi przeszedł nieznajomy.

V.

OBCY CZŁOWIEK.

Za wioską stała karczma — przy karczmie trzy drogi
 W różne ciągnęły strony — jedna szła ku miastu,
 Druga w lewo — a trzecia pełna głogu, chwastu,
 Dawno widać nie tknięta od człowieka nogi;
 Do zamku pono wiodła za dawnego czasu
 Rycerzów tych okolic — dziś bujna w pokrzywy,
 Przerzynając wężykiem urodzajne niwy
 W gęstwinę wchodzi leśną i ginie wśród lasu.
 Słup drewniany przy drodze, i krzyż nad mogiłą,
 Oto wszystko co widzieć na rzut oka było.

Tylko gdy pies zaszczekał przeraźliwym głosem,
 A na hasło wzbudzone kądle wioski całej,
 Długim, przeciągłym wrzaskiem, nagle zaszczekały,
 Z krzyża, wrony przelekłe rwały się ukosem,
 I śladem drogi starej gdzieś lecąc na prawo,
 Odcigały z łoskotem i szumem i wrzawą;
 A ze wsi jakaś postać, niewyraźna zrazu,
 Coraz to przędszym krokiem, gwałtowniejszym bieży,
 I im bliżej podchodzi, tym oddycha szerzej
 Aż w końcu u starego staje drogowskazu,
 I spoczywa — tu zmiana całego obrazu:
 W karczmie jakby z pod ziemi śpiew, tańce, kapela,
 Słychać: grzmią śmiechy, krzyki, hulanka, zabawa.
 Wędrowiec okiem gniewu, na około strzela
 I opuścił drogowskaz — idzie bliżej — stawa:
 «Oni się bawią — słudzy — a pan wasz majętny!
 «Napiętnowany pracy i rozpaczy godłem,
 «Na świat cały — rokosze — wszystko obojętny.
 «Marzyłem — ach okropnie duszę mą zawiodłem!
 «Oni się bawią — słyszę ich śpiewy, ich tańce,
 «A pan wasz! — panu gdyby świat rozwiódł swe krańce,
 «Ciasnoby jeszcze było! — gdyby Rzym, trzy Rzymy
 «Dla niego ogniem buchnął, roztoczył się w dymy,
 «Nudnoby jeszcze było! — gdyby nektar boski,
 «Anieli w złotych czarach przynieśli mu z nieba,
 «Gorzkoby jeszcze było — gdy oni — bez troski
 «Mając zaledwie codzień kęs suchego chleba,
 «Świat w duszy ciasny jak ich codzienne potrzeby,
 «Szczęśliwi i spokojni. — A nam — a mnie żeby
 «Bóg się w płomiennym krzaku pakował Mojżesza
 «I morzem wszystkie świata wylały się skarby,
 «Mnieby Bóg nie pocieszył — mnie jednego dar-by
 «Żaden świata nie zajął — jak dziś nie pociesza!»

ŚPIEWY W KARCZMIE.

Hulajmy, hulajmy, póki w worku grosze!
 I dziewczyna, jak malina
 Młodości po trosze — młodości po trosze.

JEDEN Z MŁODZIENCÓW.

Pisz palkę, krysek nie chcę — wódki tu! półkwarty!

STARY ŻOŁNIERZ.

W marjasza? — kiksa? — ówika? — karty! kto chce w karty!

Śpiewa sobie:

Hej! tam na górze,
Stoją rycerze!
Puku, puku, w okieneczko
Otwórz, otwórz panieneczko,
Bo ułan jedzie!

MŁODZIENIEC.

Jakież nudy przekłete! siedzicie jak mruki.
Bodaj was kaduk porwał! — lepiej zbijać bruki
Niż w takim żyć barłogu —

DRUGI NA PÓŁ PIJANY.

A w jakim barłogu?

Ej z nami nie zaczynać!

PIERWSZY.

Patrzcie — dajgo bogu!

Zuch, frant, tego mi trzeba!

DRUGI.

Milcz ty darmojedzie!

PIERWSZY, porywając się.

Co? mnie? ty kręciwasie, moczymordo, trzpiocie,
Ja cię gwizdać nauczę!

JEDEN ZE STARYCH.

Sąsiedzie, sąsiedzie!

Poco te swarki głupie przy naszej ochocie?

Toć cygan się obiesił dla dobrej kompanii.

Hej wódki! czyż to od nas lepsi są cygani?

W ręce wasze!

MŁODZIK DO DZIEWCZYNY.

Tam miejsce — u tamtego stołu

Przy miodu szklance sporej siądziemy pospołu.

NAUCZYCIEL SZKÓŁKI do mieszczanina.

Ależ ja wam tak mówię — Ksiądz dziś na ambonie

Nie o tem prawil — mówił o Chrystusa zgonie

O jego śnierci za nas.

JEDEN Z MŁODZIEŻY, podając szklankę bakalarzowi.
W ręce panie kumie!

NAUCZYCIEL.

Dziękuję — człowiek niby czasem zarozumie
Słówko jakieś, i zaraz chce kazanie prawić.

MŁODZIK, pokazując na szklankę.

To mi to jest kazanie, lepiej się zabawić!

MIESZCZANIN.

Ależ przecie jam myślił

NAUCZYCIEL, przerywając mu.

W waszej mózgownicy,

Wygląda jako w pustej odludnej dzwonnicy:

Jeżeli człowiek nie przyjdzie, serca nie poruszy

Cicho — rozkołysz serce — brzęk ciebie zagłuszy.

GOSPODARZ.

Prawdę mówi pan Józef — co tam gadać o tem!

Mameci ja innym głowę nabitą kłopotem.

Pokupu nie ma w mieście — robotników mnóstwo,

Dzieci huk — żona krzyczy — wszyscy krzyczą chleba;

O tem to raczej myśleć i mówić potrzeba,

Jakby powiększyć zmniejszyć ubóstwo,

Niżli bajać w około co tam ksiądz zapowie.

Nad wszystko panie bracie, miłsze życie, zdrowie!

NAUCZYCIEL.

E, bo wy też znów tylko myślicie o grdyce.

MŁODZIK.

Cóż to znaczy, czy ducha nie ma już w muzyce?

Różnić od ucha — niech skrzypek odwrotnego utnie.

JEDEN Z STARSZYCH.

Kościuszki!

DRUGI.

Dąbrowskiego!

WSZYSCY.

Kościuszki — hej zgoda,

Tylko żwawo i ostro!»

— Rozmowy i kłótnie

Ustały jak deszcz, kiedy zaświeci pogoda,

Albo gdy kur zapieje, złych upiorów harce.
 Na jednej stronie w myślach zatopione starce,
 Słuchając znanej nōty w milczeniu głębokiem,
 Spoglądali na młodzież smutnem, łzawem okiem.
 Dalej chór śpiewał nōtę — lecz w tej nōcie słowo.
 Tak dziwnie w ustach brzmiało młodzi śpiewającej,
 Tak każdy ton był czuły, i wolny, i drżący,
 Że wziąłbyś hymn wesela za pieśń pogrzebową,
 Albo za pieśń rozstania i zimnej rozpacz.
 Wacławowi jednemu inaczej się zdało;
 Wacławowi jednemu zabrzmiała inaczej:
 Bo w myślach, w duszy jego, obudziła ciało,
 Ciało z letargu, wspomnień wywołała znakiem,
 Uczuł że ma ojczyznę — wspomniął że Polakiem.
 Tak często tonącemu w bezdennej topieleli,
 Rzuć z brzegu nitkę słabą rwącej się kądzieli,
 On za nic jak kotwica za grunt morski chwyci:
 Ale patrz — ledwo sięgnie — wiotkie rwą się nici,
 Tak słowo w dobrej ludziorz powiedziane chwili,
 Jak trąba archanioła, stworzy ich czem byli.
 «Ojczyzna! — krzyknął Wacław — o dzięki wam, dzięki
 «Za znak życia nowego! — póki stanie ręki,
 «Ręka do niej należy — póki myśli stanie,
 «Myśli jej niechaj będą! — Zabłysło zaranie
 «Świateł nowych — Bóg w nowej zabłysnął postaci.
 «Nie w księgach Go wynaleźć: On w żywocie braci
 «Mieszka, jak w swym kościele, jak w arce przymierza!
 «Niebo rodzinne — oto świątyń jego wieża;
 «Ziemia rodzinna — oto, budowa kościoła;
 «A w piersiach tron jest Jego — w piersiach głos anioła!
 «Posłyszałem — uczułem — rozumiem cię Boże!
 «Chcesz ofiar — ja mój żywot w ofierze położę,
 «Przyszły i teraźniejszy — chcę jak lud na puszczy
 «Łaknąć, byle ojczyźnie tem pomódz można;
 «Każda myśl moja, będzie jako hymn pobożna,
 «Język mój ustom, słowa samej czci poduszcy,
 «W modłach noce przepłaczę, dni przemęcę w trudzie
 «Tylko niech kraj mój wolnym — wolni będą ludzie!

Tak Wacław rzekł ze łzami i padł na kolana.
 Lec i śpiew nagle ustał — czyby okna ściana
 Mowę jego w głąb wniosła? — i słuchacz ciekawy
 Chciał śledzić jego myśli i mowy i sprawy!
 Wacław z obawą, trwogą, porwał się z pośpiechem.
 Inaczej przecież było — płacz się mija z śmiechem
 Na tej ziemi, jak orszak weselny z pogrzebem,
 Albo słońca blask czysty z zachmurzonym niebem.
 W karczmie, kędy przed chwilą zadumani wszyscy
 Śpiewając piosnkę dawną płaczu byli bliscy,
 Zapomniano o smutku, śmiano się z kolei:
 Bo jakiś nieznajomy, krzepki, rzeźwy młody,
 Wszedłszy nagle do karczmy, zażądał gospody,
 I zdumionym młokosom plół smalone duby.
 To w dowcipnym słów zwrocie wspomniął o nadziei,
 To śmiał się z zbytnej starcom właściwej rachuby,
 I przepijał niezgorzej do gromady całej.
 Z ubioru zdał się Polak — z wzrostu nie był mały,
 Wytartą miał bekieszę, pas u niej wytarty,
 Przecie śmiech wiecznie prawie do twarzy przyrośli,
 Oczy bystre — włos rudy — nos w górę zadarty,
 Nie najlepsze świadectwo duszy jego niosły.

W ręku kij i tłomaczek na plecach zwieszony,
 Świadczyły podróżnego — jakoż gdy pytano,
 Z kąd idzie, rzekł z uśmiechem, że dziś wyszedł rano
 Z miasta o pięć mil drogi — że rodzinne strony
 Chce zwiedzić, bo tam pieniądz ma do podniesienia,
 Właściwie z Zgorzelskiego księstwa prosto idzie *).
 Dodał w końcu twarz niby zapuściwszy w wstydzie:
 «Co się zaś tycze mego nazwiska, imienia,
 «To ukrywam bo zresztą komuż chodzi o to,
 «Kto tam teraz ciekawy jak się kto nazywa?
 «Jan, Paweł — Niemiec, Polak — czyż to daje złoto?
 «Imię spasłym nie czyni — więc lepiej z ochotą
 «Wypić jeszcze!»

*) Kromer nazywa Zgorzelskim Brandenburgią.

(Śpiewając przytłumionym głosem jak gdyby dla siebie, tak jednak żeby wszyscy słyszeli.)

«Gdzie dobrze urodzajna niwa,
 «Pop ma litość, król z ludem przyjaźń zobopólną,
 «Gdzie wszystko myśleć wolno, wszystko mówić wolno,
 «A sędzia ubogiemu sprawiedliwość przyzna;
 «Tam kraj mój — moje imię — rodzina — ojczyzna!»
 A czyż jest kraj gdzie taki? zawołali młodzi,
 Dziwnie kręcąc głowami — » czy jest? — odrzekł na to —
 «Zapewne kiedy człowiek nigdzie nie wychodzi,
 «I życie spędzi między stodołą i chatą,
 «Trudno żeby go znalazł, i wy nie znajdziecie
 «Ale świat jest obszerny, dziwy różne świecie!
 «Wódki tylko, hej wódki, cuda wam opowiem.
 «Tylko pijcie, jakiemże rozpoczniemy zdrowiem?
 «Dziewcząt ładnych! nie prawda? — niech żyją dziewczęta!
 «Co mają piersi pulchne i lubieżne oczy.

(Piją wszyscy powtarzając zdrowia.)

«Drugie zdrowie! młodzieży ochoczej!
 «Lepszy młodzik pijany, niż osoba święta.
 «Niech żyje jak przystoi!

(Piją.)

«Hej — na trzecie wódki!
 «Wesołości i śmiechom! — niech przepadną smutki.
 «Więc śpiewać! — kto zaśpiewa? — ha — pieśń na myśl wpada.
 «Słuchajcie tylko pilnie» — to rzekłszy usiada
 A cała koło niego kupi się gromada:

Na pewnego króla dworze *)
 Żył wielka, piękna pchła
 I kąsała, była zła.
 A cóż pyszczkiem pchła nie może!

Król piękności każdej znawca,
 Kochał ją jak dziecko swe,

*) Z Goetego.

Dla tego że dobrze ssie,
Toć dla niej zawołał krawca.

Krawcze, rzecz, weź mu miarę
Paniczowi zrobisz frak,
I wykroisz sukno tak,
Żeby miał i spodni parę.

Pchła się stroi w axamity.
Na ramieniu duży pęk,
Orderowych wiesza wstęg,
Na piersiach ma krzyż wyszyty.

A że i wykręty w głowie,
Skoczne nogi koło łba,
Pieczęć państwa, władzę ma.
Pchlami wszyscy są panowie.

Była ich ogromna mszyca.
Cały był kłasnany dwór,
Król, królowa, dwoje cór,
Babka, ciotka, siostrzenica.

I nikt nie mógł się podrapać
Bo nie drapał pan i król.
Co za męka, co za ból,
Kiedy pchły nie można złapać.

WSZYSCY ŚMIEJĄC SIĘ NA GŁOS.
Ha, ha, ha, to komedya!

MIESZCZANIN, poważnie do nieznajomego.

Ale gdzież podobna
Ażeby pchła tak mała, gadzina tak drobna,
Miała mieć frak i spodnie pęk orderów przytem,
Toćby trzeba ażeby frak był dla niej szytym
Chyba łapkami mrówki, i tkanką pajeczną
Dla tego niech mi wszyscy ludzie za to ręczą
Ja wierzyć w to nie mogę.

WIELU.

Jaki on też głupi!

OBCY CZŁOWIEK.

Dobrze mówi — któż kota w worze ślepo kupi.
 Na tym świecie wątpienie do mądrości drogą.
 Lecz do rzeczy — widziałżeś drzewa liść co wiewa?
 Nie prawda że ma szewki — a krawiec zkąd? — z drzewa.
 Gdy więc drzewo tak szyje, cóż ludzie nie mogą!

JEDEN Z MŁODZIEŻY do drugiego.

A to mu jak kotowi utarł z pyska mleko.

DRUGI.

Widać że się gdzieś w świecie wycierał daleko.

OBCY CZŁOWIEK, wciąż dalej mówiąc.

Wszak dziś już po powietzzu latają nad ptaki.
 Owym worem dymami z kądś wydmuchanym,
 Mierzą słońce i księżyc — wiedzą gwiazd przychody,
 I jeszcze czas nadejdzie, dziwaczny czas jaki,
 W którym człowiek nie kontent że jest ziemi panem,
 Węborkiem czerpać zechce w chmurach czystej wody.

(Wszyscy milczą — Nieznajomy zuowu po niejakiu czasie dalej mówi.)

Wy prawda, biedni ludzie — wy niewiecie o tem.
 Dla panów waszych z czoła pracujecie potem,
 Dla drugich — a ci drudzy! — wściekłość mnie pożera!
 Każdy z nich próżniak, skąpiec, obłudnik, koster,
 Robi z wami jak z młynkiem, co mu się podoba —
 Ależ prawda — was święta uczyła osoba,
 Choć świętość więcej grzeszy niż wy wszyscy razem,
 Ze panów słuchać — wiecznym religii rozkazem —
 Że —

JEDEN Z MŁODYCH przerywając

Co tam gadać o tem — nie zmieniać wszelako.
 Lepiej więc Waszmość powieść kredensuj nam jaką!

WIELU.

Powieść! coś o pchle znówu!

KILKU.

Nuże — wódki żwawo!

OBCY CZŁOWIEK.

Nie mogę — pilno mi jest — zbyt późna dziś pora
 Gdzie jutro stanę ledwie — miałem już być wczora,
 A i jutro uciecze z dzisiejszą zabawą.
 No! — z resztą — jedną jeszcze — ale pod warunkiem
 Że potem ni pytaniem, ni mocą, ni trunkiem,
 Niczem mnie nie wstrzymacie.

KILKU.

Spiesznie mu za katy!

OBCY CZŁOWIEK.

Przed stu, dwustu może laty,
 Kościelne, wychudłe szczury,
 Widząc co dzień msze — ornaty,
 Wszystkie razem wyszły z dziury,
 Bo im bardzo w gust przypadło,
 Naprzód białe prześcieradło,
 Dalej pasek, a za paskiem,
 Ornat ze złotym obrazkiem.
 Lecz krom tego, co nie lada,
 To, co ksiądz codziennie zjada.

Więc na radzie jeden rzecze:
 Do pomysłu dobra pora,
 Proboszcz gdzieś wyjechał wczora —
 A zwodne zmysły człowiecze.
 Jutro więc niech na dzwonicy,
 Kilku w spiż wali ogonem;
 Ręczę, wszyscy katolicy
 Na mszę przyjdą za tym dzwonem,
 A ja w ornat się ubierę,
 I zaśpiewam miserere.

Jak uradził tak się stało:
 By czym przykryć szczurze ciało,
 Strzygli ornat przez noc całą.
 Gdy się na niebie dzień bieli,
 Był to właśnie dzień niedzieli,
 Koło siódmej zadzwoniono.

Cóż? — za ledwie w dzwon urzęnięto,
 Katolików na mszę świętą,
 Jedno, drugie wali grono.
 Szczur na ołtarz wlaź w gałganie,
 Inni grali na organie.

Próżna praca — modlitw, płaczu,
 I krzákania, dzieci krzyku,
 Było wprawdzie aż bez liku,
 Lecz któż myślił o kołaczu?
 Próżno szczurek okiem strzyże,
 Rychło która pani matka
 Przyniesie choć kęs opłatka:
 W ręku same książki, krzyże,
 Więc z ołtarza prędkim szustem.
 A i kościół stanął pustym. —

Śród odludnej, chudej fary,
 Szczury więc na radę znowu.
 Wtenczas ojciec siwy, stary,
 (Wszystkie były jego chowu)
 Tak im rzecze: głodni, chudzi,
 Cóż nam zwodzić ludzi potem;
 Głupstwo prawda w sercu ludzi,
 Ale w myślach człowiek kotem,
 Nuż nas zdybie! — lepiej zatem
 Będąc szczurem, przestać na tem!

Wacław z całej powieści nie stracił sylaby,
 Odgadł ją — wyrozumiał — i zradę ocenił,
 Chciał wołać — lecz głos jego przesilony, słaby,
 Skonał w ustach. — Wzniósł rękę — ręka mdła upadła;
 Spojrzał — żreniczne oba ciemnią się zwierciadła,
 A twarz jego żar jakiś rozpałał, rumienił,
 To znowu jak z zapalu ostudzona bladła.
 I Wacław był podobnym do owych zbrodniarzy,
 Którym sędzia gdy wyrok z dziejów czyta zbrodni,
 Czucie winy, występku, jako strach przechodni,
 Siły zniszczy — wzrok stępi — i siądzie na twarzy.

Słuch jeden zinni został — słuch — ów świadek skryty
 Tysiąca grzesznych myśli — jak Tantal niesyty,
 Jako skąpiec łakomy, bystry jak sumienie,
 Podobny do Charona co przewozi cienie,
 Na powodzi zdań własnych, żeglarz myśli innych
 Sto razy potępionych, raz może niewinnych!
 On umie wszak i zdania dla wiecznej katuszy
 Podobieństwem złowionem — śpiewem — słowem — rysem,
 Wpędzać w duszę, lub raczej wywoływać z duszy,
 Jak mistrz z księgi gdy karty obciążył zapisem. —
 On śpiew przejął — już ucichł — drzwi skrzyły w zawiasie
 Szmer jakiś — i większy — coraz większy — głosy!
 Byli to starcy którzy krzyczeli po czasie
 Językiem prawdy wiecznej: «Nieszczężne młokosy!
 «Miecz boskiej zemsty na was z nieba ciężko spada.
 «Słuchacie głosów kłamstwa pożądliwemu uchem,
 «Opętani jesteście nieczystości duchem,
 «Poprawcie się bo biada, stokroć na was biada!»
 Ledwie znikli, ktoś przeszedł jak kłęb liści z szumem,
 I w kształt ognia co z dymem wlecze się po ziemi
 Zgniłym pnem lub drewnami wzbudzony mokremi,
 Schyłona jakaś długa przeciągła się postać.
 «Stój nędzny» — krzyknął Wacław — jakby wspomnień tłumem,
 Do życia przywołany. — «Stój!» krzyknął raz drugi,
 «Choćbyś był i szatanem musisz kroku dostać!
 «Kto ci dał moc kupczenia twym nędznym rozumem?
 «Trujesz ludzi pod barwą zabawy, usługi;
 «Plamisz im czystość duszy, obudzając chęci,
 «Których nigdy dopędzić, uścić nie mogą.
 «Jak złodziej drzesz się w serca — wyrwasz z pamięci
 «Wszystko co świętem mieli — świętość depcesz nogą!
 «Szatanie czy człowieku! jeźliś twarz człowieka
 «Oblekł, by zbrodnie szczepić, jeźli —» tu powieka
 Odsłoniła źrenicę — nie było nikogo.
 Wiatr tylko gałęź drzewa przeginał z daleka,
 Słup głuchawo przy drodze skrzypił drogoskazu,
 A cień do wytartego podobny obrazu,
 Mknął się nagle przed okiem i przepadł gdzieś drogą.

Lecz wrażenie zostało — bo kiedy po chwili
Zamyślony do domu krok Wacław obrócił,
Pozór go jeszcze w myślach uwodzi i myli,
Stawał często i słuchał, jakby pieśń kto nucił.

VI.

O D M I A N A .

Młodym był Wacław jeszcze — ledwie rok dwudziesty
I wiosen może kilka liczył w pasmie życia.
Młody i smutny ciągle — od ludzi pożycia
Jak od węża uciekał — z tej przyczyny? nie z tej?
Różnie twierdzą, bo trudna duszy jest zagadka.
Mówią tylko że kiedyś umarła mu matka,
Ale ją ledwie zaznać mogło chłopcze młode.
Przyjaciół nie miał żadnych, i kochanki żadnej.
Wacław choć sam z postaci przyjemny i ładny,
Zimnem okiem spoglądał na dziewcząt urodę.
Z nikim serca swojego, czucia nie podzielał,
I nigdy myśli swoich nie zwierzał innemu.
Gdy czasem z śmielszych który zapytał się, czemu
Tak samotny — pytanie dowcipem rozstrzelał
Albo gorzko się rozśmiał — milcząc po dawnemu.

Jedna mu przecież droższa istota nad inne,
Siostra jego Helena — twarz — oczy niewinne,
Często go zając mogły — westchnął nie raz przy niej,
Czulej rękę uściskał, łzę uronił w oku.
Tak Pan Bóg się zakocha w ołtarzu świątyni,
Tak potok kroplę ścisnie, tak w szumnym potoku
Kropla rosy uwieźnie! —

Kiedy czasami błędząc w odludnem ustroniu,
Albo na rozhukanym, na zdziczonym koniu

Jakby ciała sileniem, smutek cieńczał w sile,
 Pędził chciwie za czemsiś, z wiatrem się uganiał,
 I cios jakiś wymierzał i piersi odsłaniał:
 Gdy powrócił — przy siostrze wypoczął na chwilę
 Bładość nikła mu z twarzy — pierś mu wolniej biła
 Dusza jeszcze czasami o szczęściu zaśniła.

Co knuje w samotności? napróżnobyś badał.
 Powiadają, że jakieś stare niewa księgi
 Z których moc dziwną czerpie — zaklęcia — przysięgi:
 Słyszeli go, jak nie raz sam ze sobą gadał,
 Pozawieszał na siebie różnobarwne wstęgi
 I znów książki brał do rąk, i karty rozkładał.
 Druga wieść przebąkuje o smutku, rozpacz; —
 Inna mówi — świadkowie zazwyczaj niezgodni —
 Że nie duchy zwołuje, lecz przekleństwa zbrodni,
 Jakiej? czemu? — nie wiedzieć co to wszystko znaczy.

Upływały tygodnie, miesiące i lata
 Wacław jak dawniej dziwny — gruchnęły posłuchy
 Że choruje a nawet język jakiś głuchy
 Więcej dodał — że jasna jego zmysłów strata;
 Że nie po ziemi chodzi, po niebiosach lata.
 Jedni radzą spokojność, drudzy miękkie puchy,
 Inni znowu rozrywkę dla myśli otuchy,
 A biedna siostra płacze — przyjaciela — brata!

Lecz słuchajcie! odmiana wszystkiemu zagraża
 Odmiana choć nie zmiana — bo człowiek nie zmienia
 Głosu wiecznego — prawdy — głosu przeznaczenia!
 Tak się roślina każda na wiosnę przetwarza,
 Tak potok zmienia wody, a przecież potokiem,
 Tak upływa dzień za dniem, ginie rok za rokiem,
 A czas, jak świat odwieczny!

Wacław przestał być dzikim — nawet i oszczerce
 Jego rozumn widzą odmianę w Wacławie;
 Dawniej żył tylko we snach, dziś żyje na jawie,
 Każdy chwali poprawę, nikt nie spojrział w serce!

« Podajcie kielich, roszkosz, młodzi przyjaciele
 « Wacław spełni go z nami, — dawniej — ale na co
 « Przypominać co było? niech myśli i dumy
 « W nabożnych pieśniach zabrzmiał w parafii kościele,
 « Niech starzy głową żują, gdy siły utracą.
 « Nam młodym nie potrzebne książkowe rozumy,
 « My — kiedy tryskać zacznie płyn czystego wina,
 « Kiedy w gronie przyjaciół pieśń zabrzmie dokolna,
 « Kiedy wdzięków użyczy lubieżna dziewczyna,
 « Dusza podobna wiatrom, swobodna i wolna.»
 Takie, i tym podobne dziecinne łakocie
 Rzucali Wacławowi młodzieńcy radości;
 Tymczasem wieść gruchnęła — głośniej, coraz głośniej,
 O jego nagłej zmianie — o zmysłów powrocie,
 Z tą mnogie zapraszania, powinszowań krocie;
 Wacław wszystkie przyjmował, zimno lecz uprzejmie,
 Jak zręczny wódz przyjmuje wroga przy rozejmie
 Zanim skutków pewniejszy, nowe bitwy zacznie.
 Wesółym nie był przecież — chociaż go zabawa
 Na pozór zająć może — weseli — rozśmieszysz.
 Smutek się mocny ściera jako rdza — nieznacznie,
 Choć żelazo trzesz, plama długo świeci krwawa!
 Często więc wśród biesiady i krzyczącej rzeszy
 On jakby obcy wszystkim w milczenie zapadnie,
 I że duma o czemsiś, dostrzedz z oka snadnie.
 Zrywa się postrzeżony — coś mówić zaczyna,
 Uśmiecha się zmieszany — sięga do kielicha,
 Nieprzytomnie nalewa w kielich pełno wina
 Spełnia go nieprzytomnie, lub znowu odpycha,
 I patrzy wzrokiem dzikim — czasem w jego stroju
 Coś widać dziwnego — czasem w jego mowie
 Jakby wszystkich pięć zmysłów razem nie miał w głowie,
 Obląkanie wyraźne — na środku pokoju
 Stanie i patrzy — milczy — nic nie odpowiada
 A przytem oko smutne, twarz jak dawniej blada.

Ale dla czegoż Wacław odmienił swe życie?
 Czemu, jeżeli myśli niezgodne ze światem

*
 Własnego serca zostać zaprzysięgłym katem?
 Ciemne wieści, i jakieś mistyczne zakrycie
 Na wszystkie kroki jego zwieszono szeroko.
 Czy może chciał badawcze w świat zatopić oko
 Aby lepiej zdrożności i błędy ocenić?
 Szuka ludzi, jak dawniej uciekał od ludzi
 Najmniejsze słówko często ciekawość mu wzbudzi
 Ale zimną ciekawość. — Dawniej bez powodu
 Zwykł się być gniewać, lica wybladłe płomienie,
 Dziś serce i myśl jego podobna do lodu
 Zwierciedli wszystko, alęć i wszystko odbija!
 Jedno go wzruszyć może — jeżeli mowa czyja
 Wspomni czasem o kraju.

Jak rosa spada, słońca wyplakana okiem,
 I ta co we mgle ćmiła, ożywia naturę,
 Albo lotna w tumanach rozklebi się w górę,
 Aby mdłe części z złotym połączyć obłokiem
 Tak myśl jego na kraju, na wolności wzmiankę
 Nowem życiem oddycha — oko się rozżarzy
 Usta drgają od czucia — mieni się na twarzy;
 Powiedziałbyś że śmierć mu zabrała kochankę
 I że z nią w niebie mówi, anioł odpowiada.
 Czasem w gronie znajomych dawną pieśń zanuci,
 Albo przodków waleczne przypomina dzieje,
 Lecz gdy skończy, zaledwie wargę pieśń wyleje,
 Znów się nagle zasmuci, w milczenie zapada,
 Z nim wszyscy — jako ludzie z nadziei wyrzuci
 Gdy serce czasem stworzy, myśl strzaska nadzieję!

— Szczęśliwy! ty przynajmniej miałeś komu śpiewać!
 Moich uczuć i pieśni, nikt ze mną nie dzieli,
 Ty masz przed kim zapłakać, ulgi się spodziewać
 Ja daleki od moich — nie mam przyjacieli!

Nie mam rady z kąd czerpnąć — trudno wyżyć z nimi;
 Jeżeli łażą czasem spłynię, upływa samotnie,
 Szczęśliwy kto świat zwiedził, szczęśliwszy stokrotnie
 Kto nigdy nie opuścił rodzicielskiej ziemi.

Sam jeden pośród tyłu, wicherzę się po świecie,
Może nawet powieki obca dłoń mi stuli —
O bracia! czem kraj własny, jeżeli nie czujecie
Opuśćcie go na chwilę a będziecie czuli.

Ileż razy myśl moja w wasze grono leci,
I goni miłe duszy, przeszłości obrazy,
I do śnieżystych, zimnych, ojczystych zamieci
Wzdycha z raju natury aż po tysiąc razy!

U nas ziemia zmrożona, ale serce w wiosnie;
U nas mgła często niebo zachmurzone trzyma,
Ale przyjaźń ma błękit — ścisną dłoń radośnie;
A tutaj słońce grzeje ale w sercu zima.

Gdy o kraju przemówię żaden nie rozumie,
Gdy westchnę, ledwie echo westchnienie powtórzy,
Sam jeden ginę w obcym, nieznanym mi tłumie
Jak listek wiatrem zdięty od wiosennej róży.

Piers tylko jeszcze kiedyś czucie z myślą żeni,
I co dusza w ukryciu stworzy i wymyśli,
Łaknącem kradnie uchem, w słabą pieśń zamieni,
Albo służebna ręka w martwy papier kryśli.

Życie nasze upływa jako chwile gończe
Które ledwie zabłysną, znikają na wieki.
Kto wie, czy nie zapadną i moje powieki,
Albo wasza nie skona, nim śpiewu dokończę!

Obcy, nieznani ludzie spotwarzają me chęci,
Zelżą przyjaźni tylko poświęcony datek —
Rzucą wzdychania czułe w otchłań niepamięci
I zniknę, jako we mgle konający kwiatek!

«Precz, precz z mego oblicza — co chcecie odemnie
«Zimny księżu dla czego zbliżasz się do łóżka

«Chcesz mi myśli wysłuchać, i serce tajemnie?
 «Mylisz się — to nie twoja okoliczna duszka —
 «Cudzoziemiec umiera — uciekaj od niego!
 «Ty jeszcze stoisz — patrzysz — czekasz niby czego —
 «Kto jest ten drugi z tobą? — nieznane mi twarze —
 «Wasze oczy ciekawie śledzą na zegarze
 «Každy popęd skazówki, jak gwiazdy obrotów,
 «Dla czegoś tak utopił we mnie wzrok ponury;
 «Rękę twoję podnosisz, wskazujesz do góry —
 «Ja śmierci się nie boję — umrzeć jestem gotów!
 «Otwierasz puszkę księże? — czy lekarskie zioła?
 «Mnie bóg nie chciał dopomódz — czemże kwiatek polny!
 «Schowaj pokarm dla ciała co pokarmu woła:
 «Schowaj trunek, dla duszy nędznej, nieudolnej,
 «Kto mógł żyć pośród burzy nieugięcie wolny,
 «Ten bez cudzej pomocy i umierać zdoła!
 «Światło błysło — ha noc już — myśli krążą ciemno —
 «Zimno mi — twardo w puchach i miękkiej bieliznie —
 «Słyszę głosy — anioły śpiewają nademną —
 «Ta myśl — wam przyjaciele — rodacy — ojczyźnie!»

Lata przejdą nie jedne i kamień grobowca
 Mech okryje i zielskiem mogiła porośnie;
 Zamilkną wszystkie dawne o życiu krajowca
 W kraju własnym — rodzinie — nowiny donośne.
 Nie widać go, nie widać — nawet nic nie pisze —
 Jeden westchnie, zapłacze może dusza czuła,
 Czasem jeszcze ktoś wspomni — i znów ciągle cisze —
 Grób ci drugi, młodzieńcze, pamięć już usuła.
 Wieść jedna tylko czasem w dalekiej krainie,
 Jak strumyka szmer zimny, w ustach zimnych płynie,
 Że kiedyś — przybył zdala — samotny młodzieniec. —
 Pokażą gdzie spoczywa — i śniertelny wieniec
 W kościele wisi dotąd — u wstążek zawiązki.
 Tam na wschodzie grób jego i ta na wschód rzeka
 Mawiał on, że daleko gdzieś pędem ucieka,
 I dla tego w nią wrzucał zerwane gałązki,
 Ze łzami na nie patrzył — i tam spoczął przy niej.

Na twoich brzegach może wyrośnie sitowie
 I z liścia tego wianek kochanka uczyni;
 Rybka może nie jedna spląta się w połowie,
 Która łzę wędrownika w obcym kraju piła.
 Gdzie serce — tam przeczucia niezgadnięta siła!
 Gdy listeczek sitowia w rączce białej wiewnie

Wszyscy zapłaczą rzewnie;

Gdy ryba uwięziona w mętnej wodzie pluśnie,
 I kropelka na siostry czułe lica pryśnie,
 Jej myśl młoda w marzeniu o przeszłości uśnie
 I na startym obrazie pamięci zawisnie.

W jego strony popłyn rzeko

Tam daleko — tam daleko!

Nielitościwy, łzami wykarmiony duchu!
 Więc i po śmierci jeszcze pragniesz łzy za datek?
 Łzami ma być żywiony grobu twego kwiatek?
 Wzdychaniami twa pamięć? i cóż masz z pamięci?
 Już ci się kark twój pyszny dzisiaj nie łabęci:
 Lica zsiniały zsiadłej krwi twojej sinością.
 Ręka się już nie ruszy, by wydać rozkazy!
 Jedna pamięć, podobna do błędnej oazy
 Będzie pływać gdzie wszystko znikomem — nicością!
 Może zawsze? niestety nazbyt, nazbyt krótko!
 Gdy kochanka — przyjaciel — jak ty żyć przestaną
 Co będzie twych przypomnień u innych pobudką?
 Jak pył z wiatrem, z ich śmiercią pamięć twoja zwianą —
 Z ich śmiercią? — nie — za życia zapomną cię jeszcze,
 Za miesiąc — rok najdalej — skoro od ich szyi
 Odczepisz się — alboż to pamięć w sile czyjej?
 Ta ręka, którą dzisiaj w ręku mojem pieszczę,
 Te usta, które wierność przysięgły ci nieraz,
 Wiesz czem były — czem dzisiaj — najlepiej czem teraz —
 Ależ o jutro tylko nie pytaj się próżno,
 Świat postaci ma różne — ludzie duszę różną.

Więc żartować z pamiątek! — z owych mar i cieni!
 Gdy umrę nie chcę modlitw i ciężkich kamieni —

Mniejsza że obcy prochów moich nie odgadnie;
Niech każda pamięć o mnie wieczyście przepadnie,
Niech się wiatr z trupem bawi — a drapieżne zwierze
Zbierając rozniesione po przestrzeni szczątki,
Niech ostatnie istnienie, ostatnie pamiątki,
Spokojności grobowej, paszczęką odbierze!! —

CZEŚĆ DRUGA

WACŁAWA MŁODOŚĆ.

Was machst du an der Welt — sie ist schon gemacht!
Der Herr der Schöpfung hat Alles bedacht!
Dein Loos ist gefallen — verfolge die Weise;
Dein Weg ist begonnen — vollende die Reise.

ГОВТНЕ.

THE
HISTORY OF THE
CITY OF LONDON
FROM THE FOUNDATION
TO THE PRESENT TIME
BY
JOHN STOW

THE HISTORY OF THE CITY OF LONDON

BY
JOHN STOW
OF THE CITY OF LONDON
CITY CLERK
AND
OF THE CITY OF LONDON
CITY CLERK
AND
OF THE CITY OF LONDON
CITY CLERK

STOLICA.

I.

BAL W ZAMKU.

Z zamku wiewa chorągiew królewskiej bytności.
Cesarz na przywitanie, przyjazd cesarzowej,
Daje ucztę wspaniałą, wielki bal maskowy:
Na bal zewsząd ciekawych tłumi jadą gości.
W podwórze oświecone, jak błędne komety
Wpada tysiąc powozów — jeden drugi goni,
Przytem krzyk — kół warczenie — dzikie rżenie koni —
Dzwon odwachu, żołnierze, panowie, kobiety,
Francuzi i Polacy, Anglicy, Moskale —
Zgiełk powszechny jakoby w rzymskim karnawale.
Schody kobiercem słane prowadzą do sali,
Dwudziestu czterech laufrów z pochodniami w ręku
Wiewają ogniem u stóp — im kto idzie dalej
Tym ich więcej — aż w końcu drzwi otworzą w szczękę
I sześciu razem imię gościa zawołali.
Głos i gość wleciał nagle i każdy przepada —
Tak wrzask mocny, tak licząc balu maskarada.

Wszystko jak w czarodziejskiej suwa się latarni.
Maski w różnych kolorach, i dziwacznych strojach,

Biali — zieleni — żółci — czerwoni i czarni,
 Przebrani w wieki różne, chodzą po pokojach;
 Ten w żelazo okuty z oszczepem u boku
 Waży się w śmiałym, mocnym, niezachwianym kroku,
 Tuż przy nim Pers ubrany w kaszmiry bogate,
 Tamten znów oblókł dworu francuzkiego szatę,
 Lub trubadur zaśpiewa słuchać ballad chcącym,
 O kochanku nieszczęsnym, o kochance drogiej;
 Przy śmiertelnych boginie, bogi i półbogi.
 I oko widza błądzi między mask tysiącem
 Jako wśród elizejskich różnorodnych cieni,
 Którzy jakkolwiek różni — do nieba stworzeni.
 Tem niebem cesarz dzisiaj — on gwiazdą Syonu,
 Jemu chcą służyć wiernie do samego zgonu.

Wtem zagrzniała muzyka — trzask drzwi — cesarz wchodzi!
 Jak w kościele gdy boskie podnaszają ciało,
 Tak zmilkli wszyscy razem — tak się cicho stało.
 On jeden był bez maski; bo jemu się godzi
 Pokazywać wszem w obec i twarz swą i czyny;
 Cały kraj prawa swoje czyta z pańskiej miny.
 Twarz jego państw obszernych żywym barometrem,
 Gdy brwi zmarszczy — Jowisza brwią pioruny budzi,
 I jeżeli Piotr był wielkim, on krok ma nad Piotrem,
 Tamten brody ciął ludzkie — ten głowy tnie ludzi!
 Dziś łaskawy — za rękę wiedzie cesarzową —
 Uśmiechnął się — bał cały odetchnął na nowo!
 Dwóch tylko ludzi do stóp pana się nie tłoczy —
 Obadwa w czarnych maskach, w płaszczu zawieszonym,
 Widocznie pogardzają wielkością i tronem
 Bo ku sobie ich ciągle obrócone oczy,
 I coś mówią pocichu — żyć muszą w przyjaźni
 Kiedy na społeczeństwo — zimni — nieuważni —
 Czasem nagle zamilkną — znak im pewnie dano —
 Z pośpiechem wstają nagle, i znowu przystaną
 I znów coś jeden mówi — «Siedem lat w więzieniu?»
 «Tak jest — któż ujdzie kiedy swemu przeznaczeniu!
 «Ale widzisz ten przepych — tę dumę — tę postać

«Widziałeś wojska jego, którym rozkazuje?
 «Patrz, na te piersi biedne — on światu panuje!
 «A z tej ducha przepaści nie mógł nic wydostać!
 «Czuje całą moc w sobie — i wyższość nad niemi!
 «Gdybyś wiedział com cierpiał — wśród wilgotnej ściany
 «Ściemnionego więzienia, okuty w kajdany
 «Leżałem lat trzy blisko — łoże kawał ziemi,
 «Strawą chleb, woda, była — i nic nie wydałem!
 «Przenieśli mnie gdzieindziej — pokój był obszerny
 «Ale w pokoju ciągle noc i dzień, oddźwierny
 «I sześciu drabów stało — nocą nie sypiałem,
 «Bo cześć świec zapalonych wnieśli co dnia z mrokiem
 «I jak stado drapieżne za umarłem ciałem
 «Tak oczy drabów, światła, za mem biegły okiem,
 «I tak lat dwa przeżyłem i nic nie wydałem,
 «Później znów loch zamknęto nie widziałem słońca
 «Ani świec, ani ludzi — ciemności zamknęto.
 «Dni okropne, bez światła zdały się bez końca
 «Sznurem mi chleba kawał i wodę zsyłano
 «W nocym tęsknił do rana — do nocy znów rano,
 «Bo gdym usnął noc była — później w jakimś święto,
 «To święto być musiało, ktoś nagle wszedł do mnie
 «Ze światłem w ręku słabem — zrazu mówił skromnie
 «I prosił o wydanie, i płakał nademną,
 «Lecz gdym milczał, zakrzyknął z gniewem i zapałem
 «Żem wiecznie potępiony. — I znów było ciemno
 «I wszyscy mnie odeszli — i nic nie wydałem!»

Skończył — słuchacz już w własnem dumaniu zagrzęzły
 Widać myślom się zwierzał — i myśl go uniosła
 Do reszty stargać duszy narzucone węzły.
 Wypłynąć chciał na ocean wolności, swobody,
 Wznieść maszt większy, uderzyć z całą siłą w wiosła,
 I bujać jak po niebie buja orzeł młody —
 Stały mu w pamięci ludzie i narody,
 Gdyby on je mógł zbawić! — tak myśląc wznosił ręce,
 I kiedy głowę podniósł chociaż w czarnej szacie

Jemu się należały godności książęce
On w duszy — na wolności zasiadł majestacie!

Obudził się наконец — kończ, kończ » rzekł z pośpiechem
« Twoją powieść — jam prawda — bo wrzawa i tańce —
« Kiedyś wyszedł? » — Przed rokiem uznany niewinnym »
« I odtąd? » — « Myślę równo, nie liczę różańce.
« Słuchaj, nieczynność bracie jest największym grzechem,
« I tobie, tak jest, tobie potrzeba być czynnym.
« Dziś jeszcze — chcesz ze mną? — godzina już bliska
« Naszych schadzek, brat brata z przyjaźnią uściska
« Rękę twoją! » — « Tę daję » — Muzyka balowa
Zagłuszyła ostatnie nieznajomych słowa
I znikli — tak dwa listki lżejsze do polotu
Z tysiąca które drzewo otrząśnie w jesieni
Lada wiatrem powiane, rwą się bez powrotu
I popłyną tam gdzie je spólny wiatr pierścieni.

II.

ZWIĄZEK.

Śniegiem ziemia pokryta, noc jasna i mroźna.
Z szafiru niebios gwiazdy, jakby pełną dłonią
Wysypane brylanty w szatę nocy wbito,
Roziskrzzone świeciły — pora była późna —
Śnieg błyszczał — w spiż zegary czasami zadzwonią,
Ulice puste niby z wód wyschłe koryto.
Gdzieś niedzie tylko słyhać chód krokiem mierzonym
To szyldwach z bronią w rękę głucho się przechadza,
Albo gdy rond nadejdzie, lub policyj władza,
Do przeglądu żołnierzy, woła głośnym dzwonem.
Czarno sterczały domy — jak w księżycu blasku
Pompejum wygrzebane z popiołu i piasku.

W jednym tylko coś miga na bocznej ulicy,
 Słysząc szmer jakiś w górze, i światło od świecy
 Łuną z okna wygląda choć je w głąb wciśniono,
 Choć okno czarną jakąś opięto zasłoną.
 Tam idą dwaj nieznani — przyszli — patrzą wszędzie —
 Cicho — nikt ich nie zoczył — więc jeden w dłoń kłaśnie —
 «Hasło» — ktoś pyta z sieni. — «Jest, było i będzie» —
 «Dobrze» — drzwi się otwarły — Czy są? — wszyscy właśnie»
 Tak mówiąc znowu mocne zatrzęsnał podwoje
 Ręką wskazał — i w górne wiedzie ich pokoje.

W niezamieszkałej dawno, sali wielkiej, pustej,
 Zwykły stół był na środku — krzyż czarny na stole
 A przy nim osadzeni związkowi w półkole.
 Milczenie głucho w sali — trwożliwemi usty
 Nikt nie śmiał ruszyć wprzód aż doszedł z pewnością
 Czy sami bracia tylko między liczną gością;
 Bo dzisiaj wielkie rzeczy mają wnieść na radę
 Koniec mąk — wolność kraju ciemnościom zagładę!
 Tak więc nim do słów przyszło, każdy wzrok badacza
 Podnosi na przytomnych i w koło zatacza
 Każdy chciwy znać drugich, ich myślenia sposób
 Ściga oczy, i okiem maca duszę osób.

Wtem drzwi się otworzyły — wszyscy wzrok podnieśli
 Ku drzwiom — drzwi znów zamknięto — dwaj nieznani weszli.
 Maski czarne obydwom taiły oblicza;
 «Kto jesteście?» — najstarszy zawołał śród grona,
 «Ja» — jeden z dwóch odrzecz — «między was się liczę,
 «Ten chce być policzony» — tu twarz odsłoniła
 Stwierdziła mówcy słowo — skłoniono się nisko.
 «Bracia!» — rzekł dalej przybysz — «on krew i pieniądze
 «Niesie w darze ojczyźnie, dar ten godnym sądzę,
 «Wacław jest imię jego — znajome nazwisko.
 «Bracia — dajcie mu w związku narad wolne krzesło
 «Niech ja pierwszy uściskiem bratnim go przywitam.»
 Gdy skończył — wiele głosów o przyjęcie wniosło —
 «Dobrze więc» — rzekł najstarszy — «wprzód jednak przeczytam

« Rotę przysięgi naszej którą wykonano.
 « Młodzieńcze — ot znak krzyża — zegnij twe kolano
 « Rękę podnieś do góry i słowo po słowie
 « Powtarzać za mną będziesz w następnej osnowie: »
 Umikł — wziął księgę — wszyscy powstali za stołem.

« Przed rzeczą nieznaną, bić nie umiem czołem,
 « W kościele jednym tylko gnę kolano moje,
 « Przeczytaj a zobaczę » — tak Wacław powoli
 Pewnym głosem i z śmiałą odrzeknął postacią.
 Ta mowa niespodziana — jego czarne stroje
 I twarz — wszystko zdziwiło — choć więc między bracią
 O wyjątkach zdań mnóstwo — każdy dziś zezwoli —
 Przeczytano wprzód rotę z związku czarnej księgi,
 I Wacław z chęcią słowa powtórzył przysięgi.

Po skończonym obrządku do rad przystąpiono,
 W bliższe, węższe półkole skupiło się grono;
 A najstarszy wskazując ręką na swe łono,
 Wzniosłszy do góry oczy, tak mówić zaczyna:
 « Patrzcie bracia na ten włos, siedemdziesiątletni
 « Starzec mam życia mało — lecz jeśli godzina
 « Nie wybiła mi dotąd, chwilę pożyć wolno
 « Chciałbym dłoń moją jeszcze podnieść nieudolną
 « Na obronę praw naszych — a wtenczas mi zetnij
 « Głowę boże — a wtenczas niech olśnią te oczy,
 « Niech sam wróg krew niewinną po ziemi rozbroczy,
 « Ja będę najszcześliwszy! — Mnie prawda pacierze
 « Albo psalmów Dawida odświeżone żale
 « Bardziejby w wiek przypadły — niż mowy — zachęty,
 « A przecież słowa moje dziś od Boga dzierzę,
 « Bóg raz jeszcze to serce roznieca w zapale.
 « Mówić — prawo jest moje — obowiązek święty!
 « Słuchajcież tedy bracia! — codzień z słońca wschodem
 « Okropności zwiększają — pełnie są więzienia
 « Ofiar, niewinnych ofiar jak syn Abrahama.
 « Dzieci nam zabijają — z niemi ród za rodem
 « Ojców w kajdany kuja — giną pokolenia —

«Ledwie że ziemia pusta ostoi się sama,
 «Prawa nasze zgwałcone jako kiedyś ludu
 «Wybranego od Boga — podłość, nicią złotą
 «W tkanę ojczystej sukni, podstępem się wdiera;
 «Woła lud i ja wołam wszechmocnego cudu,
 «Wołam co dzień do Boga, że niewinność gniotą
 «Że lud jego — że naród — ojczyzna — umiera —
 «Bóg cudów dziś nie czyni — a więc własnej sile
 «Poruczeni jesteśmy — ratujmy — czas jeszcze,
 «Wkrótce zapóźno będzie — bo znaki złowieszcze
 «Wróżą zło — krzywd już tyle — i ofiar już tyle
 «Ratujcie bracia moi!»

WIELU Z SPISKOWYCH.

Zemsta wrogom naszym!

JEDEN Z NICH.

Łukasiński w kajdanach, Dobrogojski, inni —

DRUGI.

Tysiączni, naszej ręki wołają niewinni.

TRZECI.

A więc czego się wahać — przetnijmy pałaszem
 Ten węzeł który żadne słowo nie rozprawi,
 Czwarty półk jest za nami — cesarz w naszej sieci!

CZWARTY.

Jutro więc —

PIĄTY PRZERYWAJĄC.

Niech się słońce w zachodzie zakrwawi!
 Niech dłużej niż codziennie, szkarłat zorzy świeci —

WIELU RAZEM.

Śmierć tyranom! —

INNE GŁOSY.

Śmierć z hańbą!

Z GRONA JEDEN który milczał dotychczas.

Słowo — bracia moi!

Zapał was za granice słuszności uwodzi;
 Bez doświadczenia majtków burza niepokoi,
 Bez sternika rozumu często błędzą młodzi.

WIELU RAZEM.

Sternikiem naszych czynów — zapał nasz i serce!

POPRZEDNI.

Zapal słuszny rozumu nie ma w poniewierce,
 Więc słuchajcie rad moich — słowo i nie więcej.
 Chcecie czynów — a z działań czyż pewne wypadki?
 Chcecie czynów — i śmiałych — a ze stutysięcy
 Ledwie się jeden uda, i ten jeszcze rzadki.
 Cóż tedy! — broń zachwycić — zabić — zginąć łatwo,
 Ale cóż po nas będzie — co z żonani, dziatwą,
 Co z ojczyzną jeżeli sprawa chybi celu? —
 Nas tu mało — lecz w kraju, w potomności wielu;
 Tym wszystkim miecz wraźmy nieuważną dłońią,
 Tych wszystkich zabijemy niedojrzałą sprawą.
 Pytam więc tych co dzisiaj za czynami gonią,
 Kto im nadał zabijać, i mordować prawo?
 Nikt mi nie odpowiada? — milczą wszystkie głosy,
 Więc ja wam chcę odsłonić kraju przyszłe losy:
 Zginiemy: — to na wieki — jak wał jeden ginie
 Gdy szturm morze rozsadzi, wiatr tysiąc napędzi,
 Porwiemy się i zginie, jak ów głos łabędzi,
 Który dźwięczy i kona w tej samej godzinie.
 Wojska ich niezliczone — a nasze orszaki
 Garstka słaba — skarb u nich — u nas skarbu nie ma.
 Cesarz dwie części świata w dłoni swojej trzyma,
 Skinie — a zewsząd lecą pod cesarskie znaki
 Nie żołnierze — narody! — tak, narody całe.
 My prawda rękę mamy, serce mamy śmiałe,
 Ale cóż jeden znaczy śród licznych zastępów?
 Skowronkiem jest — orszakiem wytropiony sępów
 Wywinie się do góry — zaśpiewa — i padnie!
 Przyszłość jak morze zdradna, burzę chowa na dnie;
 Człowiek jak majtek często, czas nagli do biegu,
 Uderzy raz dwa wiosłem, odbije od brzegu,
 Aż łódź chwiać się zaczyna — wiosło pada z dłoni,
 A wały rozpienione w kształt zbieganych koni,
 Łódź, majtka. w mgnieniu oka mokremi kopyty
 Przeleczą — popchną na dno — i wbiją w otchłanie —
 Niestrożny! on marzył wód podbić błękity
 A jak błoto uliczne zdeptanym zostanie!

Bracia! tak my zginiemy, jeśli nieroztropnie
 Myśl wasza celów swoich, i zamiarów dopnie.
 A z resztą gdzie szlachetność? — Który Polak w domu
 Zdradził kiedy gościnność? — śpiących rzezał mieczem?
 Dotąd życia wiaź z zdradą nie uniał nikomu,
 Myż tylko wyrok hańby na siebie wyrzeczem,
 Myż gościnność Polaka zhańbimy na wieki?
 Cesarz nie wyszedł dotąd z świętych praw opieki,
 Bęben jeszcze nie wyciął hasła krwawej wojny,
 Jestem pewny, jak w Moskwie, spać może spokojny,
 Za odroczeniem wszystkich planów śmiało radzę!»

Skończył — i usiadł w zwykłej rozsądnym powadze,
 Oczekując w milczeniu związku odpowiedzi.
 Dano znak głosowań — z rzędu jak kto siedzi,
 Głos swój wznosi z kolei, a w sprawie tak ważnej
 Każdy w myślach rozumny, zinni i poważny.
 Zbierają kryski — Wacław jeden wstrzymał zdanie;
 Gdy nagle jakby duchem obudzony bożym
 «To on!» krzyknął i z krzesła gwałtownie powstanie,
 I rzucił okiem swoim jak zabójczym nożem
 Na mówcę poprzedniego — «To on» — dodał znowu,
 «Znam się dumny podstępco!» — «Co za on?» — szmer w koło —
 Żaden nie wie jak wierzyć dwuznacznemu słowu —
 «Znać się dawniej musieli» szeptano po cichu.
 «Może jakie zatargi, klótnie przy kielichu,
 «Bo obydwóch wzrok gniewny, zachmurzone czoło»
 Tak szeptali i zmilkli. — «Jutro» — rzekł nareszcie
 Oskarżony — «Pojutrze — znajdziemy się w mieście;
 «Dziś do klótni czas nie jest, czas nie był» — wstał z krzesła
 I Wacław; widać obu jedna myśl wyniesła —
 Pobiegł spiesznie — gdzie poszli! — śledzą ich ciekawie,
 Noc obydwóch zakryła — czyliby na jawie
 Jeden z nich był czem innem i w sercu czem innem?
 Czyby chciał zdradzić braci? — przecież od związku
 Pokazywał się zawsze tak gorliwym, czynnym!
 Dziś tylko — długo bracia rozmawiali związku,
 I radzili co czynić, aż gdy kół turkoty,

I miganie się światła i stangretów wrzaski
 Dały znać, że już z balu wyjeżdżają maski.
 Związkowi tajemnemi — wynieśli się wroty,
 Każdy płaszczem obwinął zadumane lice
 Wszyscy się w różne miasta rozpierzchli ulice.

III.

O B R A Z Y.

Gdzie mnie wieszysz? — stolica została za nami,
 Księżyc schodzi z niebiosów — zorza nie daleka —
 Kiwasz i kiwasz ciągle — czy innie wzrok nie mami?
 To smentarz — grobów pełno — z trumien zdjęte wieka,
 Groby porozwalane — oszukańcze podły!
 Słowa twoje bezczelne serca mi nie zwiodły,
 I strachy niczem dla mnie — znam się ja z strachami!

NIEZNAJOMY.

(Siada na grobowcu, bierze duże trupie głowy i bijąc jedną o drugą poważnym głosem mówi.)

Geniuszu! kiedy burza ześle wiatry mściwe,
 I morzem ognia niebo się zapali
 Chcę jak rumaka schwycić fali grzywę
 I twojem skrzydłem popędzić na fali,
 Niechaj nadpowietrzne żagle
 Serce moje — duszę wzmogą;
 Chmury zgmiotę moją nogą
 I do jarzma wiatry znaglę*).

(Do Wacława.)

Tys mój pan — jam twój sługa!

WACŁAW.

Jakto — co to znaczy?

*) Z pierwszej części.

NIEZNAJOMY.

To moje wieczne prawo — tak jest, nie inaczej —
 Moje prawo, mój w końcu obowiązek święty,
 Temu się z chęcią oddać w poddaństwa usługi,
 Kto jak Mojżesz, jak z resztą wielki prorok drugi,
 Przeszedł ludzi — w swej duszy boski, niepojęty —
 Jestem na twe rozkazy!

WACŁAW.

Pochlebco nikczemny!

Myślisz, dumę podniosłszy, w obłok wzbiwszy myśli
 Duszę prędzej ujarzmić — stopić ze złem ściślej —
 Nie Szatanowi — będę przyjazny, wzajemny!

NIEZNAJOMY.

Krzywdzisz mnie, bardzo krzywdzisz!

WACŁAW.

Znam ciebie dokładnie.

Człowieka postać wzięłeś, ale w duszy na dnie
 Piekło całe — tem parzysz kogo schwycić łatwo;
 Znamy się już oddawna — czy nie pomnisz o tem?

NIEZNAJOMY.

Widziałem cię dwa razy — raz pod karczmą — potem —
 Nie — wprzód — gdyś z kościoła między mnogą działaw.
 Na czarnym twojem koniu przez wieś pędził cwałem,
 A raz trzeci dziś ciebie na radzie spotkałem.
 Więcej nigdy, zaręczam!

WACŁAW.

By poznać, dość wiele,

Że prędzej ogień z wodą w jedno zlejesz ciało,
 I czucie bijącego serca z zimną skałą
 Niżli nas dwóch pospołu.

NIEZNAJOMY z udaną pokorą.

W jakim my rozdziele,

Wiem za nadto — jam sługa — tyś wszechmocnym panem.
 Boli mnie tylko jedno — że nad moim stanem
 Masz wątplenie — przysięgam — nie jestem Szatanem,
 Chcesz dowodów? — Na piersiach, patrz, krzyż święty wisi
 Chcesz abym się przeżegnał? — Żegnam się w trzy znaki
 Ojca, syna, i ducha — czyż może bydz jak

Dowód większy — ten szkaplerz darowali mnisi,
Mam i koronki z sobą — nabożeństwa księgę.

(do siebie)

Dawno te wszystkie znaki straciły potęgę!
Zewnętrzność martwa kiedy dusza jej nie grzeje,
Ludzie już braćmi memi — i ty — mam nadzieję
Śmiałku, nim ty zostaniesz!

WACŁAW.

Jeżliś katolikiem

Jak mówisz, czemuż język twój czarta językiem?
Najhaniebniejsze rady z ust twoich wychodzą.
Pamiętasz rzeczy któreś chłopstwu niewinnemu
Kredensował bez liczby? — Czemu, powiedz czemu
Ludzi nieobeznanych z myśli wartką wodzą
Rozumowaniem wicherzyć! — Czemu dzisiaj znowu
Szatański dając stempel i myślom i słowu
Rozchwiałeś w mgnieniu oka wszystkich wolę świętą?

NIEZNAJOMY.

Jeżli śmiało nie poszło jak było zaczęto,
Widać że sprawa jeszcze niedojrzała była.
Kiedy co w czasie leży, tego żadna siła
Wstrzymać nigdy nie może.

WACŁAW.

Lecz opóźnić może.

NIEZNAJOMY.

Chwilę tylko. — Niech całą obronę rozłożę.
O chłopstwie mi wspomniałeś. — Jak od cedru łątek
W królestwie roślin rośny, tak różni są ludzie.
Czyliż wart który z chłopstwa klótliwego śmiałek,
Ażeby mu o wiecznym mówić, prawić cudzie,
Jak o piątem z przykazań żołnierzowi w boju?
Wszedłem prawda, jeżeli pomnisz, do pokoju
W innym czasie — śpiewali piosnkę narodową
Ale właśnie ten śpiew mnie rozgniewał na nowo.
Ciebie widziałem smutnym, i rozpaczy bliskim —
Widziałem — twego ducha, jak nowym rozbłyskiem
W nowe się światła stroił, w nowe tajemnice.

Szczyć się będę wiecznie jak się dzisiaj szczyć
 Żem cię wtenczas mógł przejrzeć, i wielbić tajemnie;
 Zdawałeś mi się wielkim — tak wyższym odemnie,
 A przecież serce moje, two serce odgadło!
 W natchnieniu, w snach uroczych — nie marzyłem cudniej!
 Rozchwiali mi sen cały — ludzie w sercu brudni!
 Łzy piaństwo zastąpiło — śpiew ojczysty — jadło.
 Gniewny, nadzwyczaj gniewny, chciałem im przyznać
 Myśl zwichrzyć i umęczyć — dla tego im kraje
 Inne, obce chwaliłem — dla tego im pieśni
 Śpiewałem nieprzystojne — i gdybym miał koło,
 Koło na myśli zawrót — byłbym ich wesoło,
 W zawrót pusił, i kręcił, i nie wstrzymał wcześniej
 Ażby ich myśli nędzne wartkości nabrały.
 Jeżeli to grzechem, oto zbrodnia, grzech mój cały;
 Ty mnie potępić możesz, inny nie ma prawa.
 I ja cierpiałem w życiu, i mnie praca krwawa,
 Zmęczyła w mej młodości, zgubiła niestety!
 Straciłem wiarę wcześniej — książki mnie znęciły
 W książkach ostatnie ducha wytępiłem siły,
 A świata roszkosh płocha — miłość i kobiety
 Obaliły do szczętu — oto życia powieść
 Krótka — lecz dostatecznie powinna ci dowieść
 Czem byłem — czem być chciałem — czem jestem niestety!
 Nieszczęśliwemu jedno zostało w podziale
 Wyższych wielbić — o siebie z wzdargą nie dbać wcale!

Wichrzę się z dnia na drugi, bez zamiaru, celu,
 Gdzie przyjdę, rzadko znajdę przyjaznych mi wielu,
 Bo trudno na tym świecie o szczerych przyjaciół. —
 Tu inaczej — tu zaraz do tajemnych związków
 Wprowadzony zostałem — z których — później — z czasem —
 Przyznaję, gdybym myśli, serca ich był zaciął
 Cożby nie przedsięwziął? — Lecz z suchych gałęzek
 Drzewo się nie urodzi — nie rozrośnie lasem.
 Tak więc, to com powiedział — jest — było koniecznem,
 Jak czas który ma nadejść kołowrotem wiecznym!
 Przyjdzie — przyjdzie zapewne — i ja zdanie zmienię;

Ale to całe zginąć musi pokolenie
Z tego już nic nie wzrośnie!

WACŁAW.

W przyszłych losów urnę
Chwytasz ręką zbyt śmiało.

NIEZNAJOMY.

Bo przejrzenia górne,
Zwiastowanie poprzedza.

WACŁAW.

Bóg świat stworzył wolą!

NIEZNAJOMY.

Ale i prawa z światem — podług tego prawa
Słońce choć codzień ginie, codziennie powstawa;
Planety i gwiazd tysiąc koło słońca kołą,
Człowiek pewnym sposobem z dzieciństwa wyrasta,
Narody jednym trybem powstają i giną
I Polska, kolebana od rodziny Piasta
W młodości ciało swoje, Elbą, Dnieprem, Dźwiną,
Jak potrójnym łańcuchem opasała silnie.
W trzech stolicach: Królewcu, Krakowie i Wilnie
Orzeł z zamku powiewał — a ręką rozrosłą
Ujawszy flag tysiącznych sternikowskie wiosło,
Dwa morza zhołdowała — północ i południe!
Po tej wiosnie, niestety, — nieszczęśliwe grudnie,
Siły jej —

WACŁAW.

Dość już tego — wam zimnemi słowy
Kredensować i bluzgać — gdzie czynić wypada,
W wielkich rzeczach nie z myśli, z serca płynie rada.

NIEZNAJOMY do siebie.

Nie trafiłem, choć przecie jako szczur grobowy
W jego się ciało, myśli, i duszę wżerałem,
Spróbujmy teraz z większym przemówić zapalem.

DO WACŁAWA.

O gdybym klucz mógł znaleźć do serca podwoi!
Pokazałbym ci ducha ludzkiego narodu!
Dwa lata człowiek tylko ma serce za młodu,
Potem i w myśli nawet działania się boi.

Tobie ludzka przewrotność ledwie w słabem echu
 Zdaleka znana była — lecz rozpatrz się bliżej!
 Egoiści, obłudni, głupcy i nieszczerzy
 Rozpatrz się tylko bliżej, a pełen pośpiechu
 Wciągniesz skarb twojej duszy do wiecznych kryjówek! —

(Jakoby myśl mu niespodziana przyszła.)

Ha!! — czy wierzysz w magnetyzm?

WACŁAW.

Nie widzę w tem grzechu!

NIEZNAJOMY.

Zmianą miejsca i czasu, dawniej czarem zwano,
 Dziś głupstwem, przesadzeniem nazywa półgłówek.
 A przecie, czem dla duszy, wieczór, noc lub rano?
 Czem dla myśli granice? — Kiedy w mgnieniu oka
 Przeszłość w czas teraźniejszy zmienić dusza może,
 Przez najciemniejsze do gwiazd przedrze się bezdroże
 I w przyszłość strzelić umie żrenicą proroka.

WACŁAW.

Nie rozumiem dotychczas do czego to wiedzie.

NIEZNAJOMY.

Napomknąłem jedynie, że nie zawsze czarem
 Co z czasu albo miejsca mija się rozmiarem.

(Do siebie.)

Dziś wszystko ich sposobem tłumaczyć wypada!
 Ale od czegoż zacząć? Niech na samym przedzie
 Serce mu zajmie piękność nieszczęśliwa — błada!
 Bądź co bądź — ja od czynów odstraszyć go muszę!

DO WACŁAWA w ciągu poprzednim.

I duszą ma swe oczy i przegląda w duszę!
 Umiem magnetyzować!

WACŁAW.

Cóż z tąd?

NIEZNAJOMY coraz prędzej.

Poznasz w chwili

Tych, którym życie twoje chcesz ponieść w ofierze.
 Ha! już mnie pierwsze drganie magnetyzmu bierze!
 Na ciebie je przelewam — niech w kształcie motyli

Co prędko bawią oko i nigdy nie znudzą
Obrazy się mijają — rzucam ręką na cię.

(Robi magnetyzmu znaki.)

Raz pierwszy, drugi, trzeci, w białej, pięknej szacie
Czy nie widzisz osoby?

WACŁAW w letargu.

Nieznajomą, cudzą —

NIEZNAJOMY.

Ja przez mgłę tylko widzę — bo oko i ucho
Stępione już jest moje!

WACŁAW.

Głosy jakieś słyszę!

NIEZNAJOMY z ironią.

Wielki duchu, ty w słowa możesz ubrać cisze!
W moich piersiach jedynych, w wrzasku nawet głucho.

(Obrazy różne pokazują się jeden po drugim.)

OBRAZ PIERWSZY.

(Młoda dziewczyna w bieli ubrana na łóżku spoczywa, przy niej trzy inne osoby.)

GŁOS DZIEWCZYNY.

Płyńcie, łzy moje płyncie, ostatki pociechy!

Gdy się dzień zabieli,

Ujrzycie lica blade w małżeńskiej pościeli,

Z niemi serce zastygnie, i ciężkie oddechy

Z ostatnią łzą skonają — pożałujesz córki

Smutek ci marszczki gniewu z czoła wypogodzi

Ale córki nie będzie, córki nie odrodzi —

Nie szukaj jej do koła, na rzeki i wzgórki

Nie wybiegaj, i drogi nie krzyżuj daremno

Tam gdzie ja będę ojciec — tam wieczyście ciemno

Słońce nigdy nie błysnie, ani dróg tam nie ma.

Bez celu, bez dążenia, wycieńczone duchy

Chodzą tylko i milczą i myślą — i słuchy

Wyciągają ciekawe — i trupa oczyma

Gonią w ciemności jakieś obce, dziwne ślady!

Ale tam same tylko szkieletów pokłady.

Jeden chce wyrzec złowo, a słowo w paszczęce

Wypalonej jak w puszczy ciemny wiatr zawieje,

Drugi wyciąga zeschłe, potrzaskane ręce!
 Lecz próżno gonią pamięć, stracili nadzieję.

(Mocniej.)

Ha! jakoż obca, nagle, nieznana mi trwoga,
 Jak dreszcz śmiertelny wszystkie żyły wskroś przenika
 Ojcie, ojcie, ach ojcie! — oko się zamyka
 Tracę blask — tracę życie i Boga i Boga!

(Po pauzie.)

Kto woła Ludmiłę!

Toś ty o duszo moja — ty serca aniele
 I ty tutaj? — tak zimno, tak smutno w kościele
 Ty mogłeś żyć — twe życie tylom drogie — miłe —
 Ale nie tyś winny!! —

Dla czegoś mnie nauczył że nad ojca, matkę
 I ciebie kochać można? — tyś mi tę zagadkę
 Która w postaci obcej jak motyl zdrętwiała
 W głębi leżała serca — wskrzesił, rozgrzał okiem,
 Stałeś się wróżką duszy i szczęścia prorokiem
 Pokazałeś mi z ziemi nieba okrąg cały,
 A dzisiaj —

Dziś dla mnie ślubny wieniec z rozmarynu plotą!
 Jutro, o boże wielki, skronie mi uwieńczy —
 Tak chmurę czasem zwiąże żywa wstęga tęczy
 Póki wiatry jej kształtów jasnych nie rozmiotą!

Słyszysz Ludmiło! dzwonią — gdzież jest ślubna szata
 I myrtu gałązka —
 Białą mi suknię dajcie, bieluchną sukienkę
 Lekką, żebym ją w wieczność, za tysiączne lata
 Unieść mogła — nie dobra — za ciężka — za wążka —
 Lekką dajcie i białą do tego sukienkę!
 Księżu wiąż prędzej ręce — czy chcesz tego męża?
 — Wy zawsze woli chcecie niedorzeczni księża!
 Wiąż prędzej mówię ręce — zimna twoja stuła
 A dziewczyna ma serce — a dziewczyna czuła —
 Mój ojcie — słuchaj córki — chmurne twoje czoło!
 Już po ślubie, i czegoż stoicie wokoło?

Dalej w weselne tany!

Ojciec łzami zalany

Pan młody ściska usta — gdzie ojciec córeczka?

Księżę gdzie twa owieczka?

Dzwonią — dzwonią — i dzwonią? Ktoś umarł z okolic
Kto umarł? Jakiś obcy, nieznajomy pyta.

Toć zobacz! — Patrz — dziewczyna kirem jest okryta,

A kir nie jest kamieniem — ni przyrosłym do lic.

Odkrywa i zakrzyknął — czegoż krzyczysz bracie

Czy tę biedną dziewczynę, czy Ludmiłę znacie?

Umarła gdy ślub brała

Nazbyt, nazbyt kochała!

A on ściska i płacze i tuli do łona!

Ale darmo zapóźno — nie żyje już ona!

DOKTOR.

W malignie dywaguje —

OJCIEC.

Ale gdzież w malignie,

Szał romansów — kochanie — oto jej nieszczęście.

DOKTOR.

Puls jej coraz wolniejszy — serce bardziej stygnie —

OJCIEC.

Ludmiło słuchaj — wiecznie zerwane zamężcie,

Ty sama sobie męża obierzesz do woli.

DOKTOR.

Puls mocniejszy — przychodzi do zmysłów powoli.

LUDMIŁA budzi się.

Gdzież jestem? — Toś ty ojciec — czemuś nie wesół?

Ja w tej chwili słyszałam mówiące anioły!

Trzech ich było — mówili — ah o czym — nie powiem.

Jeden wziął suknię ślubną — tę samą złoconą

Którą mam — drugi rączką obdarzył mnie zdrowiem,

Trzeci wzbął się do góry, zwabił większe grono

I wszyscy mi śpiewali — (z bojaźnią) ojciec, wszak ja żona?

Chcę bydź — będę — tyś kazał — głowa moja głowa!!

INNY GŁOS.

Tylko jej dobrze pogroź a wnet będzie zdrowa.

Udanie! — sztuka kobiet! — a ty przyjacielu
Który zagle popuszczasz kaprysom dziewczyny...

TRZECI.

Jak wieść gruchnie — przepędzi dom wojewodziny,
Księżnej pani i innych uszu dojdzie wielu,
Utracisz sławę twoją, dotąd utrzymaną,
Wiesz dobrze jak się wczoraj z takich rzeczy śmiano.

DOKTOR.

Być może — ale jednak podług Hagemana...

GŁOS KOBIECY.

W ustach sina — na twarzy już błada jak ściana,
Księdza, księdza co prędzej. —

DOKTOR.

Zapóźno umarła!

WACŁAW z uniesieniem.

Krzyczcie ze mną co mocy, co siły, co garła!
Biada, ah biada ojcom, gdy dzieci zabiją!

NIEZNAJOMY dając znak.

Giń obrazie — niech obłok przepaścistą szyją
Połknie senne zjawienia —

(Do siebie.)

Rozdrażniłem serce

Teraz tylko iskierkę rzucać po iskiecie. —

(Robi znaki.)

OBRAZ DRUGI.

(Pokój — kilku wyższych oficerów grają w karty.)

JEDEN Z NICH do ciągnącego bank.

Piątka — czwórka i wygrywa dziesiątka —
Cały bank pękł od razu; niech żyje ojczyzna!
Od ran, głodu, niewygód, lepsza to pamiątka,
Z resztą każdy czy volens czy nolens mi przyzna
Że złoto nie jest słowem.

(Chowa pieniądze.)

DRUGI.

Żarty, wolne żarty

Ale teraz bank ciągnij! —

POPRZEDNI.

Nie gram więcej w karty!

INNY.

Rewanż nam dziś dać musisz.

POPRZEDNI.

Służba przed zabawą,
Jutro na mnie przypada, żegnam was koledzy.

JEDEN z przegranych.

Otóżto parańianom wdawać się z Warszawą,
Przyszedł, zabrał i poszedł prawie bez mej wiedzy.
To brzydko — wam odnósze pod sąd czyn tak czarny!
Postąpił nieuczciwie —

WIELU.

Honor militarny

Nic o tem nie wspomina, grać każdemu wolno.

POPRZEDNI.

Ale przecież grać można z wiarą zabopolną
I z uczuciem, nie ślepo.

JENERAŁ.

Gra jest jako wojna;

Żołnierzowi nie wchodzić w cele i zamiary.
Na posłuszeństwie ślepem stoi siła zbrojna,
Gdy podniosą sztandary, stawaj pod sztandary
Uderzą w bęben — bij się — śmierć, rany, niewola
Wszystko niczem — grunt rzeczy: nie uchodzić z pola.

PUŁKOWNIK.

I honor swój zachować! — dla tego z mej strony
Nigdy nie zaprzestanę potępiać legiony.
Z czegoż powstały? — z zbiegów — zbieg, zdrajca, toż samo
Gdy służy się królowi — cześć, honor wojskowy
Żąda abyś go bronił do deski grobowej.

DWÓCH grających z sobą.

(Jeden:)

Za pozwoleniem — kralkę twoję biję damą
I areszt.

DRUGI.

(Rozgniewany już na wygrywającego, już na mówiących.)

Mniejsza o to — mniejsza mówię o to.
Przegrałem — dobrze — u mnie kruszcem tylko złoto;
Ale tych maksym waszych, nie myślę podzielać.

Więc człowiek niczem więcej prócz nędznej maszyny?
 Gdy każą strzelać — musi ślepo bić i strzelać?
 Ojciec do swoich dzieci? do swych ojców syny,
 I te honor wojskowy — to wasze wawrzyny?

(Obraz się chmurą zasłania.)

NIEZNAJOMY.

(Patrząc na tworzący się obraz nowy, mówi do Wacława.)

W starej gotyckiej sali zbierają się goście,
 Na sześciu dużych stołach kilkaset talerzy,
 Jako w sześciu okrętach, na pokładnym moście.
 Żołnierzy pięćset w zbrojach snem ujętych leży.
 Srebra w górę sterczące i wetów zastawy
 Jak maszty podniesione żeglującej nawy
 Wspinają się ze środka — a śnieżne kryształ
 Malowane kosztownym, różnofarbnym sokiem,
 Sypią iskry na obrus rozpostarty biały,
 Jak gwiazdy kiedy błysną nieśmiertelnem okiem
 Za jasnym lub w lazurze rozbitym obłokiem.
 Dano znak — jak na flocie w tył zbiegłe armaty
 Patrz — krzesła się ruszyły — i jak od naboju
 Każde cięższe na powrót wlecze się do stołu.
 Miękkie jedwabne kobiet powiewają szaty
 Czy słyszysz brzęk talerzy? — wyzywa do hoju —
 Przyjacieli, nieprzyjacieli siadają pospołu.

OBRAZ TRZECI.

(Biesiada.)

DAMA do sąsiadki.

Jutro bal jest u księżnej.

MŁODY CZŁOWIEK do sąsiada.

Czy panu znajoma

Świeżo przysłała broszura francuzka z Paryża?

INNA GRUPA.

On został, panie hrabio, kawalerem krzyża —

MŁODA DAMA do drugiej.

Co za czułe małżeństwo — obok męża żona.

DRUGA

Widać że im nie znany obyczaj, świat wielki.

MŁODY CZŁOWIEK do towarzysza.

Nudy okropne, gdyby nie było butelki!

INNA GRUPA.

Ależ tak panie pośle — sprawiedliwość, prawo,
Jest najświętsza człowieka i ludów ustawą
Pereat mundus, fiat justitia divina!

DRUGA GRUPA.

Patrz, patrz, otóż znów swoje formułki zaczyna.

POSEŁ NA UCHO drugiemu.

Konstytucyi chcę uczyć dzieci przed pacierzem.

DRUGI.

A jak królów nie będzie? —

POSEŁ.

Cicho tylko, cicho!

Przynajmniej krząknij mocno, lub brząknij talerzem.

INNA GRUPA.

Cóż pan za książki czyta? —

DRUGI.

Jak zwykle, Woltera

To pisarz, to poeta!

PIERWSZY.

Dowcip nie umiera.

LITERACI STARZY.

W tak młodym wieku jeszcze, a już z taką pychą,
Powstaje na prawidła nieśmiertelne sztuki,
Nam odmawia talentu, zdatności, nauki,
A jego czemże dzieła?

DRUGI.

Czas wszystko obali.

PIERWSZY.

O! temu nie dowierzać — z czasem rosną mali;
I chociaż pewny jestem że on w nic zapadnie,
Jednak, tak nas pohanbić, oczernić szkaradnie
To za nadto. —

WACŁAW.

(w letargu myśląc że i on na biesiadzie, mówi do nieznanego:)

Patrz — kielich — witajże kielichu!

NIEZNAJOMY korzystając z jego błędu.

Nie tak głośno Wacławie — po cichu.

WACŁAW.

Chcę im zdrowie zawrzasać, z całej duszy z serca,
Każdy zadrży jak listek, prawdy przeniewierca.

NIEZNAJOMY.

Ha! już ze złota niosą roztruchan ulany —
Patrz, patrz! — przeżył on zmianę niejednej kolei
Nad ludzi droższe takie stare roztruchany!
Ten zabytkiem jest jeszcze Batorego wieku,
W różnych on czasach różne myśli budził w człeku;
Dawniej bytu trwałego — dziś słabej nadziei!
Tak z portu migająca wysoko latarnia
Szczęśliwych, nieszczęśliwych do siebie przygarnia,
Gospodarz wznosi toast —

PAN BIESIADY w obrazie mówi.

Kielich przy biesiadzie,

W dniu dzisiejszym — jest jako myśl w słowa osadzie,
Nierozdzielny, konieczny. — Kielich z dawnych czasów
Jest jako droga wolna wśród zarosłych lasów
Daleko nią iść można — któż więc zdrowie wzniesie?

WACŁAW podnosząc rękę.

Ja — kielich — do mnie — tutaj — na zdrowiu niezbywa!

NIEZNAJOMY dając znak.

Za cieniem, marą tylko ręka twoja drze się,
Niechaj na obraz cały spadnie chmur pokrywa.

(Obraz znika.)

WACŁAW obudzony.

To czary są szatańskie!

NIEZNAJOMY.

To magnetyzm zwykły;

I skutkiem przytem myśli, które świat przenikły;
W powietrzu widzę zdala, jeden obraz jeszcze.

(do siebie.)

On poetą — ostudzę mu zapalę wieszczce.

OBRAZ CZWARTY.

(Sala — na środku trumna — ludzi pełno.)

NIEZNAJOMY do Wacława, tłumacząc obraz.

W sali gotyckiej znowu pełno światła błyska,
Nie biesiadnicze przecież widzę w niej kielichy,

Na żałobne obchody zmieniono igrzyska;
Koło trumny rzędami zasępione mnichy.

Patrz — usta ma w uśmiechu — oczy lekko mruży,
Jakby do obudzenia przeznaczone z czasem,
Biały atlas pod głową a lilja przy róży
Wygląda z rozpuszczonych włosów nad atlasem.

I wiele ludzi płacze przy dziewczyny trumnie!
Trzech tylko łzy nie spuści — spoglądają dumnie —
Wyżsi oni od gminu, choć nie możni w lata.
Každy z nich ma czcigodny tytuł literata!
Niechaj więc inni płaczą, ich pisać rzemiosłem,
Niech żołnierz z prawa życie wystawia na kule,
Oni piórem po czasie pływają jak wiosłem,
I kiedy kto umiera, oni piszą czule. —

(W obrazie.)

JEDEN Z POETÓW.

Nie zła treść do ballady.

DRUGI.

Co mi tam ballady!

Historia, to prawdziwa do kopania mina,
Alboż to nie posiada skarbów Ukraina
Litwa — Wołyń — Podole — niech więc stare dziady
Jęczą, płaczą gdy umrze znikoma dziewczyna —
Mnie innych trzeba rzeczy, wyższych lutni strojów.
Śród niepogód, zdrad, nieszczęść, walki, krwawych bojów,
Tam wiersz płynie — gdzie indziej wlecze się z oporem.
Teatrem moich marzeń są całe narody.

PIERWSZY.

Między literatami nigdy nie ma zgody,
Któryż na swe kopyto nie chce być autorem!

POPRZEDNI.

Trzeba patrzeć jak stwarza, nie na to co stwarza.

PIERWSZY.

Ależ to tym sposobem każdy co wiersz kleci,
Bajkę jaką napisze, lub powieść dla dzieci,
Byle dobrze, na imie zasłuży pisarza.
Dla czegoż tak rzadkimi wielcy są poeci?

POPZREDNI.

Stylem dobrym, w dźwięczącym poematów rymie,
Nieśmiertelności łatwo przekazać swe imie.

TRZECI POETA.

Słuchajcie! i ja prawo mam do odpowiedzi,
Kto nie ma serca, bracia, ten próżno się biedzi
Pisać choćby wiek cały, lecz i serce mało.
Tylko ten kto w natchnieniu wiek swój porozumie,
Komu ów tajny popęd jak stworzenia słowo
W świat się cały rozłoży, rozrośnie się w ciało;
I on to ciało widzi — w samotności — w tłumie
W dzień i w nocy — i tego ciała jest połową;
Tylko ten który jako ksiądz w ubraniu świętym
Ludziom wszystkim mszę czyta przed wielkim ołtarzem,
Czy od razu pojęty — czy będzie pojętym —
Tylko ten mistrzem w sztuce — wielkim jest pisarzeni.

(Obraz znika.)

NIEZNAJOMY do Wacława.

Widziałeś różnych ludzi — ciż więc powołani
Do czynów nieśmiertelnych, do myśli wysokiej,
Ciż spełnić mają stwórcy wszechwładne wyroki?
Spełnione będą z czasem — lecz słuchaj — nie raniej
Aż całe pokolenie w proch się i kurzawę
Rozsypie ręką śmierci — wtenczas boje krwawe
Jnaczej zrozumieją — honor, cześć wojskowa —
Owe bożyszczą wszystkich przejdą w pośmiewisko,
Ojczyzna, wolność, wiara, bitew będzie hasłem;
Wtenczas prawników zimnych na wiatr pójdą słowa,
Bentama, Benjaminów, zaginie nazwisko
I jak martwą tę czaszkę o kamień roztrzaskam
Ich nauka, ich formy, w zaburzonym czasie
Na prochy się rozprysną — wtenczas ludów massie
Przewodniczyć olbrzymi, wielcy ludzie muszą,
I powstaną poeci — natchnieni prorocy,
I lud jeden drugiemu pójdzie ku pomocy
A narody zostaną stwórcy jedną duszą —
W myślach tylko odmienne! — Wtenczas działać przyjdzie!

WACŁAW.

A teraz? każdy niechaj utajony w wstydzie
 Ręce swe założywszy zdaleka, swobodnie,
 Zimnem okiem spogląda na męki i zbrodnie!
 Otwórz więzienia wszystkie, ty który w rozumie
 Wieszców natchnienia dzierzysz, i spojrzuj w więzienia,
 Przybliź się do serc młodych, jeśli z przeznaczenia
 Serce ci w dział przypadło, i czuć mocno umie,
 Komu te serca biją! — spytaj lud prostaczy,
 Spojrzuj na naród cały w smutku i rozpaczy,
 Dowiesz się że czas blisko i będzie inaczej. —

(Słońce wschodzi — z miasta przybliża się orszak pogrzebowy — słychać
 śpiewy i modlitwy księdza.)

CHÓR DZIEWCZYN.

Nie każdy kwiat ginie w lecie,
 Róża więdnąc często w wiosnie,
 Życie jako sen na świecie,
 Ledwie zasniesz już ci po śnie.

CHÓR CHŁOPCÓW.

Ojcze, za córeczki wiano
 Złóż na trumnę deski cztery
 I lę w oku — żal miej szczery,
 Łzy przyjęte tam zostaną.

(Ksiądz posępnym głosem odmawiając modlitwy:)

Domine exaudi orationem meam!

NIEZNAJOMY do Wacława.

Słuchaj? to tą dla ciebie, dla nas głosy wieszczce.
 Raz ciebie proszę jeszcze, raz zaklinam jeszcze,
 Dla miłości ojczyzny, bliźnich, i rodziny
 Zaniechaj przedsięwzięcia — opóźnij twe czyny!

WACŁAW.

Jam ci się z nich nie zwierzał.

NIEZNAJOMY z zapalem.

Biada stokroć biada!

Gdy człowiek wcześniej zedrze z czasów swych zasłonę,
 I widzi pod nią stare bóstwa obnażone,
 Każde jak Saturn z dzieckiem — każde swój plód zjada.
 Wiem o tem, wyrok wyższy i tych bogów strąca

Bo żelazną koleją pędzi w czas pierzchliwy,
 Ale tylko ten wielki, ten człowiek szczęśliwy
 Który wśród głosów mylnych, wśród wrzasków tysiąca,
 Uchem duszy rozpozna przeznaczeń kół grzmienie
 Wskoczy w rydwan wyroków, i zajmie siedzenie
 I po czasie przejedzie jako Przeznaczenie!
 Tyś w myśli innych przerósł — tyś ręką twą śmiałą
 Sięgnął do pana Boga po laury, po wieniec
 Tyś w myśli Bogu blizki — a jeszcze młodzieniec!
 Poznaj godność twą całą — twą wszechwładność całą;
 Nie brudź duszy tak wielkiej robakami ziemi.
 Jak orzeł ty w obłokach wznosisz się nad niemi.
 Czyń — rozmawiaj — lecz tylko z duchami świętymi;
 Ludzie — niech tobie służą jak ja służyć myślę!
 Rozkaż, a wszystko zrobię.

WACŁAW.

Jdź — puść mnie — dziś — teraz —

NIEZNAJOMY.

Trzeba — dobrze — lecz w sercu, w pamięci, w umyśle
 Z tobą będę — i ciebie wielbić będę nie raz.
 Jedno tylko mi przyrzecz — twą pomoc, opiekę
 W razie potrzeby naglej!

WACŁAW.

Tego nie przyrzekę.

NIEZNAJOMY.

Z litości chrześcijańskiej — słudze i bliźniemu!

WACŁAW.

Mniejsza o to. —

NIEZNAJOMY do siebie.

Więc dobrze — smętarz moim świadkiem.

Ująłem cię siłą ostatkiem,

Teraz nie wydrzesz się złemu!

(Pogrzeb się zbliża — wpuszczają trumnę do grobu)

CHÓR DZIEWCZYN I CHŁOPCÓW.

Oczki młode zwir przypruszy.

Ziemia grzmi na trumny desce

Dajmy jej po szczerej łezce

I paciorek dla jej duszy!

KSIĄDZ. (Kończąc swoje modlitwy.)

Ex ore infantium — ut destruas inimicum!

(Nieznajomy znika, Wacław zamysłony odchodzi.)

IV.

ODKRYCIE TAJEMNE.

Trzy tygodnie mijaly Wacława pobytu,
Gdy przedmiotem, gdy uwag ludzi został celem.
Nazwano go tajemnym prawdy przyjacielem.
Zkąd wyrosło nazwisko tak pełne zaszczytu
Trudno badać — to pewna że czasem, w zapale,
Odpowiadał na zwykłe pytania, zarzuty,
Ale częściej zamlecał, i nie mówił wcale.
Bądź co bądź — wątku rzeczy szukano dopóty
Aż długa o Wacławie rozeszła się powieść:
Mówiono w niej, o duchach, tajemnym upiorze,
O tajemniejszych jeszcze przyjaciół wyborze,
I w końcu, że czynami chce śmiertelnym dowieść
Czem prawda — że ukrytą wielkość w sobie chowa,
Wielkość duszy! — co więcej choć w nim skąpa mowa
Choć każdą myśl przed ludźmi starannie zamyka,
W obieg pismo puszczone, lub wyjątek raczej,
Zapewne z codziennego Wacława dziennika;
Ale jakim sposobem nikt nie wytłumaczy.
Tak ogłos dział jęczący gdy chmury rozbije,
Zarazem w otchłań ziemi wpada — i korytem
Pewniejszym od powietrza bo ciemnem, ukrytem,
Płynie jak rzeka bystra w przepaścistą szyję,
Aż gdzieś — uchem dybiącym, podróży daleki
Zrozumie głos podziemny, nurt pojmie tej rzeki!

PISMO W OBIEG PUSZCZONE.

«Biada tym nikczemnikom w których duszy, jako
W stepach północnych krajów, czy słońce zaświeci

Czy wicher skrzydłem nocy z mrozem w paszczę wleci,
Zawsze glucho — samotnie — spokojnie — jednak,
Bo przyjdzie dzień jasności dla jasności powiek;
Czas nocy — jeżeli w nocy duszą zagrażał człowiek!

Biada obrońcom wiary! którzy bronią wiary
Jako dawnych zwyczajów niedołącznik stary!
Ale spojrzysz w ich czyny, w ich zabiegi, cele —
Podłe, wierutne łotry, to ich przyjaciele!
Ich celem ziemskie tylko błyskotki i zyski;
Zabawą, na bliźniego rzucane pociski
A wiarą ich właściwą, ton jest towarzyski.

Widziałem ja i takich co w słowa bogaci,
W nauki jako w suknie dnia świętego strojni,
Tryb przytem pewny mając w ruchu i postaci,
Między głupimi mądrzy, szczęśliwi, spokojni.
Nigdy im niedostatek nauk nie dokuczy!,
Nigdy głód celów wyższych nie cieńczył im duszy,
Uczą drugich czego się każdy z nich nauczył!
I co dawniej słyszeli, uczniom trąbią w uszy.
Przyjdzie czas, ich nauki jako mgła na wietrze
Rozchwieją się, głos prawdy w proch ich głowy zetrze.
I Bóg wyrok pism świętych wszechwładnie dokona
Mędrzec w głupca się zmieni — głupiec w Salomona.

Biada ludziom bez serca! ludziom wiary malej,
Biada tym którzy sprawie nie uwierzą świętej!
Dusza ich — dom to z drzewa na węgle zgorzały
Od żadnego już ognia nie może być zjęty.
On do piekła na głównie od Boga przeklęty!"

— Słowa te tłumaczono, dziwacznie.
Jeden w nich tylko widział zapał kaznodzieja,
Drugi że Wacław pisać dzieło jakieś zacznie,
W innych przyszłej wstąpiła odmiany nadzieja,
Albo też, myśli w żywych przekształcając ludzi,
Papieża, krwawych rządców, mędrków ganił trzeci,
Papieża — że go wolność z letargu nie wzbudzi,

Rządców — że naród cały obracają w dzieci,
 Każdy jednak przyznawał Wacławowi cele,
 Które ojczyźnie, ludziom obiecują wiele:
 Tak prostak, wielkie często chcąc rozumieć myśli
 Plany robi dziwaczne, domniemania kryśli
 Aż w końcu, widzi biedak że pomimo woli
 Zamiast wielkiego czleka, półboga obrazu
 Myśl olbrzymią rozpoczął odgadywać z razu,
 Ale na swojej płaskiej zakończył powoli. —

Co pewna — Wacław wyższy, od tych co z nałogu
 Albo myśleć się uczą, lub cześć niosą bogu;
 Dusza ich piękna w słowach, w uczynkach jest inną
 Napróżno chcieć ją badać, bo nikt jej nie zbada;
 Każde ziarno w nią wpadnie jak w ziemię rodzinną,
 Ale i każde zmiecie lada deszcz, wiatr lada.
 Wacław co czuje, myśli, to w życiu, to w czynach
 Odgadnąć jako ojca z podobieństwa w synach,
 Jak wesołość w uśmiechu, jako żal w oku.
 On, cokolwiek do duszy wielkiego wpłynęło,
 Jako piasek Paktolu, wybiera z potoku
 I na wieczyste, trwałe przeistacza dzieło,
 Czasom przyszłym i ludziom, na dzieło nauki!
 Ale nie — któż w uczuciu cel sobie zasadza!
 Myśli w zapale twórczym jak napięte łuki.
 Tam czyn, tam strzałę pędzą gdzie sięgnie ich władza!

V.

WYJAZD ZE STOLICY.

Początek był już marca — ranek zimny, śnieżny,
 Ziemi białość błyszczącą jak piersi lubieżnej,
 Chmur lekkie rąbki w górze niebu zasłaniały;
 Słońce tylko ciekawe, kochanek jej śmiały

Wciskając oko przez mgłę wiewającoj fali
 Czasem lekkim rumieńcem lica swe zapali.
 Taki dzień był wyjazdu Wacława z stolicy:
 Śnieżny — zimny — ponury — sanki na ulicy
 Zaprzężne w rzeźwe konie czekają od rana
 Na znak pierwszy — i wyjazd pożądaný pana.

Wacław przecież opóźnia — poranek już mija
 Wacław pisze — dwa listy przed nim rozpostarte
 Zapisał jedną, drugą i trzecią już kartę;
 Nakoniec we dwa pisma odpowiedzi zwija;
 I klasnął — bieży sługa — oddał — «spiesz z powrotem,
 «Czas wyjechać» — rzekł — prędko odchodzi służący;
 Wacław znowu przy stole zasiada milczący
 I znów czyta: «Dla ciebie każdy moment złotym,
 «Szpiegi cię otaczają — wyjazd twój niezwłoczny;
 «Wszystkich podstępów świadek sam jestem naoczny,
 «Wyjeżdżaj — z kraju nawet — bo czas jest po temu
 «Jutro już trudno będzie zapobiec złemu!»
 On mnie to radzi? — nagli — który pierwszy duszę
 Wyniósł w górę, nad poziom znikomości świata,
 I dał uczuć gwałtowną moc woli człowieczej?
 Ja uciekać? — i przed kim? — darmo — przecież muszę;
 Zaklina mnie na przyjaźń, obowiązki brata —
 Jadę! ale nie długo przyjdę ku odsieczu,
 Wybiegam piórem ptaka, z orła wrócę szponą.
 Kto cofnął się na chwilę czyż go już zwalczo! —
 I ten drugi list przytem! — jak siła z rozkazem,
 Przyhywa niespodzianie z pierwszym listem razem,
 Czekam mnie za granicą podstępca nieznosny;
 Dałem mu słowo — dobrze!» — Tak w myślach swych głośny
 Wacław czytając mówi — schował listy wreszcie,
 Wstał i poszedł do okna — nikt nie idzie drogą.
 Co on robi? — znów słucha — nie słysząc nikogo,
 Tylko gwar zwykły ciągnie jako szum po mieście,
 Albo krok własny, mocny, głucho się rozlega
 O szczyty wzniesionego pokoju sklepienia.
 Przyszedł w końcu — «Czy wszystkie spełnione zlecenia?

«Nie oddałeś przypadkiem? — komu? — w ręce szpiega —
 «Albo —» — «Gdzie miałem rozkaz» — «Jedźmyż bez odwłoki!»
 Po schodach zatętniały przyspieszone kroki;
 Wsiadł — ręką wskazał — na śnieżnej zamieci
 Konie i sanką pędem naprzód leci,
 On sam jak w chmurze gromu spoczywa cichy,
 W płaszcza zawojach, ściemnił swą postawę,
 Tylko na twarzy przelotne uśmiechy,
 Tylko westchnienie, wpół ucięte słowa,
 Jak wiatr, zwiastuje zbliżenie się burzy,
 Zwiastują cele tak nagłej podróży,
 Zwiastują falę co zagrzmieć gotowa.

Wacław przybył do domn — witają — on wita —
 Cały dwór wesół — tysiąc pytań, odpowiedzi,
 «Jutro zjadą się wszyscy znajomi, sąsiedzi,
 «Jutro musi być ucztą wielką, znakomitą,
 «Ojciec nasz gońców wysłał» — Wacław milczy na to;
 Przez usta czasem tylko ciemne słowa cedzi:
 «Jutro — nie dla każdego — przyszłość nam ukryta.
 «Kto wie! dnia obecnego jutro zawsze strata!»
 I przytem, co się rzadko Wacławowi zdarzy,
 Łza mu z oczu wytrysła — spłynęła po twarzy.
 Co ta łza! co ta mowa? — nigdy dotąd jeszcze
 Nie płakał — w łzach smutku nigdy on nie tuli,
 Dla czego rękę siostry ścisnął mocniej, czulej?
 Pieszczoty nazbyt wielkie, znaki są złowieszcze;
 Trucizna w żywym zwykle tai się kolorze,
 Chmura piorunów pełna świeci jako zorze!
 «Ale, żarty!» powiada — «wszak jesteśmy razem;
 «Tylkom ja drogą osłabł, i późna już pora.
 «Muszę iść — chciałbym jeszcze wyjść tego wieczora,
 «Nacieszyć się znajomym okolic obrazem.
 «Lubię z resztą powietrze czyste — mroźne — ostre.
 «Z tobą — jutro być może — później — rano — rychło!
 «Zobaczemy się!» — skończył — pocałował siostrę,
 I wyszedł ledwie słowo ostatnie ucichło.

Po prawej stronie dworca o dwa staje blisko,
 Wpodłuż rzeki wieśniaków biedne stały chaty,
 Po lewej widać było w ruinach zamczysko,
 Wspaniałe może kiedyś przed stu, dwustu laty.
 Dziś jako szkielet pusty sterczy tam na górze.
 Znać jednak po wyniosłym i kamiennym murze
 I po wale — po mostach — wpółzapadłej wieży.
 Że pan jego, że dziedzic był z owych rycerzy:
 Którzy ufną w moc własną i warownię grodu,
 Z łaski tylko słuchali króla i narodu.
 Dziś inaczej — dziś jodła swojemi konary
 Mur zdobyła, ramiona wychyla przez szpary;
 Dziś, jakoby czas zmienił ród ludzki w rośliny,
 Bluszcz skromny pnąc się w górę między rozpadliny,
 Dziś tylko strumyk mruczy pod ciężkim kamieniem,
 Który z wieżycy spadłszy przydusza bieg źródła,
 I tam gdzie ludzie grzmieli całym pokoleniem,
 Szemrze strumyk — bluszcz rośnie — i chwieje się jodła!
 Ale w nocy — tam w nocy nie zachodzi człowieku!
 Głośnie wieść postrach niesie — mówią że od wieku,
 Od czasu kiedy zamku ostatni dziedzice
 Mieszkać w nim zaprzestali — w samotnej komnacie,
 Nocą się tak jak dawniej zapalają świece;
 Twierdząc, że coś strasznego. w jakiejś dziwnej szacie,
 Naksztalt ducha rycerza, z górnej schodzi wieży
 Brząka w koło, i stąpa, i puka i bieży;
 A gdy ranny kur, trzeci raz na dzień zapieje,
 Wtenczas jak mgła przed słońcem tak straszydło znika,
 Wiatr wpada, z burzy szumem światła wszystkie zwieje;
 Słychać jak drzwi zatrząsa i groby odmyka.
 Nie raz nocni pasterze, bydło pasząc zdala
 Słyszeli nad porankiem ów turkot grobowy,
 Zdało im się jakoby łamano posowy,*
 Że mur cały z tumanem kurzu się obala,
 I słyszeli jęk jakiś pogrobowy, głuchy —
 I ze wsi nie raz widzieć, jak młode pastuchy
 Pieczy ich poruczone opuściwszy bydło
 Uciekali; zamkowe gnało ich straszydło.

Prócz strachów, zwykłych samotności dzieci,
 Pająka, dawnych ruderów strażnika,
 Sowa czasami w gmach ten nocą wleci,
 I słyhać smutne krzyczenie puszczyka.
 Albo kurz wiatrem pędzony w półkole,
 Przez drzwi otwarte wpada w to ustronie,
 Albo myśl czleka puszczone na wolę,
 Czasem w tym zamku przeszłości utonie —
 Nie człowiek przecie — bo któż się odważy?
 Młódź nie dla grobów — nie dla duchów starzy! —
 Dziś co za zmiana? — jakaś żywa postać
 Wchodzi i patrzy jakby dojrzyć chciwa,
 Czy ją od świata dosyć gmach zakrywa,
 I czy spokojnie w nim może pozostać!

Noc ciemniej coraz namiot z chmur utkany
 Na światy rzuca, jak na paschy stoły;
 Gwiazdy jak srebrne błysły roztruchany,
 Z których blask czysty spijają anioły,
 A ziemię ledwie mętną kroplą darzą.
 Księżyc obchodził z zamysloną twarzą,
 Jak sługa wierny niebieskie obszary,
 Dwónastą ziemskie wybiły zegary.

VI.

SCENA ZAMKOWA.

(Rudera sali dawnej, Wacław z pochodnią w ręku wchodzi:)

Sen pierzcha przed myślami jak ptak płochopióry
 Przed nagłym strzelca chodem porywa się zdala.
 Tak! — czuję — duch mój wyższy nad prawa natury!
 On wszechmocnie świat tworzy, on w proch go obala,

Zwierciedli się gdy zechce, jak w kryształe światło,
 W całym świecie — gdy zechce, odbiega porządku,
 Inny świat mistrza ręką rzuca sobie na tło.
 Bo on jeden bez ciągu, końca i początku!

Brzmia mi w pieśni tajemnej słowa przyjaciela:
 «Patrz na tę dumną postać — zarządcą jest świata,
 «Milionom śmiercią grozi, lub życie udziela
 «Toporem zmiennej chęci głowy ludzkie zmiata,
 «Z tych piersi nic nie dobył, z tej ducha przepaści!»
 Zrozumiałem cię bracie, przyjęło się ziarno!
 Czuję godność, wszechwładność, człowieczeństwa właści —
 Wszystko mi wydrzeć mogą, ducha nie orgarną!
 Ciągnij ciało na męki i wymyślaj męki,
 Duch w postaci anioła wzbije się do góry,
 Jak na łożu z bławatu, spojrz na tortury;
 Dumny kacie! duch jeden, żartuje z twej ręki!
 Ojczyznę jego świat jest wielki, niedościgłe
 Słońce, gwiazdy dziedzictwem — on odsuwa rygle
 Zamku niebios, z niebieskich gmachów rzuca ogień,
 On słowem, wody morskie w srebrne wały pognie,
 On wiatrom technienie daje, gór pasma rozciąga;
 On sprawił koło czasu, wiek spycha po wieku;
 Jemu stanęła ziemia w kształt chwały posąga,
 A ty sam, Boże wielki, widzisz się w człowieku!

Co za brzęk? — ha — dwunasta godzina wybiła!
 To czas w którym najtęższa nocnych duchów siła,
 Zadrżałem? — ja? — i przed kim? — czym nie wyższym duchem?
 Ja, który myśli mojej olbrzymim łańcuchem
 Ludzi samych krępuję jak nędzne robaki?
 Ja, który myślą moją jako ptak nad ptaki
 Wzbijam się w oka mgnieniu gdzie skrzydło jej niesie?
 Chcę — i myśl jako ołów przeszłość do dna wierci,
 Chcę — w przyszłość strzelam — przyszłość jako papier drze się;
 Chcę — myślą czas uderzę, czas leci na ćwierci!
 Ściganiem rzeczy ziemskich gdy uczucie znużę
 Duch mój do nieba leci błyskiem wyobraźni,

Da znak — i twórczym znakiem wydumie skrzydła chmurze,
 Olbrzymią wolą chmurę do burzy rozdrażni,
 I sam na haftowanym rojem błysków tronie,
 Gdy siądzie — niebo nad nim, ziemia pod nim leży —
 Orle, monarcho ptaków! — czem moc twoich pierzy?
 On wiatry nieścignione ujarzmił za konie!!

Dziś przecie — ha — dla czego tak mi głucho, ciemno?
 Ze wszystkich gmachu kątów dym się jakiś wzdyma,
 Każda cegła, przeszłości rdzawemi oczyma
 Spogląda, jakby cały stary wiek był ze mną!
 Dreszcz mnie zimny przechodzi — to zimne powietrze!
 Nic więcej — czemże z resztą przeszłości obrazy?
 Niczem! — są to umarłych języków wyrazy,
 Którym czas życie dawne i znaczenie zetrze,
 Potrzaskanym przez piorun gałęzistym drzewem,
 Które było — a teraz wypróchniałe leży,
 Stronami — które kiedyś głośnym brzmiały śpiewem,
 Dziś ledwie brzęk wydadzą gdy w nie myśl uderzy!

Teraźniejszy świat tylko jest wielki, jest boski,
 Przeszły, przyszły, są niczem! — Tak mi rzeźwiej, lepiej,
 Duch mój — czuję jak leci — jak się niebios czepi —
 Widzę gwiazdy! — nie gwiazdy — to stworzenia głoski
 Pierwsze które Bóg skreślił — czytam w nich jak w księdze!
 Czytam! czuję! — kto mojej zaprzeczy potędze?
 Uciekacie? — na próżno — ja za wami pędzę
 Na lżejszych myśli skrzydłach — chcę — zrobię was niczem
 Chcę — z wschodu w zachód wszystkie, woli mojej biczem
 Jakoby trzodę błędną, po mlecznym obszarze
 Poprowadzę, i w wieczną przepaść was utopię! —
 Ha — co to jest — gdzie gwiazdy? — ludzkie widzę twarze!
 Ludzi pełno, miliony, światy przy ich stopie
 Leżą jak sługi wierne, gdy rozkażą pany,
 To nie światy — to chmury — jako snop przy snopie,
 To nie chmury — zawoje — lśniące się turbany
 Srebrem tkane — na wschodzie rozsypane w koło.
 Ku wam więc wznoszę moje jak świat silne czoło!

Niechaj zawój rzeźwiący jak laurowy wieniec,
 Orzeźwi skronie moje! — niechaj z nieba rosa
 Spadnie tutaj — niech w tęczę zegną się niebiosa
 I dotkną czoła mego — potrzebne ochłody!
 Nie słuchacie! jam silny — jam w wieku młodzieniec —
 W myśli jest dusza stwórcy! — Nie słuchacie pana?
 Dobrze a więc zginiecie — w kroplę mętnej wody
 Ścisnę was — albo skinę — i na rozkaz duchy,
 Niższe duchy, jak wiatry ostrożebne zrana
 Rozchwieją was na strzępki — na pierze — na puchy,
 I bez śladu zginiecie! — nie słuchacie jeszcze? —
 Wy więc duchy nadziemne sługi mej potęgi,
 Posłuszne mi jak oku abecadło księgi,
 Jak sercu czującemu są natchniona wieszczce —
 Was wzywam — tu stawajcie — ziemim prawda synem,
 Ale wyższym od innych, bom wolnym człowiekiem.
 Mnie piersi macierzyńskie nie karmiły mlekiem;
 Męczarniami jam wyrósł — myślą — czuciem — czynem,
 I tak jak Cerber piekło, wrzaskiem trójpaszczeni
 Obszczekiwał przed laty, stróżem będąc czujnym,
 Tak ja was grzmiącą piersią, zakłamię potrójnem
 Wzywam do stawania — znak daję mej ręki! —

Ha — głosy? — to ich głosy! — jakiś akord dzwonią!
 Słucham was! — jak dech wiatru na Eolskiej lutni
 Tak miłe, ciche głosy — pływicie, pływicie duszy
 Mocniejsze — palce w biegu jedno drugie gonią —
 Wolniej — z kąd ta żalność? — brzmia słabiej i smutniej,
 Ledwie czasem stronami ręka lekka ruszy.

ŚPIEW ZA MUREM.

Pośród śniegów i zamieci,
 Gdzie w przepaściach dróg są końce,
 Przewodnikiem białe słońce,
 Któż tak śpieszy, któż tak leci
 To młodzieniec, zapaleniec,
 Szuka dawnej serca straty
 U nóg Alpy lodowatej!

Tam w dolinie, przy leszczynie,
 Pełno kwiatów, pełno drzewa,
 Strumyk cicho mrucząc płynie,
 Słownik nad strumykiem śpiewa;
 Lecz młodzieniec, zapaleniec
 Szuka dalej, swojej straty
 Minął strumień, chłód, i kwiaty.

Śmiech, zabawa — tańców wrzawa,
 Ledwie miejsce wśród natłoku,
 Jeden tylko w kącie stawa,
 Bładych liców, ze łzą w oku,
 I żałobnej, smutnej szaty!
 To młodzieniec, zapaleniec,
 Stanął — płacze serca straty!

Czegóż wzdychasz zapaleńcze!
 Świat ci się w koło uśmiecha
 Ja ci kwiatem czoło wieńczę,
 Czyż kochanka nie pociecha?
 Próżne miłości wypłaty;
 To młodzieniec, zapaleniec,
 On wciąż dawnej płacze straty.

Sen ci wieczny, żony, może
 Przyjaciela zamknął oko?
 Smutek i płacz cóż pomoże?
 Przecież on wzdycha głęboko!
 I młodzieniec, zapaleniec
 Jakby we łzy był bogaty,
 Wciąż nieznaną płacze straty.

Czas się zmienił, ludzie z wiekiem,
 Wiosna pierzchła, przyszła zima,
 Ten co młodym był człowiekiem
 Kij w zesłabej dłoni trzyma.
 Znikł młodzieniec, zapaleniec;
 Starzec z niego wyrósł siwy!
 Ale starzec był szczęśliwy!

On z wędrówki smutnej, długiej,
Szukając straty nieznanej,
O rodzinne trącił ściany
I rozpoczął żywot drugi.

Dziś weselne przywdział szaty,
Lubi ludzi, góry, kwiaty,
Bo w ojczyźnie jak przed laty!

W ojczyźnie? — kto to wyrzekł? — stojcie — nic już więcej,
Myśli moje się płaczą, gdzie jestem? gdzie byłem?
Obrazy krążą jakieś przed okiem zawilem,
Widzę krew! — głowy lecą ludzi stu tysięcy —
To bracia moi! — gdzie kat? — pomszczę się krzywd braci —
Broni! broni! chcę — muszę — ręka moja dzielna —
Dusza wolna — obrzymia — wielka — nieśmiertelna —
Gdzie oni? — gdzie ludzkości krwią spryskani kaci? —
Co za orszak żałobny kurzem z ziemi krwawej
Kłębi się i wysuwa — w oczy mi zachodzi?
Wiatr go pędzi, — nademną płaszczem się zawiesza,
Spada — spada już na mnie! — wiatr jak powiew sławy
Dawnej, zamilkłej, czuję — przypomnień powodzi
Tak jasno przy mnie, we mnie przodków wstaje rzesza! —
Znam was duchy zagasłe — ziemia waszą matką,
Niebo ojcem — ha! — błysło gwiazd czystych źrenicą,
W piersiach moich tak lubo — gwiazdy mi tak świecą!
Świećcie, świećcie, — bo serce — bije wolno — rzadko —
Usypiam jak ta piosnka, śpiew młodzieńca straty:

On w ojczyźnie jak przed laty.

GŁOS ZA OKNEM.

Wacławie!

WACŁAW.

Moje imie? — kto woła me imie! —

Precz, precz, idźcie odemnie, nikczemna gawiedzi!
Jak z spalonego drzewa dym w niebo wyrasta,
Tak z wieków ognia duch mój błyskiem ciągnę w dymie,
Do wyższych światel, kędy Bóg na słońcu siedzi!
Depczę znikomegroby, w gruzach — ległe miasta,
W ciele mojem jedynie wasze jeszcze ciało;

W duchu moim duch wieków, tkanką w myśli szacie,
Dziedzictwo wasze mojem dziedzictwem się stało:
Duchy dumne, dumniejsze dziecko, syna macie!

GŁOS ZA OKNEM.

Wacławie!

WACŁAW.

Znam głos. — Znikły — marzenia! — marzenia!

GŁOS ZA OKNEM po raz trzeci.

Wacławie!

WACŁAW przybliża się do okna.

Co za postać wyrasta z kamienia?

Lutnia w ręku — włos dziko rozpuszczony z głowy,
Rusza się — błada jakby posąg marmurowy,
Ten głos —

HELENA siostra Wacława wbiega i rzucając mu się do szyi.

Jest siostry twojej — przyjaciółki — więcej —

Twoje słowa — sny dzikie — żal jakiś dziecięcy,
Burzą i niepokoją — wybiegłam więc z domu,
Szukać ulgi, pociechy, której mieć nie mogę.
Wiatrom skarżyć się chciałam gdy nie mam nikomu;
Lutni brzmieniem łzom rzewnym przynieść zapomogę,
I błdzić, płakać chciałam. — Czy ręką anioła
Wiedziona, na te zamku wyblądziłam proęg,
Nie wiem — bo wszystko było tak ciemno do koła —
Ale bracie! tyś błąd — czy twe zbłąkane —
Co ci jest? — milczysz — Boże! —

WACŁAW.

Co mi jest? — nic wcale!

Jam wesół, lecz patrz — widzisz — (wskazuje.)

HELENA.

Starą widzę ścianę

Twoja pochodnia gaśnie — to cień twej pochodni.

WACŁAW przychodząc do siebie.

Śmieję się! — prawda — człek czasem, w szaleństwie, w zapale —
Widzi — przecież nic niema teraz lepiej, chłodniej,
Ach śmieję się ze mnie siostro! — człowiek dziwny czasem!
Jakby od świata jakim czarnoksiężkim pasem
Oddzielony — ma swoje głupstwa, przywidzenia;

Gotów płakać choć nie jest w nieszczęściu, w ucisku;
 Jak ten co na publicznem będąc widowisku
 Łzy i śmiech, razem z sceną, z kulisą odменя
 Czasem myśli że widzi — a pusto przed okiem,
 Czasem myśli że słyszy — a w około głucho!
 Czasem myśli że czuje — a to krwi drażnienia,
 I tak płynie dzień po dniu, rok zbiega za rokiem,
 I czas zwodzi — i serce — i oko — i ucho. —
 Siostro śmieję się — to wszystko głupstwo, przywidzenia.
 Więc i myśl marą tylko? —

HELENA.

Uspokój się bracie!

WACŁAW żywięj.

Ale czemuż litości nad nami nie macie?
 Co tobie szkodzić mogły sny moje dalekie
 Żeby je rwać i niszczyć? — kiedy myśli lekkie
 Wzbijają nas choć na chwilę, wyżej, trochę wyżej,
 Otóż ojciec już biegnie — siostra — brat — znajomy,
 Choć żaden się do ciebie na krok nie przybliży!
 Każdy — jak ów przewodnik co z chmur sączy gromy,
 Dla ostrożności domów wyrosły nad domy —
 Stosunkami, przyjaźnią — wabi cię zdaleka
 Póki na nowo w glinę nie wlepią człowieka!

HELENA.

Gniewasz się na mnie?

WACŁAW.

Gniewać? — tożby gniewem było?

O; nie wierz temu, mnie zawsze tak miło
 Być w towarzystwie ojca, brata, siostry!
 Dziś tylko — bo wiatr tak zimny i ostry
 Dziś — noc tak ciemna — dziś — chmury tak płyną —
 Gdyby nas ojciec, kto inny zobaczył?
 Jakżeby dziwnie rzecz tę wytłómaczył!
 Niewinna, sama byłabyś przyczyną
 Szyderstw i obelg — kar i potępienia.
 Ja może dzisiaj — jutro bez wątpienia —
 Porzucię te płacze — Bóg czuwa nad wszystkim,
 On wszak ciebie nie puści z opieki,

On widzi listek i czuwa nad listkiem,
 On jarzmi wiatry — oprowadza rzeki —
 Wszystkimi strumieniom bieg po świecie znaczy.
 Miałaby ludzi opuszczać jedynie?
 Smutek ci łzami z serca nie wypłynie,
 Nadzieja słaba — moc wielka rozpaczy!
 Porzuć te płacze — zapomnij! — z kim innym —

HELENA.

A! tak się świadczę bogiem i sumieniem
 Żem ja niewinną, aleś ty jest winnym!
 Więcże myślałeś że jak wy — my zmienim?
 Za każdą chwilę — duszę — ołtarz — boga?
 Ach! kto anioła ocenił w swej duszy,
 Ten się na słowo śmiertelnych nie wzruszy.
 W piekło i w niebo nie też sama droga!
 O nie — tyś mocny — i ja mam przysięgę,
 I jak ty mogę przekleństwami władać,
 I jak ty słowa okropne wygadać,
 I jak ty — dusza wszędzie ma potęgę,
 Więc słuchaj, słuchaj, zapóźna twa rada!
 Bóg moim świadkiem —

WACŁAW.

Biada, stokroć biada!

Kto Boga wzywa w zabronionej sprawie!
 Tyś siostrą moją!

HELENA.

Czyż to sen na jawie?

Czyś mi sam lilję nie dawał w przykładzie,
 Która kochanków w jednej ma łodydze?
 Ależ ja błędna wierzyłam! dziś widzę,
 Nie trzeba sądzić serca po ust radzie!
 Wacławie! — bracie! — nie, ja mocy nie mam
 Robić wyrzuty kiedy kocham szczerze.
 Słuchaj! ja twoim wszystkim słowom wierzę,
 Jako pacierza twych się sądów trzymam,
 Tylko mi kochać nie zabraniaj siebie!
 Przecież jeżeli Bóg w potężnem niebie
 Grzesznika duszy nie odrzuca w gniewie,

I ty aniele, nie odrzucaj mojej! —
 Kobieta czasem powie, sama nie wie,
 Dla czego jej się taka myśl uroi,
 A potem płacze nad każdą literą,
 Kiedy jej myśli uczucia zabierą.
 Wtenczas — o przebacz — przyjacielu!
 Jam cię musiała rozgniewać w zapale,
 Może po latach upłynionych wielu
 Widząc lzy ciągle, pokutę i żale,
 Cudów nie zechcesz wymagać odemnie!

WACŁAW.

Wyrzutom służą wyrzuty wzajemnie.
 O liljim gadał! — ktoś zaś nie pamięta?
 I przytem ręce całował i usta!
 I jam cię uczył że to roskosz święta!
 Błąd pierwszy, rajski? — to była rozpusta!
 Nie prawda siostró?

HELENA.

Nieprawda!

WACŁAW.

Przypomnij!

To rzecz jest wielka — wiem, późni potomni
 Uczyc się tego będą na wyścigi!
 Jam ciebie — tylko wspomnij sobie lepiej,
 Jam cię zachęcał żartować z religji;
 Bo jedna zbrodnia drugą zbrodnię krzepi!

HELENA.

Nieprawda!

WACŁAW.

Także? — wszelako o lilji

Mówiłem długo — pamiętam — wieczorem
 Jam wracał, jeżeli pamięć mię nie myli,
 Z kościoła — przyszłaś pytać czy nie chorym,
 Wszyscy pytali — byłem słaby mocno!
 Lecz nie na ciele: na umyśle słabym! —
 Czułość w słabości potrzebną — pomocną.
 Złe ze mną było — bo wtenczas — ach jaby
 Wszystkie roztargał człowieczeństwa węzły,

Byle te myśli co w duszy uwięzły,
 Wysadzić z głowy, wyrugować z serca.
 Siostró! tyś przysła jako anioł do mnie,
 Jam ci o lilji wspomniał bezprzytomnie —
 I tak brat siostry własnej przeniewierca!

HELENA.

O nie — tyś wyrzekł — nie wtenczas — przypadkiem —

WACŁAW.

Więc z czystą duszą, Bóg jest moim świadkiem!
 Czyż mogłem przeczuć że słowo, jak z ziarna
 Kwiat zakazany, w twem sercu wyrośnie?
 Dostrzegłem ale zapóźno, niestety!
 Z białości plama nie wychodzi czarna!
 Siły rodzącej nie zatrzymasz wiosnie!
 Miłości z serca nie wydrzesz kobiety!
 Chciałem! napróżno! — cóż pomoże słowo!
 Gdzie czucie nie ma ucha dla wyrazu?

HELENA.

Nie mów tak, nie mów! - - jam była gotową
 Każdy cień twego wypełnić rozkazu!
 Tylko ta miłość! —

WACŁAW.

Zbrodnią nazwij raczej!

HELENA.

Miłość czy przyjaźń — cóż mi słowo znaczy?
 Miłość czy przyjaźń — jam ciebie kochała!
 Ty że mnie kochasz, już od tego razu
 Nigdy nie słyszę — gdzież nadzieja cała?
 Twój głos codziennie zimny, groźny bardziej. —
 Wacław pieśczętą siostry swojej gardzi!
 Mowa twa czuła — dziś jak księga mistrza!
 Wiary nauką twoje myśli trącą,
 Lodem wyziębiasz duszę mą gorącą!
 Bodajby zimna Bogu była czystsza!

WACŁAW.

I będzie pewnie. — Słuchaj — czas już nagli —
 Mnie wyższe z sobą porywają cele,
 Wolność, ojczyzna, wrogi, przyjaciele.

Jutro — dziś jeszcze — polnym wiatrem żagli
Ja płynąć muszę — ty módl się za brata —
Powrócę może — za rok — za dwa lata,
Nie płacz — o prędzej, skoro będzie można —
W świat mnie dziś gwiazda wywodzi podróżna.
Może i kiedyś! — Lecz patrz — co za łuna?
Brzask dzienny świta, na dół zejść nam trzeba.» —

I w rzeczy samej, z nocnego całuna
Coraz się bardziej wysuwały nieba!
Z wschodu na skrzydłach porannej zamieci,
To śniegu tuman przez parowy leci,
To się na polach rozwietrza wir piasku.
A czujny rolnik wstawszy przed drugimi
Widział jak z góry przy głuchym stóp trzasku,
Człowiek, jakoby duch z tamtego świata,
Unosił dziewczę jako duszę z ziemi,
I znikł na dole, jak cień co przelata.

ZAKOŃCZENIE.

Wacław wyjechał — dokąd? — na świata obszary —
Krótkim był w pożegnaniu — uściśnienie dłoni,
Łza w oku, bądźcie zdrowi! — Czyż spełni zamiary?
Czas okaże — a pióro wieszcz kiedyś odsłoni!
Jam chciał mu pieśń ostatnią, śpiew nócić podróży!
Ale zaledwie myśli skrzydłem się uniosły,
Wypadło pióro z ręki — bo pod piórem rosły
Inne, okropne słowa! i nie śpiewam dłużej! —

WIZYA.

SCENA FANTASTYCZNA.

WISYA

SCYNA TATYSTYCNA

W I Z Y A .

(Noc późna — pokój — na stole lampa, książki i papiery — przy nich młody człowiek, siedzi zamyślony — rzuca pióro z niecierpliwością:)

Darmo! pisać nie mogę myśli jako mary,
Przesuwają się we mnie, bez duszy i ciała;
Jak na wiatr rozpuszczone wojenne sztandary,
Rwą się w górę — unoszą — ale w nich nie pała
Orzeł, ich godło święte — tak myśli bez ładu,
Wznoszą ducha, lecz drogi nie wskażą poecie!

Chciałbym mu wszczepić w rysy, w twarz, brzydotę gadu,
Wynaleźć co najgorsze, najpodlejsze w świecie,
I tem mu serce wypchać — oczy mu tygrysa
Wzrokiem zatlić, a usta przepelnić zarazą.
Niech mu się w piersiach serce jako miecz kołysa,
Niech zabija uczuciem; a za każdą razą,
Gdy westchnie, niech to tchnienie, mór i dżumę szczepi.
Ale i to jest niczem — stokroć mógłbym lepiej —
Ha! — godzina wybiła — północ — lampa gaśnie —
Światła! światła! — nie służą — tak smutno — tak ciemno —
Co to za głosy? — wrzawę gdzieś słyszę podziemną! —

GŁOSY.

My tobie na ratunek przybywamy właśnie.

POETA.

Czary! czary! na pomoc! w imię ojca, syna! —
Sklepienie już zapada — ściana się ugina —
Znów światło — jakież cienie wzrastają na ścianie —

Jakie ich oczy, uśmiech! — wszyscy patrzą we mnie —
Idź precz w Imię Najświętsze przekłety szatanie!
Bo broń przy mnie — już w rękę — jak psu w łeb wystrzelę!

GŁOSY.

Próżno się srożysz, gniewasz i krzyczysz daremnie!
Nie człowieka jest godnem ustawać w swem dziele,
Więc poznaj mnie prawdziwie, opiszesz dokładniej.

POETA.

Idzie ku mnie, a za nim tysiące tysięcy,
Każdy rośnie w olbrzyma — znów więcej i więcej —
Oczom moim nieznośni — okropni — szkaradni!...

(Cienie znikają, stara baba na kiju wsparta wchodzi i patrząc w oczy młodzieńcowi, mówi:)

He! — zkąd ta wrzawa tutaj! — cóż ci to paniczu?
Krzyczysz, jakby złe duchy obsiadły cię rojem;
Litość mnie szczerą wzięła nad nieszczęściem twojem,
I dla tego przybywam.

(Śpiewa.)

Mam mego konika
Trzaskawkę przy biczu,
On w cwał się pomyka.

Czarny jest jak smoła,
Mój koniczek drogi;
Gwiazdkę ma u czoła,
I gwiazdkę u nogi.

Gdy siadam, przyklęka,
Gdy wsiadę, wiatr goni;
Tak zwrotny jak ręka,
Najlepszy koń z koni.
Falą jego grzywa,
Błyskawicą oczy,
Strumienie przepływa,
Parowy przeskoczy.

Mam mego konika,
Hej! piękny paniczu,
Patrz jak się pomyka.

(Do młodego, widząc że na nią nie uważa:)

Cóż ci się stało? Powiedz — nikogo tu niema,
A przecież gdzieś tak sięgasz głęboko oczyma;
Ocknij się!

POETA wciąż spoglądając w jedną stronę.

Tam — tam stoją — i grożą poczwary.

CZAROWNICA.

Dziwny z ciebie jest człowiek — tam pies leży szary,
I od niego na ścianę cień zwyczajny bije.

POETA przychodząc do siebie.

Kto tu jest — kto tu mówi?

CZAROWNICA.

Jak ty, człowiek drugi.

Widząc żeś przyjacielskiej potrzebny usługi,
I że ręce niczyje —

POETA spostrzega czarownicę, ale bez przestraszenia.

Co tu robisz — tak późno? W mojem całym życiu,
Nigdy takiej brzydoty nie widziałem jeszcze.

CZAROWNICA.

Wierzę temu — po wielkich domach się nie mieszczę;
Skromna, żyję nieznaną w dalekim ukryciu,
I ledwie czasem kiedy wychodzę na zwiady,
Albo udzielać rady, lub potrzebna rady;
Z tej to właśnie przyczyny do ciebie przychodzę.

POETA.

Zkąd? dla czego? sam błędę na złej świata drodze!
Drugiemu rad udzielać nie jest mym zwyczajem.
Więc prędko — czego żądasz? — Krótko zbądźmy sprawę.

CZAROWNICA.

Ze snów cię wyprowadzić i wywieść na jawę!

POETA.

Szalona, w snach nie błędę!

CZAROWNICA.

A jednak poznajem

W cieniu czarta — a w kądłu złego ducha z piekła.

(Pierwsza bije.)

Patrz — godzina znów cała na niczem uciekła.

Gdy kur wrześnie, noc zniknie, z najrychlejszym brzaskiem

Ja daleko bydz muszę — nie traćmyż więc czasu.
 Ty jeżeli diabła poznać zechcesz bez hałasu,
 Ja go przywabić mogę — słowem — biczem trzaskiem —
 Zakłęciem — jak gdzie komu, bo różne sposoby.
 Pewnieś i ty go nie raz widział, nie sto razy,
 Tylko że zwykle w różne stroi się obrazy;
 Tyś w nacisku prawdziwej nie odgadł osoby.
 Dziś ci go więc dokładnie wskazać myślę palcem.
 Żleś zresztą o nim sądził, że żmiją, padalcem;
 Wyższym on tworem Boga, tak jak inni ludzie.
 Patrz i słuchaj!

(Śpiewa, rzucając jakiś proch w lampę, która się jaśniej palić zaczyna:)

Niech w tym cudzie,
 Pierwsza postać się ukaże;
 Robię znak potrójny w kole,
 Krzyżyk górą, krzyżyk w dole!
 Ukaż się, nim wszystko zmażę.

(Podeszłego wieku człowiek pokazuje się — siedzi on przy stole — przed nim biblja — pióro trzyma w ręku i pisze.)

CZAROWNICA do młodzieńca.

Czy widzisz, czy poznajesz? — To mędrek zwyczajny,
 Może jaki professor, albo radka tajny,
 Grecyzną i łaciną wzniośł się trochę z tłumu,
 Umie zresztą i prawo — ma dosyć rozumu,
 Słuchaj bo czytać będzie:

(Człowiek ów podeszły mówi głośno pisząc:)

Trzech jest w jednym? — Czyste duby —
 Słowo ciałem? — Co za myśli! —
 Kto mi w koło kwadrat wkryśli,
 Kiedy łatwo mieć z rachuby,
 Że co prosto, to nie krzywo?
 Ha? Z tą biblją nieszczęśliwą! —
 Stara, wszystkim męczy głowy,
 Gubi ich testament nowy!

(Znika.)

(Czarownica sypie na nowo w lampę prochu — płomień coraz jaśniejszy: Śpiewa.)

Znak zrobiony, drugi — trzeci —
 Znak uczucia i natury;

Niech się w tył posuną mury,
 Płomień jaśniej niechaj świeci!

(Mury się wysuwają — pokój się zwiększa — widać grupę ludzi — u nóg ojca leży córka we łzach — opodal stoi jej narzeczony. na worze pieniędzy oparty.)

CORKA.

Ojcze, ojcze, lica miękna
 Od łez które leję co dnia;
 On ma duszę taką piękną —
 Czyż anioła kochać zbrodnia?

Jego życie pełne troski!
 W jego sercu zapal rzadki,
 Nie ma ojca, nie ma matki,
 Wygnany z rodzimej wioski.

Jeśli ty odrzucisz dziecko,
 Któż dziecku pobłogosławi?
 Żal mi duszę młodą strawi,
 Zginę jako cień na świecie!

OJCIEC odpychając gwałtownie córkę:

Precz od nóg moich — idź wiatrom nieść żale! —
 Ja nie mam ucha na romansów bluzgi —
 Głupstwem, dubami wylepione mózgi,
 Nicze z rozumu nie macie w podziały?
 Nigdyż waszego dobra nie poznacie?
 Od najbogatszych jeździł swat po swacie,
 Napróżno! — Czemu? — Bo kocha biedaka.
 Dzisiaj gdy znowu pan się wielki zdarza,
 O rękę prosi — jej odpowiedź jaka?

(Podrzeżniając.)

„Nie pójdę za mąż — prędzej do klasztoru”
 A ja ci na to: pójdiesz do ołtarza,
 Tak ojciec każe — nie ma tu wyboru!

(Zuikają.)

CZAROWNICA śpiewa.

Kubkiem morze w dołek zlewać,
 Myślą nędzną mierzyć bóstwo,
 Zaprzysięgło ludzi mnóstwo,
 Czegóż po nich się spodziewać!

POETA.

Stara to piosnka! ci wyzwani cudem
 Ludzie, są tylko ludźmi zwyczajnymi:
 Znałem ja takich między prostym ludem,
 Znałem ich tysiąc pomiędzy możnymi;
 Zwykle, codzienne, podobne wypadki —

CZAROWNICA.

Tem gorzej — widać że diabeł nie rzadki.

POETA.

Lecz jego postać? —

CZAROWNICA.

Chwilę jeszcze, chwilę!

(Kreśli koła, rzuca nowego prochu w lampę coraz jaśniej gorejącą:
 śpiewa.)

O wy, co w zimnej mogile
 Spoczywacie;
 Wy co niegdyś brat przy bracie,
 Za cnotę, wolność walczyli,
 I czy legli w bitwie, czyli
 Dotąd jeszcze żywot macie,
 Tą przysięgą, tem zaklęciem,
 Temi prośby, tym rozkazem,
 Nam co pamięć waszą święcim,
 Ukażcie się wszyscy razem!

(Plac bitwy — widać dwa wojska daleko, walczące z sobą — bliżej dowódcy
 radę składają wojenną.)

NAJSTARSZY.

Tak stoją rzeczy — piędziesiąt tysięcy
 Mamy żołnierza — oni trzykroć tyle.
 Zbijemy tych tu — pięćkroć pošlą więcej —
 I chociaż ufam narodowej sile,
 Choć pod sztandary starzec i młodzieniec
 Z zapalem biegnie, życie niosąc w darze,
 Widzę ach — tylko męczenników wieniec!
 Ten wam dać mogę, na śmierć was powiodę!

JEDEN z dowódców

Co rzecz bez skutku — ja przekładam zgodę.

DRUGI.

Układy mogą zakończyć się z chwałą.

TRZECI.

Gdy dzieło wielkie zaczętem zostało,
Niechaj krew płynie — a więc moją radą
Wciąż bić, mordować i wojną i zdradą.

Tylko prędko, tylko śmiało
A zwyciężym niezawodnie.

WIELU.

Szał! nierozsądek! marzenie!

CZWARTY.

Próżno krew utracić, mienie,
Zbrodnią! — Nie dam głós na zbrodnie. —
PIĄTY.

Krew o pomstę woła z czasem.
SZÓSTY.

Ale kiedy złe za pasem,
Kiedy żołnierz jest bez chleba,
Nie poezye pisać trzeba.

SIÓDMY.

Śmierć wymówić bardzo snadnie,
Tylko umrzeć nie tak łatwo.

ÓSMY.

Cóż się stanie z żoną, z dziatwą,
Jeżli nam zginąć wypadnie?

INNY.

Nieszczęśliwym Bóg jest blizki.

WIELU.

Do kreskowań — zbierać kryski.

NAJSTARSZY.

Sześć za wojną — trzydzieści głosów za pokojem —

WIELU.

Przystajemy na układy.

INNY.

Więc skończone już narady.

WSZYSCY wstając:

Z krwawym bojem!

(Znikają.)

CZAROWNICA śpiewa.

Wzgardzili myślą ofiary,
I dla tego upaść muszą!

POETA.

Widzę czary i nie czary!

CZAROWNICA.

(Znów koła robi — ogromny blask z lampy — widać kraj obcy za powalonymi ścianami pokoju: śpiewa.)

A wy co bez duszy z duszą,
Co bez serca, mając serce,
Ludy! cnoty przeniewierce,
Tu stawajcie na me słowo!
Braci waszych ciężkim jękiem,
Złota miłym dla was brzękiem,
I mówców głupich cześć mową,
Zaklina was moje słowo.

(Lud się pokazuje — w środku trybuna — krzyże obalają.)

LUD woła.

Zrzucić krzyże!

MÓWCA na trybunie.

Posłowie ludu! Żołnierze!
Minęły czasy ślepoty,
W których człek dla marnej cnoty,
Krew przelewał — gardząc zyskiem.

Dziś wiek złoty
Już nadchodzi, już jest bliskim.
I dla tego śmiało sądzę,
Że krew nasza i pieniądze,
Jak i ludzie naszej ziemi,
Tylko — tylko — są naszymi!

CZAROWNICA daje znak.

Precz szatanie!

(Znikają.)

(Robi koła ostatnie, śpiewając.)

Niechaj stanie
Teraz w oku
Szatana postać,
Jak po wieków, lat potoku
Ma zostać.

POETA.

To człowiek!

CZAROWNICA.

Bez serca!

(Znika — lampa dogorywa — poeta się budzi z letargu.)

NABOŻEŃSTWO

TEGOCZESNE

SCENA FANTASTYCZNA.

NABOŻEŃSTWO.

TEGOCZESNE.

(Kościół — w głębi ołtarz. przy nim ksiądz w ornatach nieszpornych. — Koło ołtarza chór kobiet i dzieci z jednej, chór starców z drugiej strony. — Na środku zakrystjan ustawia katafalk na egzekwie — koło katafalku klęczy młoda dziewczyna w żałobie, przy niej młodzieniec stoi zamysłony. — Lud w kościele; — babiniec na przodzie do którego różnemi czasami różni wchodzą.

KSIĄDZ obrócony do ludu mówi:

Pokój z wami!

CHÓR STARCÓW śpiewa:

W wieków wieki,
Prosić ze łzami
Będziem wszechmocnego Boga.
On synami
Nie pogardzi,
Wrogów Boga zdepcze noga;
Oni hardzi,
Szydzą z dzieci wiary twojej!

CHÓR KOBIEC.

Jako przed Matki obrazem
Zawieszone lilje, róże,
Tak my razem
W modłów chórze,
Boga, niebo, obwieńczemy.
Łaski chcemy, cudów chcemy,
Nie my, nie my,
Kraj — ojczyzna — wolność ludu.

Z twego cudu
 Kiedyś człowiek trząsał światem,
 Słońce w biegu się wstrzymało,
 Słowo się przelało w ciało!
 Dziś brat z bratem
 Wojnę toczy mordów chciwy.
 Ojciec, syn nasz, mąż nieżywy,
 I krew płynie, i krew płynie
 Ale Pan Bóg w niebios gmachu,
 Słowo rzeknie, ręką skinie,
 A z przestachu
 Padnie na twarz syn człowieczy.
 Z twojej pieczy
 Nie wypuszczaj nas o Panie!

CHÓR DZIECI.

Cóż się z nami dziećmi stanie!
 Matka nasza we łzach tonie,
 Brat nie żyje,
 Nas, na łonie,
 Nie pieścza ręce niczyje!
 Jeżeli ty opuścisz Panie,
 Cóż się z nami dziećmi stanie?

DZIEWCZYNA,

klęcząc przy katafalku w zachwyceniu.

Raz tylko jeszcze spojrzę w twoje oczy!
 Zamykasz — giniesz — chwilę tylko chwilę —
 Słowo nic więcej — jeden znak proroczy,
 Jedyne technienie — tyle, tylko, tyle,
 Bym twoich skrzydeł lekki ciąg słyszała! —

POSŁUGACZ KOŚCIELNY.

Od zmysłów prawi — przestrzedz ją wypada —
 Hem! — W górze nie ma ni ducha, ni ciała.

DZIEWCZYNA wciąż w zachwyceniu.

Zniknął — nie — jeszcze plamka jakaś błada —
 Patrz, patrz — to gwiazdka — jak błyszczy — jak świeci —
 Pęka sklepienie — gwiazdka w górę leci —
 W niebie — już w niebie — znikła — już jej nie ma.

POSŁUGACZ.

Czegóż tak w koło spoglądasz oczyma?
Ocknij się przecie — toć to nasza fara.

KSIĄDZ u ołtarza do ludu.

Niebem jest wiara.

DWÓCH LUDZI

wchodzi do babińca; jeden do drugiego.

Ot patrzeć tylko jaka to oświata:
I tento naród o wolność się kusi?
Żal święty boże — — próżna czasu strata,
Jeśli nie padł, upaść wkrótce musi.

DRUGI.

Nie — to nie potrwa — choć ja z mojej strony
Robiłem wszystko, robię dla obrony.
Wysłałem gońców z doniesieniem dworom,
Że, chcąc kres jakiś położyć zaborom,
Dla dobra wszystkich, wojna jest wydana.
Posłowie nasi, ludzie są z talentem:
Ale tak zmienić arbitralnie pana —
My! — darmo! — kończyć trzeba co zaczętem!

PIERWSZY.

Kończyć — zapewne — lecz sposobem jakim?
Do nieprzyjaciół trudno strzelać makiem;
A strzelby, kule, proch, nie starczą na to.

DRUGI

Mniejsza o kule — ale cóż z zapłatą?
Skarb wycieńczony — miesiąc, dwa najwięcej,
Wojsko bez chleba będzie i odzienia.

(W rozmowie wchodzi z babińca do kościoła.

KSIĄDZ u ołtarza do ludu.

Dziś ewangelja o chlebie nadmienia:

(Czyta.)

A wiarą stworzył chleba pięć tysięcy.

CHÓRY połączone śpiewają:

Błogosławiony Bóg w świętym Syonie!

Ufajmy Panu w życiu i przy zgonie.

(Dwóch młodzieńców w rozmowie zbliżają się do katafalka przy którym dziewczyna kłęczy.)

PIERWSZY.

Wiesz — ładna bracie — zaczepić ją warto —
 Lecz patrz, czy widzisz — głowę ma otwartą,
 Jak gdyby chciała ustami wiatr gonić:
 A ręce jakże złożyła nabożnie!

DRUGI.

Tylko pomału — w tych rzeczach ostrożnie —
 Kto nie chce klębka, niech nie sięga po nić;
 Początek tylko trudny na tym świecie.

PIERWSZY.

Ot to sentencja jedna dobra przecie!
 Bo co do innych, lepiej kopać w ziemi,
 Niżli ich słuchać, lub się rządzić niemi.

DRUGI.

Rozumnie — widać żeś w naukach biegły,
 I choć w obozie myślisz po dawnemu.

PIERWSZY.

Tak — jam był — jestem — będę niepodległy:
 Zagadką życia: nie dać się drugiemu.

DRUGI.

Dobrze! lecz cnota, lecz miłość bliźniego?

KSIĄDZ u ołtarza do ludu.

A on się spytał: czego ty chcesz, czego?
 A czart mu na to: jeźliś bożym synem
 Skocz z tej wieżycy i zatwierdź to czynem.

CHÓR DZIEWIC.

Strzeż nas o panie! od pokusy czarta!

Niech nie zatarta

W pamięci naszej święta stoi męka:

CHÓR STARCÓW.

Patrz, przed tobą lud twój klęka:

I głosów tłumu,

Krzyczą o pomoc sercem pełnem wiary.

Strzeż nas od dumy;

Niech w sprawie świętej,

Serca nasze i zamiary

Czyste zostaną — niechaj czart — przeklęty,
 Zdeptany już od ciebie Boże, wielki Panie,
 Drugi raz od nas zostanie!

CHÓRY POŁĄCZONE,

Niech w sprawie tak świętej
 Czart wiecznie przeklęty
 Zdeptany już od ciebie, Boże, wielki Panie
 Drugi raz od nas zostanie!

PIERWSZY MŁODZIENIEC wciąż z drugim w rozmowie.

O bliźnich, cnocie, idź nauczać baby.
 Jeżeli która zaraz nie zadrzymie;
 Cnota — cóż więcej nad czcze, marne imię? —
 W myśleniu widać bardzoś jeszcze słaby.

CHÓR DUCHÓW NIEWIDZIALNY z prawej strony.

Rozpuście tylko myśli waszej skrzydła,
 A dzień dla was już ostatni;
 Jak ptaki w sidła,
 Jak ryby do matni,
 Złudzone wbiegną, i już, już ujęte;
 Jak orzeł ciągnie w słońce a w chmurach zatonie,
 Tak po rzeczy niepojęte
 Wy myślą chcecie sięgać — a Bóg wam w zasłonie
 Chmury, iskrę dał rozumu;
 A świat olbrzymi, człowieka krokiem
 Nie mierzyć nikomu —
 Bóstwo, zapalu ujrzysz tylko okiem!

CHÓR DUCHÓW z lewej strony.

Głupstwo w świecie — żarty, żarty,
 Żywo tylko w życia taniec,
 Świat ten śmiechu tylko warty,
 Jam jest zbawienia posłaniec!

(Tłum ludzi przechodzi na tę stronę z której głos ostatni był słyszany.)

KSIĄDZ u ołtarza.

Już się stało!

CHÓRY POŁĄCZONE.

Zagaśmy światło,

DUCHY z lewej strony.

Tylko śmiało!

CHÓRY POŁĄCZONE.

Już zagaszono! Już ciemno!

(Młodzieniec który od początku całego nabożeństwa obok dziewczyny stał zamysłony, nagle budzi się jakoby z letargu i woła na wychodzących — lud wstrzymuje.

Stójcie! ze mną, bracia, ze mną!

Duszą wzajemną

Zatlimy zgaszone światło;

Ciemności na tło,

Rzucimy iskrę tajemną,

Iskrę wolności i wiary;

A słońcem błysnie gmach cały.

Czyn śmiały

Jak błysk strzaska w mgnieniu oka

Ich zamachy, ich zamiary.

Zgłuszmy myśli bezczelne,

A ramie dzielne,

A serce z ogniem świat stworzy!

Duch boży

Przejmie śmiertelnych, jak słońce gmach nocy.

Wstaną prorocy,

I śpiewać będą tryumf dobrej sprawie.

Więc dalej, dalej!

A wy, co jako majtkowie wśród fali,

Żyjecie w obawie,

Syny ziemi! precz z kościoła!

Oto głos z siódmego nieba

Grzmiać pierśią na was woła:

Wiary trzeba!

Wiara — mieczem archanioła,

Wiara z siłą — cuda czyni —

Syny ziemi, precz z świątyni!

KSIĄDZ

u ołtarza, chóry połączone i lud cały powtarza.

Wiary trzeba!

Wiara — mieczem archanioła,

Wiara z siłą — cuda czyni,
Syny ziemi, precz z świątyni:

(Drzwi się kościoła otwierają — widać zdaleka orły białe — słysząc dźwięk
muzyki wojskowej — za młodzieńcem cały lud wybiega.)

Z D R A J C A .

POWIEŚĆ.

I.

Za miastem w polu stoi drewniana wystawa,
I krzesło poręczowe stawiają na górze.
Lud się zbiera z okolic — to pewnie zabawa,
Zręczny sztukmistrz podskoczy w tancerskiej figurze;
Nie — na krześle się spełni dziś ofiara krwawa!

Już z miasta turkot słyszać — lud z okolic czeka;
Idzie wojsko rzędami, karet liczne cugi,
Na wystawie tymczasem zwijają się sługi,
Kładą chustę na poręcz — trumny zdęgli wieka —
Taki zabieg na życie jednego człowieka!

Zbliża się wóz drewniany, i na słomy pęku,
Siedzi w bieli ubrany młodzian winowaty;
Przy nim kat, w purpurowym płaszczu, z mieczem w ręku,
Przed nim szarzą się księdza zakonnika szaty —
To dzisiaj wóz tryumfu — kaźnią był przed laty. —

Stanęli — wszyscy patrzą — weszli — sędzia trzyma
Wyrok — i po imieniu zawołał, i głowę
Przytem schylił — i wojsko broń ze szczękiem ima —
Znów cicho — sędzia czyta wyroku osnowę.
Podpisano — zakończył — przebaczenia nie ma!

Patrzcie na to spokojne, choć blade oblicze
 Czyż zbrodnia w takim oku kryjówkę mieć może?
 On jak baranek boży, obelgi i bice
 I krzyż dla braci dobra podejmie w pokorze;
 Dziś ty go z mąk uwalniasz umęczony Boże!

Płaczą w koło, łzy ludu ściekają obficie,
 On tylko nie zapłacze — jego wzrok niebieski!
 On w życiu nigdy westchnień nie zawział kobiecie,
 I dzisiaj mocny w duszy u grobowej deski:
 Czynem silił i czynem kończy swoje życie!

Próżno ksiądz z krzyżem w ręku do spowiedzi ęci,
 Do wyznania ostatnich grzechów na tym świecie,
 Jego ducha już pieszczą aniołowie święci,
 Do ojca swego wraca zatęsknione dziecię;
 Nie dla niego są prawa — przeszłości — pamięci!

«Moja wiara na Boskiem objawieniu wsparta,
 «Bóg lepiej w sercu czyta niżli ziemscy ludzie.
 «Tam uczucie, myśl jedna, więcej stokroć warta,
 «Niż tu czyny wyrosłe przy mękach i trudzie —
 «Tam życia mego cała zapisana karta!»

Jeszcze, jeszcze nie skończył — a już kat przybiega,
 Więźniowi oczy chustką zawiązuje białą
 I porywa młodzieńca, jak nędznego szpiega,
 Rzuca w krzesło — od bębna powietrze zagrzmiało —
 Ciało — krew wytrysła — na dół zwało się ciało!

II.

Któż tam błąka się w nocy na rozstajnej drodze?
 Przy pochodniach ktoś w głębi ziemi rydlem maca.
 Natrafili na trumnę — ha! — szczęśliwa praca!
 Wydierają skarb krwawy wilgotnej podłodze,
 Tulą w płaszcz — uciekają — zbawienie w ich nodze.

Jest w głębi gór odludnych pieczara podziemna,
 Gdzie grzyby ledwie rosną, nikt z ludzi nie chodzi:
 Tam biegną tłumem wszyscy zapaleńcy młodzi,
 I światłem się rozwidnia nocy jama ciemna!
 Tam każdemu cel wskaże przysięga wzajemna.

Składają ciało krwawe — najstarszy, z kadłubu
 Płaszcz szeroki odrywa i miecza dobywa,
 Miecz na pierś trupa kładzie — jakieś hymny śpiewa,
 Wtorują mu żałośnie towarzysze klubu.
 Niech się każdy gotuje do czynienia ślubu!

Najstarszy dał znak mieczem, reszta broń dobyła
 Wszyscy wkoło nagimi błyszczą sztyletami
 «Przysiegamy!» krzyknęli, «jedność między nami! —
 «Pomstę za krew niewinną czyjaż wstrzyma siła?»
 I «Przysiegamy» — skała głucho powtórzyła. —

Znów ciało martwe płaszczem szerokim spowili,
 Składają w grób starannie sypany w pobliżu,
 Na znak mogiły stawiają dwa krzyże przy krzyżu —
 Nim poranek zaświtał — robotę skończyli;
 I korzystając z nocy rozbiegli się, skryli!

III.

Znacież ten gmach posępny, murem opasany,
 Gdzie zaledwie ukradkiem wbiega promień słońca;
 Gdzie od westchnień gorących zwilgotniały ściany,
 Gdzie nadzieja dróg nie ma, a nieszczęście końca? —
 Tam siedzi jeden z klubu okuty w kajdany.

Słońce zaszło — on usnął — lecz patrz, czemu we śnie
 Tak się rzuca gwałtownie? Tak ciężko oddycha?
 Imię jakieś po trzykroć wyrzekł zwolna, zcicha,
 O kochance zapewne marzy on niewczesnie!
 Sen go zapewne wyniósł za więzienia cieśnie.

Zrywa się — ciemno jeszcze — wiatr tylko na dworze
 Skrzypi smutnie dzwonnicy pobliskiej krzyżykiem;
 Zrywa się — po więzieniu krokiem biega dzikim —
 Sen miał jakiś gwałtowny — zabłysnęło zorze —
 I znowu zmordowany rzucił się na łożo.

Chciałby usnąć — napróżno! — Zamknięte ma oczy —
 A przecież widzi ciągle — wszędzie — w koło, w sobie,
 Jak się duch koło ducha wolnym krokiem toczy —
 «To oni!» — Krzyknął z jękiem — «to oni — już w grobie!
 «Widzę krew ich — jam winien! — zapóźno! Cóż zrobić!»

Brząknęła muszka głodna, którą codzień żywi,
 Przybiegła myszka mała zwyczajna nałogiem,
 Towarzysze więzienia jedyni, życzliwi.
 Złął się ich szmeru, we drzwi bije, i przed progiem
 Pada na wznak — on z duszą już przed sędzią Bogiem.

Tymczasem zwykłym kluczem zaskrzypiały rygle,
 Wchodzi zimny oddźwierny, i nikiemną strawę
 Stawia obok barłogu — spojrzał niedościgle,
 Zdało się że w tym wzroku wyłożył na jawę,
 Całego życia myśli, i uczucia krwawe!

Nigdy on tak nie milczał — nie spojrzał tem okiem.
 Jako wicher najgłębsze morza wody ruszy,
 Tak ten wzrok w głęb się wcisnął niewolnika duszy;
 Zadrzał przed nim niewolnik jak łotr przed wyrokiem;
 Ten wzrok był posłem nieszczęść, rozpaczy prorokiem!

Ale cóż mu nieszczęście? — On ma łaskę pana! —
 On wolność swą okupił — zdradą — cóż mu zdrada?
 Drzwi otwarte — gdy zechce, jeszcze tego rana
 Wolnym będzie! — A przecież upadł na kolana;
 «Biada mi» — krzyknął — mury powtórzyły: biada! —

IV.

Z bramy więzienia, wynoszą pod strażą
Ze czterech desek zbitą trunę białą,
Na wóz rzucają, za miasto wieść każą,

To więźnia ciało!

Więc Bóg zakończył jego długie męki!
Wezwał go z jamy, do raj-u-ogrójca?
Nie — to bezbożnik, z własnej zginął ręki,

To samobójca.

Nie był uczczony zgon jego dzwonami,
Nie odprawiono po nim mszy w kościele,
Za truną nie szli ni krewni ze łzami,

Ni przyjaciele.

Bo żeby cara zyskać przebaczenie,
On narodowym stał się winowajcą
I dawszy braci swych na umęczenie

Był wolnym — zdrajcą.

Grobowiec jego przy drodze rozstajnej
Pielgrzym ze wstrętem i ze zgrozą mija,
Nie zmówi nawet modlitwy zwyczajnej
Zdrowaś Marja.

OSTATNIE CHWILE

SAMOTNIKA

Miedzy skałami płynie bystra rzeka:
Po jednej stronie tam chata przy skale,
Po drugiej sterczy zamek okazale,
Chata i zamek mieszkanie — człowieka.
Tylko myśl pana i myśl pustelnika
Jako ta rzeka wiecznie obu dzieli;
Pan ma sług tysiąc, licznych przyjacieli,
Samotnik jeden zabłysnął i zniknął!

W zamku jak w świecie — wesoło — bezładnie,
 Krzyk — gwar — zabiegi — tańce i zabawy,
 Żal samotnika odgadnąć z postawy,
 Z dzikiej siedziby któż duszy nie zgadnie?
 Cichy — jak skały odwiecznej urwiska,
 Co ziemię kryją w kształt zbroi olbrzymia;
 Myśli — jak strumień który z skał wytryska,
 I w świat pędzony spokojności nie ma;
 Tylko że jego dusza światem gardzi!

Musiał on w życiu przetrzymać już wiele,
 Kiedy od ludzi tak daleko stroni;
 Kiedy nad ucztę wspaniałą, on bardziej
 Woli korzonki i niewinne ziele;
 Nad puhar wina — wodę czystą w dłoni,
 Nad puch — to łoże co z liści uściele,
 A nad śmiech ludzki — łzę co w snach uroni.

Puszczyka krzyki miłsze jego uchu,
 Niż głos wrzaskliwy niewolniczej zgrai;
 Puszczyk przynamniej w samotnym posłuchu
 Nie przejmie tego co w duszy zatai,
 Z słowa błędnego rzeczy nie utworzy,
 Jeżeli usłyszysz, przed światem nie zdradzi:
 I ludzi nie ma którzyby z szatanem,
 Ach od szatana stokroć jeszcze gorzej,
 Niewinnym płaczom byli w sercu radzi!

On światem gardzić nauczył się wcześniej.
 Łzami którymi był kiedyś zalany,
 Cnotą i bóstwem które widział we śnie,
 Myślą — że człowiek chce być świata panem,
 Wczarował w siebie nienawiść dla świata.
 Dziś — mało dbały co jutro się stanie,
 Żyje samotny. — Czarna jego szata,
 Członków zesłabłych jedyne odzianie,
 Z włosem który mu bujną wstęgą splywa,
 Świadczą nie jedne samotności lata.
 Może przyjaciel? — miłość nieszczęśliwa?

O nie — on pewno nie kochał nikogo,
 Chyba promienie słonecznego blasku,
 Chyba ton smutny dzikich ptaków wrzasku,
 Które śmiertelnych przerażają trwogą;
 Chyba huk gromu gdy piorun uderzył?
 O nie — on pewno nie kochał nikogo!
 I lepiej stokroć gdyby nigdy nie żył!

W chacie — jak w sercu — i cicho i smutnie.
 Łoże z gałęzi, oto sprzęt jest chaty.
 Na ścianie widać zakurzoną lutnię,
 Po której brząkał i śpiewał przed laty. —
 Otwór nie wielki za okno mu służy,
 Przez dach nadpusty wiatr się często zatnie,
 Ściany drżą wszystkie przy najmniejszej burzy;
 I w tem ustroniu od ludzi daleki,
 Samotnik chwile przepędza ostatnie,
 Samotnik wiecznie zamyka powieki.

Co za dziw? Dosyć cierpieniom i męce.
 Któż drugi kiedy podobne wytrzyma?
 Dziś — już ostatni raz rzucił oczyma
 W krąg wielki świata — i w duszy świat drugi.
 Przecież nie w modłach załame ręce,
 Niech słaby grzesznik drżąc w swej nędznej duszy,
 Bogu wylicza pacierzem zasługi,
 Ażeby wiecznej uniknął katuszy —
 Boga litości wzywa przy konaniu.
 On — życiem gardzi jeszcze przy rozstaniu.
 On wie — że nie ma i dziękować za co.
 Jeżeli za męki tam nadgrodą płaca,
 Tem lepiej! — Gdy nie — do nieszczęść nałożny
 Przyjmie zarówno i męki i dary.
 On wie — że jeżeli tam miejsce zabierzem,
 Nie płacz przed Bogiem, nie pacierz pobożny,
 Poświęci nasze myśli i zamiary.
 On wie — że dusza sama jest pacierzem,
 Jest źródłem szczęścia — źródłem wiecznej kary!

«Na bok więc na bok, te nikczemne modły,
 «I ta łza w oku i ten jęk grzesznika!
 «Dusza jak księga, wyrok swój zamyka;
 «Skrzydła ją wiodą — tam — jak tutaj wiodły,
 «Jak łódź z sztandarem życia w wieczność płynie,
 «Jak kropla w morzu, wiecznie może zginie.
 «Dziś, kiedy słabną coraz bardziej siły,
 «Gdy śmierć już bliska i w nic się zamieniam,
 «Czemu choć śmierci nie umilić pieniem,
 «Głosami, które do życia wabiły?
 «Czyż śmierć pozdrowić od życia jest smutniej?
 «Dla mnie? — Nie. — Pójdź więc droga moja lutni,
 «Raz jeszcze tylko wydaj głos twój miły,
 «I odstraszyć życie — życia przypomnieniem!»

Tak myślał leżąc na samotnem łożu,
 Pustelnik słaby z omdlałem spojrzeniem,
 Lecz w duszy mocny jako wiatr na morzu,
 I nie zbadany jak przepaść ukryta.
 Ledwie pomyślił — lutnię swoją — w strony,
 Głowę podnosi — oczom blask się wróci —
 Palce rozbiegłe uderzają w strony,
 Śpiew jakiś wygrał — to śpiew ulubiony
 W młodości jego — westchnął — i tak nuci:

Kiedy ja umrę, zapadną powieki,
 Nawet i listek nie wiewnie na drzewie,
 Zginę jak głos mój — jak brzęk lutni w śpiewie,
 Na długo — może na wieki!

Ucichną razem wszystkie serca żądze;
 Jak żyłem w chacie, tak i usnę w chacie;
 Dzwony nie będą bić mi za pieniądze,
 Ani ksiądz śpiewać w ornacie.

Świeczniki trumny, oto gwiazd orszaki,
 Jeżeli ich światło błysnie w tej ustroni;
 Dzwonami — lutnia gdy struną zadzwoni,
 Albo zakrzyczy ptak jaki.

Głos nieszczęśliwych ucha nie rozdrażni,
 Choćby świat ginął — martwem będzie ciało;
 Przyjaźń? — Nie będę potrzebny przyjaźni;
 Z wiernych mi nic nie zostało!

Był czas — w snach błogich ułudę goniłem,
 W niebie miał zbierać nieśmiertelne wianki;
 Śpiewałem — śpiew mój był światu nie miłym!
 Serce nie czuło kochanki.

Szukałem ludzi — jak śród nocy ciemnej
 Żeglarz gwiazd szuka na niebieskim globie,
 Bo tutaj — w życia szalonej chorobie,
 Człek tylko ulży wzajemny;

Jam go nie znalazł — i dziś dalej płynę;
 Ale też za to, nie w smutku, obawie.
 Jam w życiu zimną napotkał drużynę,
 Po śmierci zimną zostawię!

«Dla mnie» — chciał jeszcze dodać więcej w śpiewie,
 Kiedy z zesłabłej dłoni lutnia pada,
 I głowa spada — i twarz jego błąda —
 Usta się ścięły — o pieśni już nie wie —
 I tylko w oczach ducha przemoc władza,
 Jakby w ostatnim przed śmiercią schronieniu,
 Jakby w ostatnim światłości promieniu,
 Jak skrzydło duszy ku niebu w powiewie!

Ale dla czego rzucił się tak nagle?
 I oczy swoje tak daleko wlepił,
 I ręce wznosi, ręką coś zaczepia? —
 Duszy to pewno rozpostarte żagle
 Ciągną na morze łódź urwaną z brzegu?
 Nie — to ostatni sen duszy na ziemi.
 I całe życie w błyskawic obiegu,
 I wszystkie myśli i czyny za niemi,
 Krzyżują pamięć i tłoczą się razem:

I błyskiem obraz pierzcha przed obrazem,
 Świat cały, przeszłość, samotne ustronie
 W dziwne się kształty, w dziwną mienią postać,
 Żal i nadzieja razem w duszę wionie,
 Chciałby choć chwilę w życiu jeszcze zostać.
 Znów głosy — znane — słyszy — on ich nie śni,
 Ten ton — ach dawniej śpiewał on w tym tonie!
 A śpiew? — To koniec nieskończonej pieśni:

Dla mnie już szczęścia, już nadziei nie ma,
 Kto nie znał w życiu krewnych, przyjacieli,
 Ten i wieczności z ludźmi nie podzieli,
 Samotną wieczność otrzyma!

Znów cicho w duszy — tylko widzi w górze
 Jak niebo całe do połowy pęka,
 Widzi aniołów, archaniołów w chórze,
 Tron jakiś w dali — każdy przed nim klęka,
 I tam przyjaciel przy swym przyjacielu —
 Kochankę trzyma oblubieńca ręką;
 Znajomych tylu, przyjaciół tak wielu,
 A każdy wabi miłemi uśmiechy,
 A każdy na dół wyciąga ramiona:
 Lecz nie dla niego szczęście i pociechy,
 On znowu czuje — że na ziemi kona.

• Kona — i wieczność druga się otwarła;
 Wieczność samotna — okropna — głęboka —
 Tam niewypuszczaj próżno twego oka,
 Tam na wołanie nie męcz próżno garła,
 Tam głos człowieka nigdy nie dochodzi.
 A choćby doszedł, nikt go nie usłyszy,
 Bo wszystko jedno w samotnej zaciszy,
 Jako na morza obszarach powodzi,
 Cicho — nie dostrzedz ani jednej łodzi,
 Wschód, zachód, północ, wiecznością bez granic. —

Bez czucia, jedne duchy samotnicze,
 Tam błędzą w koło nie uważne na nic;

Dzikię ich kroki — wybladłe oblicze,
 Oczy bez blasku — mowa bez wyrazu,
 Błądzą — nie widząc siebie ani razu,
 Ani też końca nieprzetrwałej kaźni!

Próżno samotnik chce wrócić do świata,
 Próżno z ocz słabych łza upadła szczera,
 Westchnął do ludzi — miłości — przyjaźni,
 Wspomniął na krewnych, przyjaciela, brata,
 Późno — już oczy zapadły — umiera!!

GROBOWIEC NA GRANICACH SYBERYI.

Obyście nigdy nie znali tych krajów,
 Gdzie wieczna zima mrozem ścina duszę,
 Gdzie gwałt i hańba — męczarnie — katusze,
 Prawem narodu — godłem obyczajów;
 Obyście nigdy nie znali tych krajów!

Między wiecznością i życiem doczesnem,
 Jeżeli wiara i nadzieja nie snem,
 Zbawienia chwila jest w skonu godzinie;
 Ale kto na wschód z zachodu popłynie,
 Ten niech nadziei powrotu zaniecha!
 Ach, kto raz dotknął nogą tej granicy,
 Temu zagasła nadzieja — pociecha!

Dziś nowy tysiąc prowadzą z zachodu.
 Są to ostatnie pamiątki narodu
 Który żył chwilę i zginął śród życia;
 Są to ostatki okrętu z rozbicia
 Płynące — kędy — żagiel burzy spycha.

Każdy w kajdanach wiedziony od kata;
 Ubiór ich płachta podarta i licha,
 Gospodą, w śniegach zakopana chata.

Młodzi są wszyscy — a przecież już godłem
 Starości każdy dotknięty na twarzy;
 Oko bez ognia — twarz blada i cicha —
 Myśl, widać z oczu, o przeszłości marzy,
 Pamięć jedynem serca, ducha źródłem.
 Z niej, jako z rogów złożonych ofiara, —
 Szczęśliwa jeszcze gdy się pysznić umie,
 I w najemników pasorzytnym tłumie,
 Pogardza carem i służalcem cara!

Upływał trzeci tydzień ich podróży.
 Połowa w drodze zasypana śniegiem
 Zmarła na zawsze — a reszta najdłużej
 Jutro w Syberyi! — Nad Uralu brzegiem,
 Stanęli dzisiaj ostatnim noclegiem.

Noc była mroźna — na ziemi szeroko
 Jak tylko może sięgnąć ludzkie oko,
 Błado — okropnie — i na niebie blado.
 Gwiazdy w mgle nocnej wisiały bez blasku;
 W około śpiących przy ogniska trzasku,
 Sterczały piki — tu znużone stado
 Tatarskich koni, grzebiąc mech kopytem,
 Błądzi po polu — dalej straż kozacka —
 Księżyc się czasem za Uralu szczytem
 Pokaże nagle, to ginie znienacka. —
 Jutro znów pochód za najpierwszym świtem.

Zasnęli — cicho — szczęk kajdan i broni,
 Czasami tylko nie wyraźnie dzwoni;
 Albo przez usta senne niewolnika,
 Imie się jakieś na wiatry wymyka.
 O sny, marzenia, wy skarby człowieka!
 Wasza opieka jak słońca opieka!

Świata całego ubieracie twory
 W suknie jasności, w tęczowe kolory.
 Któżby chciał twierdzić że słoneczne cudo,
 I blask i kolor, spojrzenia ułudą?
 Albo gdy w nocy blask niknie z pomroką,
 Że nie rzetelnem w dniu było oko?

Dwóch przecież nie śpi — na starszego łonie
 Młodszy — brat może — głową swą oparty,
 Leżał i milczał. — Starszy, łyż na stronie
 Długo ocierał — w końcu płaszcz podarty
 Z siebie zdjął nagle — i drżącego ciało
 Okrywa — tuli — lecz milczeli oba.
 Jednemu pewnie na słowo nie stało,
 Drugiemu usta zamyka żaloba.

Usta milczały — lecz usta milczące
 Język uczucia mają za rozmowę,
 Tkliwszą nad zimnych wyrażeń tysiące!
 Tak więc na głowę swego przyjaciela
 Przyjaciół starszy opuszcza swą głowę,
 Tchnieniem gorącym tchnienia mu udziela;
 Usta przycisnął miękkim całowaniem,
 Rękę przycisnął ręką swoją drżącą;
 Onby chciał ducha — życie i gorąco,
 Wyciągnąć z siebie i rozesłać na nim!

«Ty mnie nie kochasz umierasz bezemnie»
 Rzekł wreszcie z płaczem ów starszy młodzieniec —
 «Gdym cię rodzicom wydierał tajemnie,
 «Ze mną męczeński chciałaś dzielić wieniec,
 «Ze mną przysięgłaś żyć, umierać razem! —
 »Uciesz kochanka jedynym wyrazem,
 «Powiedz że żyjesz — że kochasz — żeś moją! —
 Próżno! — Przelotny na licach rumieniec
 Błysnął na twarzy, jak w nieba przeźroczy
 Zachodniem słońcem chmury się ustrojają,
 I znowu czarne — w słup zbłądzone oczy,

Skryły się nagle w powiece otwartej;
 Usta jej sine — przestała oddychać —
 Ale i żalów kochanka nie słyhać.

I cicho znowu — aż zrana, gdy warty
 Znak do pochodu dały obozowi,
 Gdy niewolnicy stanęli gotowi,
 Dwóch tylko z miejsca swego się nie ruszy:
 Przybiegli — patrzą — oboje bez duszy.
 Zakrzepłe ręce trzymały się silnie,
 Usta spojone w całowaniu stygły,
 Oczy na siebie wytężone zgasyły,
 I tak są razem — jako nieomylnie
 Żelazo leci do magnesu igły,
 Albo w bój hufce, znajomemi hasły! —

Śród dzikich stepów grób im wykopano.
 Grób ich granicznym zostanie kamieniem,
 Może i kiedyś zbawcami zostaną!
 Bo słońce swobód, wiecznem przeznaczeniem,
 Miłości ofiar wygrzane płomieniem!

W NOCY JESIENNEJ.

1832 r.

Przeszła północ — do koła cichość i milczenie.
 Jam nie spał i wiatr nie spał — on jeden z żalobą,
 W brzęczące okien szyby dzwonił, i za sobą
 Strumienie ciągnął liści i kurzu strumienie.
 Na niebie księżyc w pasy promienne rozrosły,
 Utopiwszy w chmur kłębie zamyśloną głowę,
 Płynął, gdzie go wydęte czarne żagle niosły.
 Gwiazdy błysnęły czasem jak lampy portowe;
 A tak w całym obszarze uśpionej natury,
 Jam nie spał i wiatr nie spał i gwiazdy i chmury! —

Do wyższych rzeczy wdychać przyuczony z młodu,
 Obciągałem oczyma z wschodu do zachodu,
 I zazdrościłem chmurom — wiatrom — nocy całej:
 Chmurom ich błyskawicy — wichrom pędu jazdy.
 I ja tam chciałem gonić zkąd te wichry wiały,
 I chwycić błyskawicę — i z gwiazdy do gwiazdy
 Wyciągnąwszy ramiona, skrzydłem fali płynąć,
 I w chmurach, wiatrach, gwiazdach, w światach, w niebie zginąć!
 Duch mój objął potężnie przyrodzenia siły!
 W bladej twarzy krwi błyski nagle zaświeciły; —
 Niech wyją dzikie wichry po pustym przestworze,
 Niech fala w kłębach czarnych przesadzi noc czarną —
 Jam westchnął! — Siły wichrów czucia nie ogarną;
 Jam zapłakał! — Łza stoi za potopu morze.
 Światy moje — kochanka — bracia — przyjaciele!
 Ku wam wyciągam moje zemdlone ramiona!
 A gdy z niemi uczucie i myśli zestrzele,
 Wichry, chmury, czem wasza siła połączona?
 Wichry, chmury, dziś mocne, czem jutro będziecie?
 Słońce wejdzie — noc spłynie — i inne nastaną,
 I słońce kiedyś w nocy, i noc zginie w świecie;
 W duchu jednym potęgi znika noc i rano:
 Myśli się wiecznie w gwiazdy, duch wyświeca w słońce,
 Pamięć, czas, jako więźnia ubiegłego trzyma;
 Nie zazdroścę wam skrzydeł wichry, fali gońce,
 W stworzenia ogrom — ducha wybiegłem oczyma!

II.

E L E G I A

NA ŚMIERĆ STANISŁAWA GRABOWSKIEGO, KTÓRY
 ZGINĄŁ W BITWIE POD WILNEM ROKU 1831.

Kiedym cię raz ostatni żegnał przy rozstaniu,
 Do zobaczenia! Wyrzekliśmy razem.

Dziś — znowu smutny — tym samym wyrazem,
 Tylko na dłużej — dłużej żegnam ciebie.
 Do zobaczenia! — Kiedyś — w zmartwychwstaniu
 W wieczności — przy Bogu — niebie!

Płakałem w życiu, ach nie jednej straty!
 Lecz trudno dobyć już z oka:
 Zwyczajne moje są żałobne szaty,
 A w sercu żalność głęboka.
 A przecież — dzisiaj i twarz bardziej biała —
 Suknia czarniejsza — łza spada!

Nie ma! — już umarł! — okropne to słowo
 Przyjaźni ludzkiej na ziemi;
 Tobie jest niczem — ty między świętymi
 Włożyłeś suknię godową,
 Suknię wieczności, opuściwszy ciało!
 Nam życie w smutku zostało!

Z palmą męczeństwa, ty z liliją białą,
 Ręką wiedziony anioła,
 Boga i niebo otrzymałeś w dziale!
 My w płaczu — nadzieję całą —
 Nasz świętych orszak są żałobne koła,
 A naszą wiecznością — żale!

Płaczmyż więc płaczmy! Ty módl się za nami
 I za mnie dołącz pacierza;
 Bóg może twemi nie wzgardzi modłami,
 Prośbą anioła rycerza.
 I żyć przestanie tułacz nieszczęśliwy,
 I tam ożyje — nie żywy!

Do zobaczenia! Zczasem i ja płynę,
 Będziemy razem po chwili;
 Może zabiją jak ciebie zabili, .
 Twoim przykładem niech ginę;
 Twoją modlitwą urosną zdarzenia,
 Mój Stasiu! Do zobaczenia!

III.

Z LORDA BYRONA.

Droga! nie mów mi, nie mów o chwale potomnej!
 Ach tylko dni młodości są i chwały dniami:
 W dwudziestym drugim roku wart więcej mirt skromny,
 Niż wasze wszystkie laury z późnemi latami!

Na czole pomarszczonem czymże wieniec świeży?
 Jakby na zeschłym kwiecie maju rosa lśniła;
 Precz więc z laurem, gdy głowę późny wiek ośnieży:
 Tylko z kwiatu młodości rośnie szczera chwała!

Słowo! głos twój jeżeli był mi kiedy miłym,
 Nie dla słów, nie dla brzęących lubiłem cię pieni;
 Kochance chciałem posłać kilka twych promieni,
 Jej dowieść — że ją godnie kochać zasłużyłem.

W niej jednej cię szukałem — w niej mam cię jedynej;
 Jej oko, tobie za blask najpiękniejszy stało;
 Gdy nim zajrzała w życia mego lśniące czyny,
 Poznałem co to miłość — czułem co jest chwałą!

IV.

CHÓRY NA POGRZEBIE MINIONA.

Z GETEGO, Z PROZY.

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Kogóż to nam niesiecie w to ciche ustronie?

CHŁOPCY stawiając trumnę.

Przynosim towarzysza zmęczonego w wiośnie,

Umieśćcie go w waszem gronie,

Aż kiedyś niebios córę, śpiewem swym radośnie
Wzbudzą go, by żył na wieki!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Pierwiosnku życia bądź nam pozdrowiony!
Z smutkiem cię w naszym witamy dziś kole,
Za tobą niechaj w te wieczności strony.

Żadne nie wbiega pachole!

Ni chłopczyk, ni dziewczyna.

Niech starość jedyna

Znużona w świecie

Spokojnie — z chęcią wita te podwoje.

A ty o dziecię,

Drogie dziecię moje,

W jej zimnem objęciu wypocznij!

CHŁOPCY.

Z jakimże bólem, ach w jakiej żałobie

Złożym ją tutaj — na wieki — na wieki —

Pozwolicie i nam zostać — lżą stulić powieki

I płakać, płakać na grobie!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Patrzcie, o patrzcie! w te ramiona skrzydeł,

Na tę bieluchną i czystą obsłonę;

Na te w jej włosach sznureczki złożone,

Na piękność życia pieścidel!

Jakżeż jej we wszystkim strojnie,

A spoczywa tak spokojnie —

CHŁOPCY.

Ach, już te skrzydła nigdy jej nie wzgórzą!

W lekkich gry zwrotach nie strzepną się stroje,

Gdyśmy jej główkę umaili różą,

Na nas oczęta obróciła swoje

Tak mile i tak rokosznie!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Więc na nią teraz patrzcie okiem ducha!

W was niech panuje twórcza, boska siła,

Która nad gwiazdy tron swój wielki wzbila,

Życia powołanie święte!

CHŁOPCY.

Lecz jej już nie ma — w ogrodach już nie ma!

Już i na łące spokojnie schną kwiaty.
 Pozwólcie zostać! — głosami czterema,
 Będziemy płakać jej straty!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Nie dzieci; w życie powracajcie dziatki,
 Tam wietrzyk niebieski
 Co strumyk pieści i polowe kwiatki,
 I wasze osuszy łezki.
 Roskosz — chwila — dzień co świeci
 To są żyjącego losy.
 Uciekajcie z nocy dzieci
 Bo to prawdy, prawdy głosy!

CHŁOPCY.

Więc dalej w życie, kiedy w życiu lepiej.
 Niech nam dzień pracę i roskosz odradza,
 Spokojność wieczór sprowadza,
 A noc, snem siły pokrzepi!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Bieście o dziatki w żywota koleje.
 Oby wam miłość w piękności obsłonie,
 Niebieskiem okiem wskazała nadzieje,
 I nieśmiertelność włożyła na skronie!

V.

STRATA ZMYŚLÓW.

Kiedy patrzę na ciebie, na twą bóstwa postać,
 W twe oczy kiedy spojrzę, które gwiazd obrazem,
 Chciałbym zginąć w tem wzroku, i chciałbym zarazem
 Wiecznie w niem umierając, wiecznie w niem pozostać.
 Ty się gniewasz dla tego, ty chcesz aby zatrzeć
 Całe niebo błyszczące w twoich ócz spojrzeniu,
 Posłuszny byłem zawsze twojemu skinieniu,
 Ty chcesz — ja oczy tracę — i przestaję patrzeć!

Kiedy słyszę twe śpiewy — moja błędna dusza,
 Na dźwięk głosu twojego, jak umarły z grobu
 Dotknięty mocą wyższą, do życia się wrusza;
 Czuję że świat za mały dla mnie — dla nas obu.
 Chciałbym wyżej ulecieć i w myśli ułudzie;
 Gdy z tobą jak z aniołem po niebios obszarze
 Błądę — a spodem nikną: świat, ziemia i ludzie;
 Gdy tak błogo — tak pięknie — tak cudownie marzę,
 Ty już śpiewać przestajesz. — Głos słabieje — niknie,
 Z nim marzenia w nic poszły, niebo się rozchwiało?
 Jak ów komar bezsilny, kiedy raz przywyknie
 Okręzać światło, gonić za ludzającym blaskiem,
 Błyśnij światłem — on skrzydłem ciągnie za nim śmiało,
 Zagaś — i znowu lotem krążyć będzie blaskiem!

Ty nie masz dosyć na tem — ażebym uciekał,
 I wieczny rozbrat z tobą i szczęściem uczynił.
 Przeciwno woli twojej nigdy nie przewinił,
 Smutny — milczący — nigdy nie będę narzekał!
 Niechaj więc żadne słowo nie dotknie ci ucha,
 Niech powietrze kradnące każdy żal rozdmucha,
 Niech wieczna wojna będzie w sercu i umyśle!
 Słuchaj! rozkazy twoje powypełniam ściśle;
 Zmyślę duszę inaczej — życie moje zmyślę!
 Gdy płakać mi się zachce, oko śmiać się będzie,
 Gdy kto o zgonie, śmierci przemówi czasami,
 Śmiać się będę — wszak taka zgoda między nami.
 Chociażby — choćbym konał — śmiać się będę wszędzie!
 Ale nie — śmiech uczuciem — a ty nie chcesz serca,
 Jeszczeby może jaki sławy twej oszczerca
 Ze śmiechu myśli tworzył — nie chcę więc i śmiechu —
 Płakać będę! wszak płacz jest człowieka właściwym;
 Człowiek płacze w kolebce po rodzinnym grzechu,
 Płacz radości — niedoli — szczęśnym, nieszczęśliwym;
 Jak powietrze żyjącym, płacz wszystkim potrzebą. —
 Czy kto kochankę stracił, czy kochankę wita,
 Czy żegna przyjaciela, zmarłą matkę grzebie,
 Czy mu los nieszczęśliwy przeznaczyło niebo,

Czy kochany od ciebie, wzgardzony od ciebie,
 Płacze i choć go widzą, nikt o łzy nie spyta. —
 Śmiech co innego, śmiech jest dowodem zapalu,
 Pozwól płakać a nigdy się już nie rozśmieję —
 I tego mi zabraniasz — pomału — pomału,
 Wszystkie uczucia, mówisz, człowiek stłumić może,
 Wszystkie! nawet obawy, boleści, nadzieje!
 Byle chciał pewnie zdoła! — Będę więc kamieniem,
 Kamieniem który obce, odludne bezdroże
 Ciężarem tylko swoim przyciska i gniecie,
 Póki go obca ręka z miejsca nie poruszy;
 I jeżeli bez zmysłów — bez serca — bez duszy
 Kto jeszcze wyżyć może — ja chcę żyć na świecie!

VI.

ŚPIEW STARCA

Z WILHELMA MAJSTRA. (Z GETEGO.)

Kto się w samotności kryje,
 Ten wkrótce sam jest w sobie.
 Każdy kocha, każdy żyje,
 Zostawią go żalobie.

Zostawcie mnie mojej mece,
 Bo gdy choć w chwili przelotnej
 Samotności się poświęcę,
 Już ja nie jestem samotny!

Kochanek czyha bacznie, powoli,
 Czyli samotna kochanka;
 Tak na mnie czyha w noc od poranka,

Myśl moich nieszczęść — niedoli.
Życia mojego wspomnienie!

Ach jeźli w chwilce przelotnej,
Grobu mnie przyjmą samotne cienie,
Tam będę, będę samotny!

VII.

DO — .

Droga! próżno w przyjaciółek gronie,
Twarz twoją smutną zmuszasz do błędnej uciechy;
Próżno wzrok twój miłosny w fali śmiechów tonie,
Mnie on zwieść nie potrafi — płaczą twoje śmiechy!

Twa wesołość jest różą na grobie wybladłą,
Tylko obcych, podróżnych, wonią swoją znęci.
Ród jej przeczucie w piersiach zbolałych odgadło,
Jam go żywo rozświecił iskrami pamięci!
Droga! znam twoje serce — pozór zwieść nie zdoła,
Śmiech twój — śmiechem boleści i smutku anioła!

VIII.

DO IMIONNIKA SIOSTRY.

Jeźli kiedy — przypadkiem czułe twoje oko
Wbiegnie na ten wiersz słaby, który dzisiaj kreślę,
Zapłacz, o zapłacz siostró i westchnij głęboko,
Niech myśl twoja w pamięci, sercu i umyśle
Kraje senne przeszłości i szczęścia przelata.

A jeżeli wdzięcznym czarem obraz wskrzesi brata,
 I ja wtenczas niebawnie o tobie pomyślę!
 Bo moc duchów złączonych czas i miejsce wzruszy,
 Bo dźwięk serc w swym przelocie, wszystko z drogi spycha,
 Bo nad zimny słów odgłos, czulszy język duszy.
 Dalej sięga niż głosem — kto myśli, kto wdycha! —

Przecież — jeżeli mój obraz w pamięci zaginie,
 I odszukasz go w sercu, i w myśli i wszędzie
 I nie westchniesz głęboko i łezka nie spłynie;
 Siostro! już brata twego na świecie nie będzie!
 Mów o nim do umarłych — spleć w wianki grobowe
 Smutnych kwiatów liść piękny, ostatki pamiątek;
 I pomyśl: «Jam mu życia wyrwała połowę,
 «Jam mu życia całego rozdzierzgnęła wątek;
 «Dziś i płacz nie pomoże, bo nic wskrzeszą żale,
 Kogo raz umorzyły zapomnienia fale!»

IX.

DO —.

Jam ciebie tak pokochał — a tyś nie życzliwa,
 Oczy twoje ze wstrętem odwracasz odemnie.
 Nie wiesz, co za nieszczęście miłość nieszczęśliwa,
 Kochać szczerze i nie być kochanym wzajemnie!

Gdyby nie twoje słowo — twój uśmiech — twa postać,
 Gdyby — ja sam już nie wiem co obwinić wprzód;
 Trzeba było wyjechać — aleienne trudy,
 Czas przykry — słota ciągła — tak, musiałem zostać!

Tyś pierwsza słowo do mnie wyrzekła niebacznie,
 Jam ci odrzekł i potem, nie wiem co się stało:

Do rozdmuchania iskry potrzeba tak mało:
Biada, biada gdy płomień w górę dążyć zacznie!

Gdyby nie twoje usta — anielskie uśmiechy,
Byłby kwiat marzeń wyższych nie rozkwitał z ziarna,
Dziś zapóźno! — grzesznego gromnica ofiarna
Nie poprawi, gdy z duszy pełnej płyną grzechy.
Tak, kiedy minę prochu raz iskra podrażni,
Wiatrów zimnem przewiewem nie wstrzymasz wybuchu.
A mocniejszą od prochu twórcza siła w duchu;
Drażliwsza iskra boska — miłości — przyjaźni!

Gdyby nie twoja postać uniknąłbym zguby.
Nie dla mnie, wiem, twój pierścień, i ołtarz i śluby —
Lecz droga! czyż w kościele oko katolika
Przy hostyi podniesieniu po opłatku bieży,
Widzi ciało, a przecież że bóg jego, wierzy,
I w boga tylko patrzy bóstwem się przenika.
Tak i ja — więcej nawet — jak pustelnik prawy,
Który przy mszy oblicze pańskie widzieć zdoła,
Przecież by ludzi unikł i świata zabawy,
Woli krzyżyk drewniany niż świętość kościoła;
Uciekłbym z grona ludzi z twym bóstwa obrazem.
Niechby się inny cieszył twej ręki pojęciem —
I dusza ma swe prawa — my duszy zakłęciem,
Na ziemi tak jak w niebie byłibyśmy razem!

Pieściłbym cię codziennie, choć zdala od ciebie —
Jak obraz boga pieścą aniołowie święci,
Nie dbając o świat zimny — li sobą zajęci
Wierzaj mi, moja droga, byłibyśmy w niebie.

Nie chciałaś — trudno serce zmuszać do kochania,
Twój obraz dziś inaczej moja myśl spotyka,
Jak boga zagniewanego słaby duch grzesznika,
W jednej zawsze godzinie, w godzinie rozstania.

Samotny i bez wsparcia gdzież tułacz pobieży?
 Ludzie gardzić przywykli człowiekiem w potrzebie;
 Jeszcze jeden cel życia — gorąco — najszczerzej,
 Przez całe życie, boga chcę prosić za ciebie!

X.

DO —.

Dnia 21 Czerwca.

Czemum cię znowu zoczył, o ziemski aniele!
 Twarz taż sama i oczy i usta — a przecie
 Zmianę w tobie znalazłem, braknie ci tak wiele,
 Czego? czułości — czułość cnotą jest w kobiecie!
 Dawniej — łezka przelotna — tobie łąza do twarzy —
 Nie raz twe piękne oko, twych jagód zapęły,
 Przygaszała na chwilę, jak świętość ołtarzy,
 Przed którą w dzień świąteczny świat się zgina cały,
 Kapłan skromnie obsłoni przed codziennym wzrokiem.
 Dziś wesołe twe oko — i czemuż byź nie ma?
 Albo czas nie upływa? — mija rok za rokiem,
 Wszak skąpiec ledwo jeden skarb swój dawny trzyma.
 Ty tylko samolubie z uczuciami twemi
 Chciałbyś stać niewzruszonym i gdzie? w sercu młodym?
 Róża przecie zroszona tylko z słońca wschodem,
 I na wieczór czasami — a onaż nie różą? —
 Ja od pierwszej młodości odbiegłem daleko,
 Może już drogę nawet przebyć mam nie dużą,
 Nie wiem dokąd mnie jutro losy me zawleką.
 Stoję w świecie jak bańka na wody kryształ, e,
 A przecież — chciałem wzruszyć serce jej jak dawniej!
 Człowieku! ludzie razem dumni i zabawni.
 Noc nie światłem — zwierciadłem nie są burzy fale!

Mój wiek blizki wieczoru, choć dzień nie upłynął,
 Mój czas burzliwszy stokroć od nawałnic morza;
 Krwawe w przyszłości mojej przewiduję zorza,
 I jutro rzekną o mnie: był, kochał, i zginął! —
 Wtenczas przynajmniej klęknij na sypce grobowej,
 Żegnaj błogosławieństwem — wspomnij na czas przeszły,
 A gdyby na mym grobie białe lilje zeszły,
 Liljom i mnie łyzy bratnie — daj dwie do połowy!

XI.

ODPOWIEDŹ NA LIST.

Czyż od drzewa w jesieni zdarty liść samotny,
 Sierota, uniesiony ręką dzikiej burzy,
 Szczęśliwym zwać się może, kiedy wiatrom służy? —
 Wzbije się czasem w górę — dla czego? bo lotny,
 Bo go nic nad przypadek ni wzbije, ni zniży.
 Ale popłyn choć chwilę dzikim jego śladem,
 Przypatrz mu się dokładniej — i rozpatrz się bliżej,
 Zżółkłym ci w oczach stanie, otoczony gadem,
 Który go wskrósł przekąsił i wciąż go przekąsa.
 Tobie droga! Kwiatkami nadzieja potrząsa
 Lata młode — dla tego pozostaw jesieni
 Wiatrom chłodnym i burzy listek pożółciały.
 One go swą przemocą od matki porwały,
 Wiatr go i dzisiaj dalej w powietrzu pierścieni.
 Daj mu płynąć — daleko nieboże popłynię;
 Ale wierzaj — wkrótce zginie!

XII.

NA MOJE URODZINY.

Dawniej — licznem przyjaciół otoczony gronem,
Z rokoszą uczuć szczerych odbierałem dary,
Ten mi dawał bukiety — tamten wdzięcznym tonem,
Uścisk z słowem kojarzył, a liczne puhary
Roznosiły wesołość z tryskającym winem.

Dzisiaj jakżeż odmiennie! — sam sobie oddany;
Za grono przyjacielskie sterczą zimne ściany,
W nich jak wygnaniec błędzę z cieniem mym jedynym.
Czasem nadzieję w myśli rzeźwie przyszłym czynem,
A gdy i ten o rozum zimny się rozbije,
Gdy wszystkie choć najśmielsze życzeń giną datki,
Serce moje wyciska rokoszy ostatki.
Pamięć mi wierna dotąd — lecz nie — niech niczyje
Ucho nie przejmie mego anioła imienia! —
Wasz słuch, ludzie zanadto zbrukani zwyczajem,
Często gdzie święte bóstwo, gdzie wielkość poznajem,
Wy czczość tylko widzicie — brzęk słów — przywidzenia!
Zdała więc od was ludzie — w mem sercu — pamięci,
Chcę jej obraz popieścić — tak jak pieszczą w niebie
Matkę żywego boga, aniołowie święci —
Ożyłem! — pełną duszą westchnąłem do ciebie!

XIII.

Ś P I E W.

Gdy pozdrowię słońce zrana,
Przed stwórcą zegnę kolana,

Nim znak święty krzyża zrobię,
Pewnie pomyszę o tobie!

Kiedy słońko wpół na niebie
Pół w obłoku lśni w żałobie,
Smutnym wtenczas żem bez ciebie,
A wesoła myśl o tobie!

Lubię wieczora zacisze
Noc i światło — mocy obie,
Jak noc przeszłość w duszy słyszę,
A jak światło myśl o tobie!

W nocy często w łzach się budzę,
I wziąć rady nie wiem sobie,
Jakieś słowa mówię cudze:
Pewnie mi się śni o tobie!

A gdy na śmierci posłaniu,
Z tym światem będę w rozstaniu,
Wstrzymam krok przy samym grobie
By jeszcze myśleć o tobie!

XIV.

W IMIONNIKU.

1832 r.

Różne są drogi nasze — ja na zachód płynę,
Ty na wschód ty do domu uściskać rodzinę,
Kiedy się zobaczymy? — patrz na niebios pasie,
Gwiazdy tam rozrzucone ręką stwórcy, ciela,
Dalekie, próżno blaskiem ducha patrzą na się,
Nigdy z sobą nie będą — sam Bóg je rozdziela!

XV.

CHÓR STRZELCÓW.

Hej! przez pola, przez parowy
 Niechaj suwa koń;
 Dziś puścimy psy na łowy,
 Strzelcze w trąbę dzwoń.
 Niech liść, drzewo i bór cały
 Od łoskotu grzmi,
 Niechaj pada strzał na strzały
 Dym niech światło émi,

Hej! myśliwczę dziś bój krwawy;
 Pilnie w miejscu stój:
 Dalej chłopcy do oblawy,
 Bo dziś krwawy bój.
 I psy krzykną, wy krzykniecie,
 Tylko chyżo w las;
 Jeleń nam nie ujdzie przecie,
 Spotkać musi nas!

Czy on w lewo, czy on w prawo
 Wszędzie strzelca łów;
 I przed wrzawą, i za wrzawą
 Tysiąc zmyślnych głów.
 Tysiąc ramion tysiąc złego,
 Tysiąc lotnych kul,
 Świsną w niego, strzelą w niego
 Padnie lasów król!

XVI.

ROZMOWA.

«Pójdź tu dziewczynko» — i ona bieży.
«Czy ty mię kochasz!» — «Kocham i mocno!» —
«Jak matkę, brata?» — «Inaczej, szczerzej.
«Chciałabym tobie być tak pomocną,
«Ulżyć we wszystkim i dzielić z tobą
«Co mam, mieć będę, i więcej jeszcze.
«W nocy gdy drzewo czasem szeleszcze,
«I wiatr o szyby jęczy z żałobą,
«Tęskno mi — przykro — smutno i ciemno.
«Płacę i myślę żeś ty nie ze mną!»

«Źle moje dziecko — to ciężkie grzechy!» —
«Ciężkie ty mówisz? — nie — ja nie wierzę,
«Kiedy poranne mówię pacierze,
«A nie za ciebie — nie mam pociechy.
«Wieczorem kiedy zbieram twe słowa,
«I wszystkie sobie dziwnie tłumaczę;
«Jam tak szczęśliwą, choć rzewnie płaczę —
«Żebyś tę chwilkę była gotowa,
«Zamienić w wieczność i płakać wiecznie!» —

«Źle moje dziecię — trzeba koniecznie
«O innem myśleć, tak rozum każe,
«Tak Pan Bóg każe!» — «Ja kiedy marzę
«O niebie czasem, tyś w oku zawsze.
«Dawniej robiłam sobie wyrzuty,
«Lecz rzekły do mnie głosy łaskawsze:
«Póki masz serce, kochaj dopóty!»

Zamilkłim nagle — słońca nie było,
Wieczór nadchodził — w pokoju ciemno.

I tak mi było trwożnie i miło,
 Taka odmiana we mnie i ze mną,
 Żem powtarzając: źle moje dziecię —
 Ona — że kocha — wciąż, na przemiany,
 Rękem i usta całował przecie,
 Byłem w dziewczynie już rozkochany!

XVII.

PIERWSZE SŁOWO.

SONET.

Znów weszła — nie wiem co się w duszy mojej działo!
 Uśmiech jej był tak słodki — oczy tak łaskawe,
 A przecież czułem w sobie niepewność, obawę —
 Gdym chciał mówić, oddechu na słowo nie stało.

Myślałem że na świecie odznaczony mało,
 Jej tylko służyć mogę za marną zabawę;
 I westchnąłem ukryty przez krzykliwą wrzawę;
 To westchnienie ach, było duszą moją całą.

Ktoś imię moje wyrzekł — i podniosłem oczy,
 Jak ów we śnie chodzący wzbudzi się na imię;
 Patrzę — już się kołuje tanecznik ochoczy,

Znów ktoś na mnie zawołał — czy na jawie drzymię.
 To ona — rękem porwał — jakiś duch proroczy,
 Serce i myśli natchnął — i w tańczącym rymie,
 «Ja cię kocham!» — wyrzekłem.

XVIII.

W NOCY NOWEGO ROKU.

1832.

Rok minął — pierzchyły tysiączne wypadki;
Od przyjaciół daleki — samotny — sierota,
Westchnienie oto moja jedyna pieszczota,
A gdy zapłaczę — lży jedyne świadki!

Rachowałem stłumiony brzęk zegaru z wieży,
Zdało mi się że przyszłe losy duszy dzwoni;
Chciałem żegnać i witać! — lutnia padła z dłoni,
Zamiast śpiewu jęk płynął posępnych pacierzy.
Modliłem się jak dziecko — lecz czyż bóg wysłucha?
Módlmy się tylko wszyscy — pacierz ludzi zbliża,
I do siebie i boga — trzeba było krzyża,
Ale po męce światło rozwinie się ducha!

WSPOMNIENIA Z CZASÓW

WOJNY NARODOWEJ POLSKIEJ

1831.

SPÓŁ-TOWARZYSZOM BRONI

I

SPÓŁ-PIELGRZYMOM.

POŚWIĘCA AUTOR.

ZAPALENIEC MŁODY

DNIA 16-go GRUDNIA.

Uciekajcie ludzie zgody,
Bo to zapaleniec młody.

Każda choć najdrobniejsza o kraju przemowa
W oczach żar mu obudza i lica płomieni,
Tworzy wnioski z słów blahych, ciało tworzy z cieni;
Przewrotna — zawichrzona — bezzasadna głowa. —
Jednem słowem, ludzie zgody,
Zapaleniec jest to młody!

Niezgodny, niespokojny, gardzi nędzną radą.
U niego czyny wszystkim i nie patrząc końca
Co tylko u nas widzi chrzci, nazywa zdradą,
Jak ptak nocny co nigdy znieść nie może słońca.
Jednem słowem, ludzie zgody,
Jest to zapaleniec młody!

Plwa codziennie na czasy, ludzi, na ster rządu;
Że źle idzie w ojczyźnie, krzyczy i powtarza,
Nie wierzy w żadne łaski i listy cesarza,
Każdy zdrajca u niego wart kary i sądu;

Jednem słowem, ludzie zgody,
Jest to zapaleniec młody!

Niestety! ma przyjaciół, stronników nie mało
Boć ludzi nie rozumnych lada co odurzy:
Ztąd gniewy, narzekania, za to co się stało;
Przekleństwa na praw naszych i ojczyzny stróży!
Jednem słowem, ludzie zgody,
Jest to zapaleniec młody!

Koniec — koniec położyć obowiązkiem świętym,
Kto wraz z nami do celu spokojnego mierzy;
Dość szaleństw — dość odmętu — tylko mocnem pętem
Skrępujemy ręce — czucie — i myśl tych szermierzy!
Sądu! sądu ludzie zgody,
Zdrajcą zapaleniec młody!*)

Zgadnij co było! wprawdzie mógł osieł słowika
Jeżeli nie prześpiewać to zagłuszyć rykiem;
Ale aby bój zacząć i walczyć z młodzikiem,
Trzeba mieć prawdę, ducha i siłę młodzika!
A tak wszystkich ludzi zgody,
Zapaleniec zwalczył młody!

NA DZIEŃ DETRONIZACYI.

Krzyczcie na wszystkie cztery świata strony:
Niechaj od jednej do drugiej krawędzi,
Głos nasz przez lądy i morza popędzi;

*) Ścigano wielu członków Towarzystwa patryotycznego którzy przeciwko dyktatorowi powstali.

Na głowie cara nie ma już korony!
 Kradzione złoto ze skroni mu zdarto —
 Polski wojownik berło mu wytrąca! —
 Ludy spółbratnie! od wieków tysiąca,
 Dzieje podobną nie zabłysły kartą!

Jednemu Bogu z niczego przystało,
 Świata olbrzymią wystawić budowę;
 My po nim pierwsi, sercem wzmoгли ciało,
 Duchem stworzyli zastępy bojowe;
 A słowem jednym jak kiedyś prorocy,
 Ze szponów orla i cara północy
 Wybili berło wolności narodu —
 Ludy! to czyny — pierwszych chwil zawodu.

Rok tylko życia, a dziecko w olbrzymia,
 Młodzieńczy naród w siły świata wzrośnie;
 Rok tylko życia! — a po jednej wiośnie
 Słońce mnogimi zabłyśnie oczyma!
 My orłem białym wiewając na przodzie,
 Gdy krwawy bęben zagrzmie wojny hasło,
 Przechodzić będziem naród po narodzie —
 Bagnetem błyszcząc gdzie światło zagasło!

Wtenczas wy ludy, za piersi przedmurzem
 Wolnych Polaków danych na ofiary;
 Berła, korony, ciężkie wieków kurzem,
 Z rąk niedoleżnych, z głowy strąćcie starej!
 A gdy w rodzinę jedną świat się zmieni,
 Królów nazwiska będą dzieci strachem —
 Kończąc do czego my dziś przeznaczeni,
 Pod rodzicielskim wypoczniemy dachem.

DO WOJSKA POLSKIEGO.

(Dnia 6-go lutego gdy moskale Bug przeszli.)

Zedrzyjmy dawne z proporców sztandary!
 Gdzie męczenników zabutwiała truna?
 Ztamtąd dobądźmy krwawego całuna,
 Niech jak płaszcz lekki krwi łaknącej mary,
 Wzbija się w górę!

Ot patrzcie — patrzcie! — car napędził chmurę
 Narodów swoich — już spadła na ziemię
 Ojczyzny naszej, i kurzem się wleczę!
 Jak rój błyskawic co w obłokach drzemie,
 Krociowe z dymu skrzą się ostrzem miecze,
 Jak bracia wichry gdy huczne z obłoków
 W prawo i lewo łamią sobie drogi;
 Miasta w perzynę zdeptały ich nogi,
 A pęd gwałtowny barbarzyńca kroków! —

Gdzie są pioruny? — ach niema proroków!
 Już bóg nie mieszka w przymierza kościele;
 Więc naprzód młodzi wolności mściciele!
 Niech nasz porządek nad rycerstwem wieje!
 Ich tłumy liczne — nas prawda niewiele,
 Lecz niosąc w piersiach rozpacz i nadzieję,
 I wolność — przed ich tłumem niewolniczym
 Staniemy z groźnem sędziego obliczem.

Ich kule ślepe. — Z krwawym ludzi potem,
 Z otchłani ziemi ołów car wyważa;
 Nasze gwiazdziste, gromów prędkim lotem
 Przejrzą dumnego szeregi mocarza:
 Bo ołów na nie ksiądz wybrał z ołtarza,
 Na proch wymienił biedny kmiotek sprzęty;
 Ojciec dał dzieci do broni ognistej,
 A ojciec wyższy, w trzech osobach święty,
 Dzieciom ojczystym wlał zapal ojczysty,

Więc naprzód dzieci! czas woła do bitwy,
Strzelajmy, bijmy, najeźdźników hordy!
Dziś cnotą zdrada — dziś zasługą mordy,
Dziś jedną myślą za wrogiem gonitwy!

Gdy ich wymieciem z Korony i Litwy,
Nie zatrzymane ni Dniestrem ni Dźwiną
Niech pułki idą; wciąż walczą i giną;
Aż zatkniesz sztandar z całuną uszyty,
Gdzie był ostatni męczennik zabity.
Chorągiew naszą z całuną uszytą
W tryumfie zatkniesz nad Dnieprem i Dźwiną,
Spytamy cara z dumną jak on miną
Gdzie męczenników krew których zabito?

ŚPIEW

PO PIERWSZEJ BITWIE I ZWYCIĘZTWIE POD STOCZKIEM.

Zaśpiewajmy cześć rycerzom,
Polskim hufcom cześć,
Niech najwyższe wieże wieżom
Dzwonem głoszą wieść:
Że już bagnety się z bagnetem
I miecz z mieczem wdał,
I my z małym sił poczetem
Dziesięć wzięli dział.

Tam pod Stoczkiem jeczcie ślady
Ich radlących kul,
Bo obsiadły nas gromady
Jako pszczoły ul;
A Gaismara na ich czele

Możny stawiał wódz,
 Gysiącami — nas nie wiele
 Chciał od razu stłuc.

Zagrzmiał ku nam z dział bez liku,
 Konie popchnął wprzód,
 Czernił się tam szyk po szyku
 I po ludach lud.
 Sam dowódca był straszliwy,
 Zna go Turków pan;
 Mnogiem wojskiem obległ niwy,
 My zaledwie łan.

Ale szabla słucha dłoni,
 Czuje jeźdźca koń,
 Wódz nasz krzyknął: bij, to oni!
 Wróg porzucił: broń,
 Dziesięć dział ulanych z spiżu
 Pełno żywych głów,
 A czterysta tuż przy krzyżu;
 Zakopano w rów.

To twój pierwszy liść wawrzynu,
 Żyj Dwernicki nam!
 Tylko naprzód polski synu
 Wszędzie jak dziś łam;
 Wszędzie jak dziś bierz armaty
 I w pień wroga siecz;
 Aż wyszczerbisz jak przed laty
 Na Kijowie miecz.

BIWA POD GROCHOWEM.

Któż się zląkł twych żołnierzy okutych w żelazo,
 Twych wodzów, prochów siły, paszcz ulanych z spiżu?
 «Zgniotę, zniszczę zuchwalców, i za jedną razą
 «Ujmę świat — drżij Londynie, drżij podły Paryżu!
 «Naród cały mym nogom zwyciężkim podścielę, *)
 «Rzucą się wszystkie ludy pod cesarskie stopy,
 «A ja z tronu mojego jak pan Bóg w kościele —
 «Mieczem, prawa napiszę ludom Europy!»

Rzekł — rozkazał — z zimową zamiecią i śniegiem,
 Na skrzydłach wiatrów trąba zawrzała chrapliwa,
 Po wszystkich czterech stronach świata się odzywa,
 Ze wszystkich czterech części lud jarzni szeregiem.
 Tak kiedy morskie wały księżyc pan zdaleka,
 Podszczuje gniewnem w chmurach zakrwawionem okiem,
 Morze piersi wydyma, łeb podnosi, szczeka,
 I ziemi całej — gardłem zagraża szerokiem:
 Tak na rozkazy cara, zastępem bojowym
 Pułk leje się za pułkiem w pole pod Grochowem.

Słońce było już weszło — Warszawa z mgły siwej
 Świątyń krzyżami w słońcu błyskając wysokiem,
 Spokojna — jako w duszy naród nieszczęśliwy,
 Wyrzała na obszerne zawiślańskie niwy
 Okiem nie trwożnem prawda, ale czułem okiem!
 Tak dziewczica spogląda wszecz morskiej powodzi
 Gdy jej kochanek życie słabej zwierzył łodzi.
 Widzieć w naszej stolicy było bez przestanku
 Na każdym wyniesieniu, na każdym krużganku

*) «Je foulerai aux pieds la Pologne, et je marcherai contre la France»
 słowa cesarza rosyjskiego.

Tłumy ludzi ciekawych, — Tu matka z dzieciną.
 Łzawem przebiega okiem rozstawione szyki —
 Tu starzec z zadumaną, zasępioną miną
 Spychając jedną ręką różańca krzyżyki,
 Drugą liczy armaty i głąb wojska zmierza.
 Tu znów ksiądz od kielicha, hostyi i pacierza
 Na wieżycę szczebluje, wypadków ciekawy,
 Bo od nich los ojczyzny, los zawisł Warszawy.

Plac bitwy jest obszerny — nasze prawe ramie
 Chwyciło las olszowy, lewe Białolekę
 W środku konnica skrzydłom podawała rękę:
 I tak szeregi stały jak tama przy tamie
 Czekając nawałnicy. — Z gęstego drzew płaszcza
 Którym w półokrąg dalej najeżone lasy,
 Wyglądały czarniejsze silnych wrogów masy —
 I zabłysnęło czasem: to armaty paszcza
 Na naszych skierowana — to lont — bagnet w świetle:
 Albo rzędem na zwiady kozacka konnica
 Ciągnie z borów, śród dymu jako czarownica,
 Kiedy z gardła komina wyleci na miętę.

My łupu nie żądamy! jak Wisła spokojna
 Kolebie w łonie swoim rysunki kościołów,
 Tak w żołnierza sumieniu — wojna, krwawa wojna
 Nie panuje — on tylko chce z tłumu popiołów
 Pamiątki wskrzesić przodków, ojczyznę, swobodę!
 Starzec, pomny na dawne Kościaszki zamiary,
 Porwał za broń i sypiąc w broń zabójczy olów
 Myśli, że mu się jeszcze wrócą lata młode.
 Młody pamięcią zbiega co doświadczał stary,
 Marzy jakim był Polak i zostanie jakim —
 A każdy chce być tylko wolnym i Polakiem.

Lecz słuchajcie — grzmot blizki — patrz, armat czterysta
 I pułków dwieście rusza, wysuwa się z lasu,
 Artylerya z uajmniejszych pagórków korzysta;
 Słychać komendę wódzów — zgiełk — pełno hałasu —

Konnica nieprzejrzana śród kurzu wyrasta.
 W tej chwili dzwony na mszę uderzyły z miasta;
 «To dzwony są tryumfu!» — rzekł wódz z głośnym śmiechem,
 «Przed wieczorem w Warszawie wypoczniecie z pracy,
 «Patrzcie na tę ich garstkę, ot wszyscy Polacy.»
 I śmiech wodza w szeregach odbijał się echem,
 Jak nad skałami kiedy z błyskiem zagrzmiała chmura:
 Aż w końcu do tysięcznych ust ciągnąc z tysiąca
 W grzmienie przeszedł niedźwiedzia i w skrzeki zająca:
 Głos dwakroć stotysięczny razem wrzasnął hurra!
 «Więc armaty niech biją — kolumny piechoty
 «Tymczasem las ten wydrą z rąk nieprzyjaciela»
 Rzekł — lonty błysły w górze i razem jak z noty
 Piorunem całej linii artylerii strzela.

Odpowiedziała nasza, — zadrżało powietrze —
 W dymie, jak w płaszczu duchy, nasze kanoniere
 Kłęcząc dodają oka kulom i saletrze —
 Chociaż za nasze jedno ich dział bije cztery,
 Chociaż ognie ich ryczą jak wulkan w wybuchu,
 Dość spojrzeć na ich szyki niespokojne w ruchu,
 Które chwieją się ciągle jak na fali łodzie;
 Dość spojrzeć na chwilowo rozprysnięte kupy,
 Kiedy kula im z czoła wnętrzości przebodie —
 Żeby za błyskiem naszym liczyć wrogów trupy!
 Z stron obydwóch kul tysiąc powietrze rozcina,
 A jako twierdzę, kiedy prochu pęka mina,
 Kamienie, cegły, dachy, rozruca szeroko,
 Albo jak owa lawa gór strzaskawszy głowę,
 Kiedy z wnętrza ciemnego wyświeci swe oko,
 Wszystko po drodze niszczy, rozmiata i pali,
 Tak granaty gdy śmiganiem w kolumny pułkowe
 Ręce, nogi, w powietrze unoszą moskali!

Strzelajcie napastnicy! nam w naszej! obronie
 Żymy proch posłuszniejszy, oko lepiej świeci,
 Bo my broń ojców wzniesli na obronę dzieci!
 Mąż umrzeć lub zwyciężyć na krzyż przysiągł żonie:

Na nas ojczyzna cała, świat buduje cały —
 Szeregom bitnym, wieje przodków orzeł biały!
 «Więc naprzód w imię Boga! na las wróg przypuszcza.
 «Czwartego pulku bagniet już poznała tńszcza,
 «Drugi się już odznaczył — grenadyery piąty
 «Dziś na was kolej mężni — niech baterya bliska
 «Kartaczami ładowna, zajmie ich ukosem;
 «Naprzód!» — z krawędzi lasu jak iskry z ogniska
 Tysiąc bagnietów błyszczy, migają się lonty,
 Lecz i wróg nie daleko — jako kłos za klosem
 Wiatrem na polu wiewa gdy rodzajne pole,
 Tak głowy pulków licznych, tak zgarbione ciała
 Idą ślepo wypełniać narzuconą wolę,
 Krzyk okropny — tu czarna — tam chorągiew biała:
 Na ich czele dowódca konno się uwija,
 Bęben grzmi — już do lasu przeciska się szyja,
 A za nią smok ich wojska czarne suwa kłęby —
 Już bagnety na naszych jako z paszczy zęby
 Obrócili z stron wszystkich — strzał pada na strzale —
 Hurra! hurra! i zewsząd cisną się moskele!

Bagniet sparł się z bagnetem aż w piersiach przepada!
 Gromada jedna padła, znów druga gromada,
 Żołnierz polski tysiące trupów w lesie kładzie:
 Ten cara przeklinając — coś o dzieciach gada
 I umiera — ten — ów się już nie wzbudzi
 Ile drzew tyle przy nich konających ludzi,
 A trupy leżą w śniegu jako gad przy gadzie
 W naczyniu mleka pełnem. — Nakoniec w nieładzie
 Reszta pierzcha gwałtownie — ścigają ich nasi,
 O, zagnali daleko! — lecz słuchaj, jak w mieście
 Gdy wiatr mocny — na rzędem rozstawione domy
 Pożar się rozeźre nikt go nie ugasi:
 Tak oni, pulków mając uzbrojonych dwieście,
 Posłuszni woli cara jak wiatrom żdźbła słomy,
 Powtórnie życie swoje na harc wszyscy niosą,
 Powtórnie znów padają jak zboże pod kosą.
 Cóż tysiące im znaczą? — Próżno wróg uparty

Całe rzędy żołnierzy, jak stawiane karty
 Ręka dziecięcia łada podmuchem, utracą;
 Niemordowana we krwi najeźdźników praca!
 Trzykroć odparci byli, trzy godzin bez przerwy
 Bój, nie — rzeź trwała w lesie — nakoniec rezerwy
 Ostatnie wróg wprowadza — pola czarne ludem.
 Nasi walczą! — choć ręka wysiłona trudem
 Choć dziesięć na jednego z wszystkich stron nastawa,
 Każde drzewko jest twierdzą, każdy błysk śmierć rzuca.
 I było widzieć w końcu gdy strudzone płuca
 Z stron obydwóch ucichły, zmniejszyła się wrzawa
 Jak nasi za odgłosem trąby do odwrotu.
 Podpaliwszy brzeg lasu przeciągli w dymie —
 Każdy ojczyzny drogicę na głos krzycząc imię!
 I wyświeżone ogniem czoło pełne potu,
 I oko rozżarzone, i broń przytępioną,
 I wrogowi raz jeszcze pokazując łono.

To się na prawem działo — lewego już wprzód
 O zwycięztwie zupełnem chodziły pogłoski —
 I tam — świadkiem krwią złane domy i ogrody.
 Dwa razy żołnierz polski wroga wyparł z wioski,
 Pędząc przed sobą długo przemożne zastępy —
 Z prawego i lewego bagnet nie był tępy.

Przerwa w bitwie na chwilę — wódz strony przeciwnej,
 Plan ostatni ułożył gwałtowny i dziwny,
 Konnicą na sił naszych uderzyć ognisko:
 Jeźli punkt ten przełamie, a pewno go złamie,
 Jednym popędem koni stanie w miasta bramie.
 Tak więc choć mroźna ziemia — niebezpieczno — ślizko —
 Na kolumnę żelazną wskazał swoim palcem.*)
 Nazwał Polaka w gniewie waryatem, zuchwalcem;
 I gdy trąby zawrzały, już szeregi tłumne
 W mgnieniu oka z stron wszystkich pędzą na kolumnę!

*) Kolumna żelazna niedaleko Grochowa:

Oktawami głośniejsze im pędzsy bieg koni *)
 Dowódców słyhać zewsząd wrzaskliwe komendy;
 Stęp kopyt jak grzmot ciągnie — jak pękanie lodu
 Gór alpejskich; ich trąba coraz głośniej dzwoni,
 Jak wały rozhukane, w galopie ich rzędy
 Płyną, buczą, wrą!

Czyście widzieli dzikich koni stado
 Gdy po puszczech wiatr goni rozdętymi boki?
 Czyście słyszeli ryki tysiąca niedźwiedzi? —
 Taką, jak dzikie konie, pułki ich gromadą
 Lecą, bijąc tumany pod same obłoki —
 Tak jak niedźwiedź — gdy z gniewem już na pastwie siedzi,
 Tysiące jeźdźców wrzaski rozdarły powietrze —
 Na proch garstkę Polaków koń i jeździec zetrze!

Kirasyerów pułk gwardyi nieśmiertelnym zwany,
 Sadząc czarnemi końmi przez szerkie lany,
 Przodem pędził. — Z pod płaszcza, z pod rozwartej pachy,
 Bo każdy wyniesioną w górę broń swą trzyma,
 Puklerzów błyszczą złotem rozświecone blachy,
 O blachę grzmi pistolet na długim rzemieniu;
 Szyszaki na ich głowach drgają czarną kitą,
 I broń leci za bronią, oczy są oczyma,
 Koń z koniem — człek z człowiekiem — ramię przy ramieniu —
 Cóż się stało! — uciekli a resztę zabito.

Cóż się stało? — uciekli — tylko rzędem długim
 Koni pełno i ludzi po ziemi się wala,
 Tylko w blachy ich złote jak młoty kowala
 Biją lance, bagnety — a pułk piąty z drugim
 Ułanów naszych dzielnych, wypuściwszy konie
 Długo ich jeszcze ściga przez grochowskie błonie.
 Aż z nocą — nigdzie w okrąg niebyło moskala!

*) Komendy rosyjskie w attaku coraz głośniejsze im żywiej nacierają,
 tak więc stęp zwyczajnym, klus mocniejszym, galop wrzaskliwym, a marsz
 zupełnie cienkim głosem komenderują.

Któż się złął twych zastępów okutych w żelazo
 Twych wodzów, prochów siły, paszcz ulanych z spiżu ?
 « Zgniotę, zniszczę zuchwalców i za jedną razą
 « Ujmę świat, drżij Londynie, drżij podły Paryżu —
 « Naród cały mym nogom zwyciężkim podścielę!
 « Rzuć się wszystkie inne pod cesarskie stopy,
 « A ja z tronu mojego jak Pan Bóg w kościele
 « Mieczem, prawa napiszę ludom Europy! »

HYMN

ZWYCIĘZTWA PO BITWIE POD WAWREM I DĘBEM.

Z wiosennych kwiatów niech koronki wiją,
 Na laur żołnierzom dziewic naszych ręce;
 Niechaj łzy starca, i krzyki dziecięce
 Błogosławieństwem w niebios biją szczyty!
 Niech zagrzmia dzwony, i organy szyją
 Nadętą w hymny uderzą,
 Sztandar nad każdą niech zabłyśnie wieżą:
 Moskal pod Wawrem pobity!

O gdybym śpiewem mógł czucie w granity
 Wsączyć i łzami roztworzyć krew ludzi,
 Śpiew mój, jak obłok ciągnąc przez błękity,
 Światły przeleciał zimny, nieużyty.
 Łzyby paliły — ale któż obudzi
 Płaczem i pieśnią zwyczajną,
 Ludy służalcze i ziemię sprzedajną
 I starców w młodości wieku!

Precz więc zgnuśniały bez serca człowieku,
 Nie dziś dla ciebie brzmią zwycięstwa hymny,
 Wieko m śpiewamy — i wiek je po wieku

Jak skrzydło w polocie wiatr zimny,
 Dopchnie ku przyszłej prawnuków puściznie,
 Co dziś zabrzmiało w ojczyźnie;
 Hymn nasz, on w świata rozrośnie się hymny
 Zwycięzcom, wojsku, wodzowi!

Śpiewajmyż wszyscy — niech każdy pozdrowi
 Jak żeglarz gwiazdę, orła przy pogoni —
 Wieszcze! zdejmujcie laur dawny ze skroni,
 I wielkiem kołem do śpiewu gotowi,
 Dzisiaj w zieleńsze ubierzcie się wieńce!
 Oto są moskale, jeńce!
 Oto armaty, oto ich sztandary!
 Zdobyło je wojsko wiary!

«Niech żyje wojsko, bracia, przyjaciele;
 «Dziś czas zmartwychwstać kto obumarł w duchu!
 «Już alleluja śpiewają w kościele.
 «Dalej do broni, do życia do ruchu,
 «Zapalcie wszystkie razem w kraju wieci!
 «I z nami starcy, kobiety i dzieci!
 «Obóz nasz będzie ojczystą zagrodą,
 «Wszystkich na wroga niech wiodą!»

MODLITWA OBOZOWA

DNIA 7-go MAJA W OBOZIE POD RUDZIENKĄ.

Nie na różańca pierścienie
 Dziś liczymy modlitwy nasze,
 Niech grzmiały działa, lśnią pałasze.
 I za szeregowie pienie
 Ozwą się jedne modlitwy:
 Do Litwy, wodzu, do Litwy.

Nie ten z Bogiem, kto pacierze
 Z książki odczytuje pilnie;
 Bóg z tym trzyma nieomylnie
 Kto w wolności działa wierze!
 Nasze więc jedne modlitwy:
 Do Litwy, wodzu, do Litwy!

Kraśne są Niemna doliny,
 Kraśniejsze Litwinów serca!
 Złączą się z nami Litwiny
 A żyć skończy przeniewierca. —
 Dziś niech wspólne grzmiały modlitwy;
 Do Litwy, wodzu, do Litwy.

Tam wystawim ołtarz wiary
 Ołtarz będzie nad ołtarze,
 Czołem mu wytną mocarze
 Car nam stanie na ofiary.
 Hej, za wrogiem dziś gonitwy:
 Do Litwy, wodzu, do Litwy.

Kędy słupy Bolesława
 Groźne rozbiły fale,
 Niech nasz kościół bracia stawa;
 Ja w nim kadzidła zapalę,
 Bo znam waszych serc modlitwy:
 Do Litwy, — dalej — do Litwy!

Proch wygrzebiem z ziemi głębi,
 Ofiar drgające ostatki;
 Niech się w niebo dym rozkłębi
 Niebo nam służy na świadki,
 Na świadki mściwej modlitwy,
 Nieszczęść Polski, nieszczęść Litwy.

Lzy współbraci, niech za ciało
 Za krew w kielich leją księża;
 W jęk niech kapłan śpiew wytęży,

W jęk piekielny: — « tak się działo!
 My śpiewajmy krwawe bitwy,
 Mordy Polski, mordy Litwy!

Czas zastąpi ofiarnika,
 Zimny świat nam mszy posłucha,
 I za odmiar nędzy ducha
 Niech go śpiew nasz wskroś porusza!
 My śpiewajmy krwawe bitwy!
 Mordy Polski, mordy Litwy!

Jako iskra gdy w przelocie
 W ciało prysnie, płomień wznieci,
 Tak śpiew nasz ziemię przeleci
 I zapali duchów krocie.
 Śpiewać będą krwawe bitwy,
 Tryumf Polski, tryumf Litwy!

Świat cię przeklnie dumny człeku,
 W tobie nieszczęść wszystkich wina,
 W tobie nieszczęść wszystkich wina,
 Jak cię śpiew mój dziś przeklina —
 Giń morderco, Polski, Litwy,
 Oto koniec mej modlitwy! —

ŚPIEW

OCHOTNIKÓW POZNAŃSKICH WYCHODZĄCYCH NA LITWĘ.

Dnia 26-go Maja,

CHÓR.

Ileż! rozpuśćmy cugle koniom.
 Dalej bracia pędźmy w biegu,

Tam, na tamtym Litwy brzegu
Nieśmy wolność Litwy błoniom!

GŁOS.

Kto bez serca, niech się wstrzyma,
Tępy wzrok niech duszę mrozi;
My wolności mamy oczy —
A wzrok wolny granic nie ma!
Z biciem serca idzie w parze,
Z myślą leci w niebos szczyty;
Prochem przed nim są mocarze,
Sam Bóg przed nim nie ukryty.

CHÓR.

Hej! rozpuśćmy cugle koniom,
Dalej bracia pędźmy w biegu
Tam, na tamtym Litwy brzegu!
Nieśmy wolność Litwy błoniom.

GŁOS.

Patrzcie o litewskie syny!
Niech weselne zagrzmią dzwony,
Oto pierścień niezgwałcony
Śle wam Polska w zaręczyny.
On z prawicy Franków zdjęty,
Świat cały kiedyś zaręczy;
On przymierzem nakształt tęczy!
Bierzcie bracia pierścień święty!

CHÓR.

Hej, rozpuśćmy cugle koniom, etc. —

GŁOS.

Litwa z Polską, Polska z Litwą —
Jedne ich cele, nadzieje;
Tylko bitwy wciąż za bitwą.
Bronią pędźmy czas i dzieje!
Za broń, za broń tylko żwawo,
Dość już więzów, dość niewoli,
W ludów, życia inna kolej;
Wszak i słońce wschodzi krwawo.

CHÓR.

Hej! rozpuśćmy cugle koniom, etc.

GŁOS.

Niech się krew leje strumieniem —

Krew ta drogo zapisana,

Ona spłynie pokoleniem

Kar i nieszczęść na tyrana.

Anioł z nieba, w złotą czarę

Każdą kroplę krwi tej zbiera:

Wie każdego — kto umiera

Za wolność — ojczyznę — wiarę!

CHÓR.

Hej, rozpuśćmy cugle koniom, etc.

GŁOS.

Tak więc za ślubne ołtarze,

Za godło jedności naszej,

Niechaj Litwa z Polską w parze

Podniesie ostrze pałaszy.

Śmierć albo zwycięstwo wszędzie,

Wolność lub śmierć wszędzie razem,

Niech przysięgą naszą będzie,

Ślubu naszego obrazem!

I rozpuśćmy cugle koniom,

I za wrogiem pędźmy w biegu —

Polska — Litwa — na tym brzegu..

Cześć, cześć Polki, Litwy błoniom.

CHÓR.

I rozpuśćmy cugle koniom,

I za wrogiem pędźmy w biegu

Polska, Litwa, na tym brzegu

Cześć, cześć Polski, Litwy błoniom!

NA DZIEŃ POSPOLITEGO RUSZENIA.

Otwórzcie bracia świątyni podwoje,
 W lilje i róże obstrójmy ołtarze;
 Niech kapłan bierze mszy tajemne stroje,
 I w dzwony zagrzmieć rozkaże!
 Módlmy się! — głosy wiary i cierpienia
 Błyskiem przenikną przez niebos sklepienia
 I o Boga słuch uderzą!

Zagaśmy światła gromnie godnych nocy,
 Wszech okna wszystkie otwierajcie księża;
 Zbrodnia niech mroków przyzywa pomocy,
 Przy słońcu cnota zwycięża!
 Módlmy się! — głosy wiary i cierpienia
 Błyskiem przenikną przez niebos sklepienia
 I o Boga słuch uderzą!

Świątym jest kościół! — ale dziś kościoła
 Obręb za mały dla wolności ducha —
 Na bok więc mury! — gdy lud cały woła,
 Niebo i ziemia niech słucha!
 Unośmyż ołtarz! — on światło powita —
 Przed światem całym niech mszą kapłan czyta,
 Ona mąk naszych obrazem!

Mordy, pożogi, gwałt żonom zadany,
 Zniewaga dziewic nasza rozpacz zimna,
 Niech będzie treścią bogobojną hymna —
 Tak prosimy pana, nad pany!
 Módlmy się! głosy wiary i cierpienia
 Błyskiem przenikną przez niebos sklepienia
 I o Boga słuch uderzą!

Przecież kto ręczy że zaczęte modły
 W umarłych ustach nie zastygną razem?
 Wróg nam zagraża ogniem i żelazem —
 Nadzieje często zawiodły.
 Więc dzisiaj głosy wiary i cierpienia
 Niech śmiała ręka w śmielszy czyn zamienia:
 Do broni, ludu, do broni!

Nie czekaj bracie aż ksiądz od ołtarza,
 Morderczą ręką będzie wywleczony;
 Nieczynność Boga i ludzi odraża;
 Rękę dał Bóg do obrony,
 Ręka uderzy! — godzina wybiła
 I padnie przed nią nieprzyjaciół siła.
 Do broni, tylko, do broni!

Kapłan w ornatach z krzyżem i kadzidłem
 Niech naprzód idzie, prowadzi gromadkę!
 Ojcowie, syny, opuszczajcie chatkę,
 Pod Boga zostanie skrzydłem;
 Czekają na was bracia, przyjaciele,
 Jak podniesienia pobożni w kościele —
 Jak nieba blizki skonania!

A wy dziewice, skoro szyk bojowy
 Wszystkie świąteczne chorągwie rozwinie,
 Bierzcie Maryę! — niech wianek liljowy
 Ozdobi matkę przy synie.
 I wszyscy razem — naprzód żwawo dzieci,
 Gdy błyszczą żarem pagórkowe wieci,
 Na wroga, wszyscy, na wroga!

Jak wały morskie gdy je wiatry wzmogą,
 Jak błysk, gdy chmura pod niebiosą ciśnie,
 Taką po wrogach będziem deptać nogą,
 Taki grom z ręki wybłyśnie!
 Próżno się dumny odgracza siłami

Bóg, Wiara, Wolność dziś walczą za nami —
Biada mu, biada, na wieki!

Tylko wytrwale, a z Bogiem skończemy,
Tylko z tą wiarą co przodkowie czcili,
Tylko się w cnoty niech każdy wysili,
Na zbrodnią głuchy i niemy —
I za broń bracia! — modły i cierpienia,
Bóg z bronią naszą w cuda pozamienia.
Do broni, Jezus Marya!

Niech głos do broni jak tchnienie zarazy,
Do każdej chatki i zakątku wbiega,
Niech się po całym kraju dziś rozlega,
Po tysiąc tysięcy razy.
I serce ogniem niebieskim rozdmucha,
W olbrzymie kształty wzniesie siłę ducha.
Do broni, Jezus Marya!

Starcze! stop siły pozostałe w życiu,
Z młodzieńca jeszcze nierozkwitłą siłą —
Mężu! opuszczaj małżonkę zażyłą,
I synka twego w powiciu;
W imię wszechmocne, w imię przodków wiary
Na ołtarz nieście ostatnie ofiary.
Do broni, Jezus Marya!

II.

(Wojska nasze na Litwę wyprawione pod dowództwem Jła Chłapowskiego i Giełguda składają broń na granicy Pruskiej. — Jł. Dembiński wraca do Warszawy — a tak powstanie litewskie zupełnie przytłumionem zostaje. Tymczasem po śmierci Dybicza feldmarszałka rosyjskiego, Paszkiewicz komendę ująwszy, wszystkie siły nad Wisłą koncentruje, i do przeprawy przygotowania czyni. — W całej Europie spokojność, Prusacy wszelkiemi sposobami łamią neutralność przyrzeczoną — Francya nieczulem okiem na sprawę naszą spogląda — sami sobie zostawieni jesteśmy.)

DO LUDÓW.

W WARSZAWIE DNIA 27-go LIPCA.

—
 Słuchajcież ludy! — kiedyś — niedawno
 Żył naród wielki i wolny,
 I zginął zdradą. — Świat nie był zdolny
 Czuć zdradę, zbrodnię tak jawną,
 W swojego prawa obronie.
 Krew lał strumieniem i chwilę pożył —
 Świat go opuścił przy zgonie!

Tu przerwa w dziejach! — W wielkim narodzie
 Inne jest życie, śmierć inna;
 Chociaż upadnie, dusza jest czynna —
 Jak słońce — gdzieś — po zachodzie!
 Łzami kramione serce tężeje,
 Czucie zamknięte w moc rośnie,
 I życie wszakże wznaga się po śnie —
 Po stracie wschodzą nadzieje!

Błysły! — jak księżyc w kłębie chmur błyska,
 Choć przed nim tarcz swą noc trzyma,

Jak w nocy ciemnej, choć słońca nie ma,
 Z wiecznego słońca ogniska,
 Gwiazdy przypomnień błyszczą oczyma,
 I śmierć — gdzieś zbudza na nowo:
 Błysły, i ręka była gotową —
 I ciałem stało się słowo!

Opadły więzy! — i powstał naród —
 Wybiła chwila — skończono.
 W młodości, dojrzał cnót wielkich zaród,
 Młodości, zrosło się grono.
 Ramię z ramieniem siłę stworzyło
 Zapał się w cuda rozwinął.
 Ludy! — ten naród, który zaginął
 Dziś ducha zmartwychwstał siłą!

O gdybym we łzach mógł moje pióro,
 We krwi umoczyć niewinnej!
 Gdyby jęk matki i płacz dziecinny,
 W pieśń można przelać ponurą,
 Śpiewałbym Bogu, ludziom i światu!
 Przyszłości, wiekom po wieku:
 Jak z jarzma rękę brat dawał bratu —
 Czem jest duch twórczy w człowieku!

Dziś — w potop zdarzeń arka już pchnięta
 Na czasu wznosi się fali,
 Tylko najtkowie niech będą śniali:
 Porwijmy kotwicy pęta.
 I płynąć — mniejsza że niebo się chinurzy,
 Ster naprzód — na wiatry żagle!
 Piersią naglicie jak ja bieg nagłą —
 Wolność jest celem podróży!

Oczy na gwiazdy, rękę na styrze
 I tak przez czasu obszary.
 Kto myśli szczerze, kto działa szczerze,
 Kto pełen czucia i wiary,

Takiego majtka morskie topiele,
 I losy szanują ziemi;
 Jego duch jako ołtarz w kościele
 Nad człkiem — między świętymi!

Puścim gołąbka — ptak srebrnopióry
 Niechaj świat cały okoli,
 Niechaj się wzbija w niebo do góry
 I znów się zniża do woli.
 Jak ptak Noego dojrzał gór barki
 I różczkę przyniósł oliwy,
 Tak i nam różczkę świat litościwy
 Przez gońca przysłał do arki.

Wzleciał i zniknął — o bracia moi
 Paść nam przed Boga obliczem,
 Tam każda cnota na wadze stoi
 I cud u Boga jest niczem.
 Bóg może natchnie narodom duszę —
 Krew to ich serca się leje;
 Ludy pomnijcie! wspólne są dzieje
 I wspólne ludów katusze.

Patrzcie, o patrzcie, jako bez miary
 Krew nasza płynie strumieniem,
 Już pokolenie za pokoleniem
 Ginie jak w ogniu ofiary.
 A wy płaczecie! — Marne płkanie,
 Gdy działać trzeba z zapalem,
 Upadniem — wieczność naszym podziałem
 Ale cóż z wami się stanie?

Jak krwią twarz zbawcy, na chuście świętej
 W wieczne się czasy odbiła,
 Tak i wam ludy cud niepojęty,
 Tajemna krwi naszej siła,
 W pamięci, nasze męczeńskie życie
 Obraz mąk naszych wytłoczy,

Każda myśl wasza mieć będzie oczy,
I każdą na nas spojrzycie!

Zabitych matek tysiące, matka —
Brat, tysiąc braci przypomni:
A wasze dzieci, wnuki, potomni
I aż do wieków ostatka,
Jak my za wolność giniemy razem,
W jarzmie upadną pod mieczem.
I umrą dla was z kłątwy wyrazem,
Bo my wam dzisiaj złorzeczem!

Słuchajcież ludy! — kar bliska chwila
Prędzej czy później uderzy,
Patrzcie, duch reszty wolnych rycerzy
W siódmej się pracy wysila.
Siódmy już miesiąc prac u połowy
Lecz słyszcie, ósmy nie minie,
Świat wielki, wolność, wszystko zaginie
Jak płomyk lampy grobowej!

Jeden-li-tylko na martwym tłumie
Na trupach licznej czeladzi;
Tron swój żelazny, ciężki osadzi,
Tron wyniosłości i dumie.
Ztamtąd — o zgrozo — resztki narodu,
Szkielety w człeka postaci
Zarządzać będzie, aż w więzach, z głodu
I mordów, reszty nie straci!

To wasza przyszłość! — płaczcież więc ludy
Nie nas, lecz własnej kolei,
My — póki serce — nie zginiem wprzód.
Nie traćmyż bracia nadziei;
Jak dusza z ciałem tak się dłoń z dłonią
Do końca potrzyma szczerze,
Mniejsza co przyszłe losy odsłonią —
Umrzemy w wolności wierze!

W OBOZIE POD BOLIMOWEM
5-go SIERPNIA.

Kiedys — z czasem — gdy w siedzibie
Przodków moich, w chatce mojej
Znów zasiądę wśród rodziny,
A słoneczko się rłotem przejrzy w starej szybie;
Może i pamięć złotem się obstroi —
Wtenczas, słuchajcie wszyscy — nie błahe nowiny
Lub miłostki zastygłe, uczucia kłamane
Zasłyszycie w powiastce — ja mą duszą stanę
Nad przeszłości brzegiem.
Utonę w niej, jak w pięknym cichych wód kryształach,
Gdy z wichrami przejdą fale,
Tonie księżyc swym obiegiem;
I oko w głąb wciskając, ślady znane kradnie
Okrętów zgruchotanych i koralu na dnie.
Może powieść, wspomnienie przez zapąły mowy
I przez waszą uwagę do czucia się wzbije,
Wtenczas jeżeli dłonie czyje
Arfę zwykły obiegać — niech sięgną ku stronie —
Muzyka twoja w pamięć moją wwionie
I śpiewać zaczną do grania połowy!
Wsparty na żony ramieniu,
Lub dłoń cisnąc przyjaciela,
Pójdę za głosami twemi;
A gdy zakończyć będziesz, i w ostatniem brzmieniu
Ostatni przegraj w strony ręka porozstrzela,
Ja śpiewać zaczną — wtenczas ty wolnemi
I cichszemi dźwiękami dopomagaj śpiewom —
Tak rosa z niebios pada i kwiatom i drzewom,
Do porostu kropelką czystą dopomaga;
Tak i hymn pobożnemu kiedy Boga błaga.
Jako starzec znużony lubi dawnym czasem,
Upominkiem z przeszłości przymilić wieczory
Z końcem grudnia zakrzepłej i zimowej pory,

Kiedy siedząc spokojny za świata hałasem,
Ledwie zasłyszysz jak wiatr szyby drażni: —

Tak i często człek młody:

Po odbytej w swem życiu zawichrzeń kolei,
Szczęśliwy jeźli myślą przeszłość zbiegłszy wprzód,
Gdy nigdzie nie spotyka i śladu nadziei,
Może jeszcze zamarzyć na łonie przyjaźni!

(Zmiana naczelnego wodza — dzień 15 i 16 Sierpnia — wojsko
cofa się pod Warszawę. — Prezesem rządu Krukowiecki — dnia
6-go i 7-go Września szturm Warszawy. —)

W NOCY PO PIERWSZYM DNIE SZTURMU.

Spojrzałem w niebo — gdzie noc płaszczył swój ciemny,

Jak kir żaloby zwiesiła —

Gdy tam jej nie ma — gdzież jest boska siła!

Gdzie jest Bóg dobry, wzajemny?

Patrzyłem długo — i w niebios przeźroczy

Jak lampy grobu gwiazd błysło tysiące

I błysły jako oczy konające!

I z nieba spuściłem oczy!

Spojrzałem na dół — a tam trupów stopy;

Ziemia leżała jako olbrzym czarny,

Z ust swych buchala parę mgły ofiarnej,

Czy przekleństw technienie. — I słyszałem głosy —

Głosy jęczące konających wkoło!

I z ziemi podniosłem czoło:

Tłali radośnie w okół ogniska;

Tu naszych — z drugiej strony ognie wroga —

Tak blisko zemsta — nienawiść tak bliska,

A śpią do koła i spokojni wszyscy!

Westchnąłem — tak i ludzie Boga blizcy,

A przecież wiecznie wzgardzeni od Boga!

Nim zorze niebo na wschodzie zapłoni,
 Jak na sąd boży rwą się wszyscy razem,
 Krzyczą okropnie do broni! do broni:

Szczękają w okół żelazem!

I ja dosiadłem dzielnego rumaka;
 Serce mi żywiej, mocniej uderzyło —
 Pędzę — za wolny — chciałbym skrzydłem ptaka
 Chciałbym na wroga olbrzyma wpaść siłą,
 Życie mu strzaskać prawicą Kaima —
 Pędzę jak ślepy — sam Bóg mnie nie wstrzyma!

(Dnia 8-go Września wojsko nasze ustępuje do Modlina—później do Płocka. Dnia 23-go Września rada wojenna, na której sześciu tylko Jenerałów za trzymaniem się do ostatka wotują. — Sejm się zbiera. — Nad wieczorem Jenerał Umiński ogłoszony naczelnym wodzem, w dwóch godzinach po obraniu, widząc że się inni bić nie chcą, naczelnictwo składa — wojsko nasze waleczne, ani w jednej bitwie nie zwyciężone, z rozkazu ostatniego wodza naczelnego Jenerała Rybińskiego na granicy Pruskiej broń składa i do Prus wchodzi.)

WCHODZĄC DO PRUS.

Gdzie wojsko nasze bitne? gdzie Wawru rycerze?
 Gdzie Grochowa zwycięzcy, Warszawy obrońce?
 Ich sława w burzy tonie jak skrwawione słońce
 Zaszło — na tantym świecie miejsce swe zabierze!

Szczęśliwy kto schronienie już wynalazł sobie.
 Jak pielgrzym, co przed burzą w ciemną grootę bieży,
 Tak on wszedł w grób przed hańbą! — Ojczystych pacierzy,
 Uczyć będą ojcowie synów na twym grobie!

Twoją pamięć wykarmi w krwi swojej dzieciny
 Matka, sycąc ją łzami z niemowlęcem mlekiem,
 I z rodziny przechodzić będzie do rodziny
 I o niej tylko mówić, śpiewać, wiek za wiekiem.

Nam inaczej! — Zwycięzcy stoim zwyciężeni!
 Napróżno piersią pełną wzmaga się głos wojny,
 Żołnierz na kij żebraka broń swoją zamieni
 I prosząc chleba rycerz — pójdzie w świat spokojny.

Kto tak przejrzał? O, pytaj przekleństwa tysięcy —
 Patrz na uścisk ostatni — długi — zobopólny,
 Matek z dziećmi — kochanków — płacz sierot dziecięcy,
 I zapytaj żołnierza, czy bić jeszcze zdolny?

Stało się — wołał śmierci — umierać nie dali;
 Na obcą ziemię pędzą nieszczęśliwą rzeszę.
 Więc i ja tu w ojczyźnie lutnię mą zawieszę,
 I z wami bracia pójde — dalej, coraz dalej!

Tylko jeszcze ostatni raz paść na kolana,
 Raz ostatni ucałuj prochy matki twojej —
 I teraz w pochód — patrzaj! — Graniczny słup stoi;
 Tyle ofiar — krwi tyle! — Napróżno — przelana!

Rozłam broń — rzuć daleko — wbij nogą proch w ziemię,
 Gdzie nas wiodą, tam zbrodnia pokazać się z bronią.
 Kusilo się napróżno krocie wrogów o nią,
 Dzisiaj — może na wieki — już senna zadrzemie!

W ROCZNICĘ.

Dnia 29-go Listopada.

Czas przyszedł zwiastowania! — Na całym zachodzie
 Okrzyk powstał tryumfu — jako piorun silny. —
 Był to grzmot bez piorunu! Naród*) po narodzie
 Biorąc hasło Paryża, w nadziei omylnej
 Porywał się z letargu — i osłabłe ręce
 Ku zachodowi wznosił z jarzmiącej niewoli.
 Próżno! — Były to tylko okrzyki dziecięce —
 A czyn ich? — Z hukiem na dół rzucona kaskada

*) Rewolucya lipcowa.

Która czując wysokość, gwałtownie upada,
Ale upadłszy — płynie zmęczona — powoli.

Narody oszukane do ziemi przypadły.
Cicho wiały z zachodu w trzech kolorach wstęgi —
Na północy — w dwóch światach szeroko rozsiadły.
Car jeden, z krzykiem gniewu wzniosł berło potęgi
I nim trząsnął — od granic wody lodowatej
Aż do muru chińskiego znak przeleciał Pana —
I pięćdziesiąt milionów padło na kolana,
I czołom uderzyły dwa pobratnie światy.
Dał znak drugi — jak wiatrem utoczona śniegu
Lekka bryła, na ślepo rośnie coraz więcej,
Tak wojska państw ogromnych od brzegu do brzegu
Nim się zwały — urosły w trzykroć stotysięcy.
I trzykroć stotysięcy pan wiedzie nad pany,
I drugie tyle królom wycisnie po drodze!
I sześćkroć stotysięcznych wojsk chwyciwszy wodze,
Popchnie w zachód — lud zdepcze — i wtrąci w kajdany.

Czas przyszedł narodzenia! — patrz — z Niepokalanej,
Ducha świętego sprawą syn wyszedł prawdziwy.
Młodzież go urodziła w uczucia prostocie —
W mgnieniu oka czyn śmiały rozbłyśnięty w dziwy,
Zachwiał w mocarzu myśli i wojsk jego krocie,
Orzeł nasz, ludów wszystkich oklaskami wzbity,
Jak owa gwiazda wschodnich królów przewodczyni,
Skrzydłem swem białem świata przebiegnął błękitny
I nad ludem swym zawisł jak lampa w świątyni!
Arką została Polska — wolności przymierzem —
Z niej miało światło wiary roz płynąć po świecie
I ludy wszystkie kiedyś wierzyć, jak my wierzem
Że przemoc upaść musi, gdy dzielnie zechcecie!
Że olbrzyma potrafi zgnieść Wolności dziecię!

Cześć więc polskiej młodzieży! jakiej święta Panna
Doznała kiedy Boga ujęła w ramiona;
Cześć im! — Niech w wieki późne wybawców imiona
Nieskażone, przeniesie stujężyczna sława!

Pamięć ich łzami ludów niech będzie karmiona!
 A my śpiewajmy dzisiaj hosanna! hosanna
 Wolności zbawicielki, Betleem Warszawa!

Czas przyszedł męki świętej! — od Niemna do Wisły
 Miasta, wioski, pożarów płomieniem zabłysły,
 Wróg na nas z knutem przyszedł i z ogniem i z mieczem.
 Żony nam zabijano — dzieci — niemowlęta,
 Męczenników strumieniami lała się krew święta.
 Biliśmy — złorzeczyli — jak dzisiaj złorzeczem
 Próżno! — Napróżno wałem wzrastały mogiły
 I trzykroć siły nasze stargały ich siły!
 Zwycięzcy, my nie z jednym walczyli narodem —
 Z trzech stron czarne przemocy zawiały sztandary
 Dwóch królów się złączyły z północy Herodem
 I Bóg żądał ofiary — spełniono ofiary!

Bracia moi! — nadzieja! — jeżeli głosy wieszczce
 Nie uwodzą, czas przyjdzie Zmartwychstania jeszcze.
 Przyjdzie czas Wniebowzięcia — laur z krzyża wyrośnie,
 Tułaczce znów się zbiegną na Pańską wieczerzę;
 Jak kiedyś apostoły Chrystusa, radośnie
 My Polskę powitamy! I Polak zabierze
 Miejsce między ludami i na siłach dzielny
 Jak dwa razy zrodzony — będzie nieśmiertelny!

ZAKOŃCZENIE.

w Dreźnie.

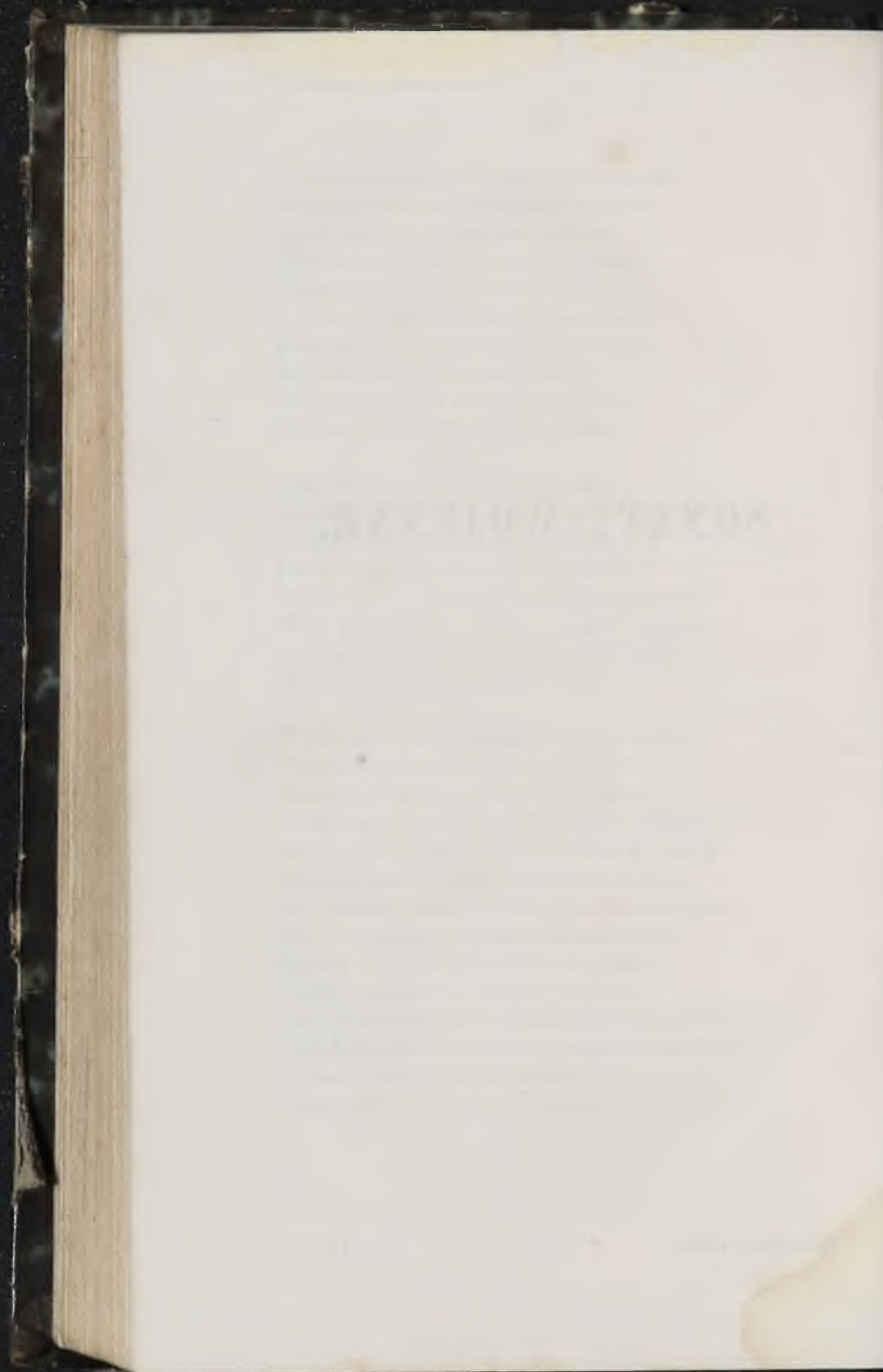
Nie miękkie rymy skandowanych wierszy,
 Z których pospólstwo laur z czasem upłata,
 Nie w beczynośći przemarzone lata
 Wabią mi ducha. — Mój duch w oku szerszy
 Świat cały, niebo, podgarnia pod siebie!
 Jako ów żeglarz na wody przestworze,
 Depeąc okrętem rozhukane morze,
 Bieg swój z gwiazd czyta na wysokiem niebie!

Zylem wśród burzy — myśl moja toczona
 Jak wały morskie, ujęła w ramiona —
 Zgrzybiałej ziemi zapleśniałe końce.
 Myślałem zepchnąć z starego łożyska
 Ziemię schorzałą, i słońce co błyska,
 I z ziemią stopić z nieba zdarte słońce!
 Roskosz to była pędzić żaglem burzy,
 Na łodzi zatlić portowe latarnie,
 Myśleć że łódź ta świat cały ogarnie —
 Tylko mi płynąć dłużej było, dłużej!

Dopałem ziemi na drzewa odłamie,
 Szukałem próżno braci mych żeglarzy:
 Tu inni ludzie — cichość na ich twarzy
 I łza przelotna w oku litość kłanie!
 Mówić — nie pojmą — język ich zgrzybiały
 Długi, rozwlekły — myśl w słowach zagasła;
 A czyny w myślach — nie nasze to hasła
 Które mi króle, czas, narody drżały!

W piersiach jedynych zabrzmiały na nowo,
 W piersiach raz drugi dalekimi echy.
 Wszystkie nadzieje, uczucia, pociechy,
 Zrosły się w myśli — przetworzyły w słowo —
 Jam śpiewać zaczął! — Jak pieśnią grobową
 Śpiewają pamięć tych których już nie ma,
 Aż z końcem pieśni — dzisiaj — przed oczyma
 Znów co innego. — Rzucam gnuśne pióro,
 Czynów mi trzeba w błyskawicy pędzie,
 I walki z czasem — ludźmi i naturą
 I wojny takiej jak w mej duszy — wszędzie!
 Chciałbym znów działać i w czynów zachwycie
 Na nową burzę, na nowe rozbitcie
 Pchnąć się — i zginąć — gdy lepiej nie będzie!

SONETY WOJENNE.



JENERAŁOWI
UMIŃSKIEMU

W DOWÓD
SZACUNKU WYSOKIEGO

I

NA PAMIĄTKĘ

KAMPANJI Z ROKU 1831-go POD JEGO ROZKAZAMI ODBYTEJ,

POŚWIĘCA AUTOR.

Drezno, dnia 7-go Grudnia 1832.

THE HISTORY OF

THE HISTORY OF

THE HISTORY OF

THE HISTORY OF

THE HISTORY OF

THE HISTORY OF

I.

W S T Ę P.

Jak na sąd, kiedy zagrzmie trąba archanioła,
Rozpadnie się grunt ziemi jak przerżnięty stałą —
Ludzie, narodów tysiąc, jako listki falą
Porwane będą, skoro głos wielki zawoła.

Na jedno słowo świat się zmieni w gmach kościoła.
W kadzielnicy wszechmocnej słońca ziemię spalą,
I popioły opadłe złych w piekło powalą
A ku niebu się wzbije drużyna wesoła
Tak tu. na ziemi bitwa sądu jest obrazem.

Od jęku dział i grzmotu ziemia drży w przestrachu,
Kłęb się dymi po kłębie, jak ręka w zamachu
Wznosi w górę, i znika gdzieś w niebieskim dachu —
Barbarzyńcy z przekleństwa konają wyrazem;
My z rokoszą za wolność umierajmy razem.

II.

NATARCIE KONNICY NA KONNICĘ.

Znak do natarcia dany — wtem dwa ciała żywe
 Jak dwie chmury, nim grzmot z nich śmiertelny wystrzeli,
 Wolno się posuwają na wietrznej topieli;
 Coraz bliżej nadchodzą krwi i mordów cheiwe.

I znak drugi uderza — i koń wstrząsnął grzywę
 I parsknął — okiem strzelił — i żywiej i śmieiej
 Kopytem dziarskim ziemię pod nogami dzieli,
 Jakby wiedział że niesie wyroki szczęśliwe.

Marsz, marsz! trzeci raz słyhać — patrz — na skrzydłach fali
 Nie tak ku niebu morze miota się z otchłani
 Jak jeździec, jak koń pędzi — ziemia się tumani. —

Krzyk okropny — szczęk broni — znani i nieznani
 Mieszają się — kto wygrał? — Nie rozpoznać w dali
 Tamci pierzchli — z trupami zwycięzcy zostali!

III.

WZIECIE ARMAT NA GÓRZE STOJĄCYCH.

Parskają w biegu rączym rumaki gorące,
 Na koniach młódź bojowa posuwa się nagle,
 Wieją nasze proporce jak zwycięstwa żagle,
 Lasem sterczą do góry lanc ostrych tysiące.

Tam, na gór wierzchu stoją działobitnie grzmiące —
 Te wziąć trzeba! -- I lance z ręki na dół nagle

Spuścili z szumem wszyscy — i ja konia nagłę,
I ja w ten potok żywy konia nogą wtrącę.

I wtrąciłem, i pędzę jak kropla w potoku.
Marsz! marsz! już koń rwie wiatry, już ziemia zadrżała!
W tem błysk z grzmotem — kartacze świsnęły w obłoku —

Sto koni i jeźdźców w rączym padło skoku;
Sto lanc stu razem przebodło kanonierów ciała,
Szańcowane w półokrąg — nasze były działa!

IV.

NATARCIE KONNICY NA CZWOROBOK BATALJONU PIECHOTY.

Bracia! żwawo w czworobok — — broń naprzód i oko
I nie strzelać i śmiało czekać ich napadu!
Jako chmura śród lata ciężarna od gradu,
Ciągnąc z wiatrem ryczącym nad ziemią szeroko,
Gdzie przejdzie — w dole pusto — niebo ćmy zawloką —
Tak rycząc, z szczękiem broni, w ładzie i bez ładu
Pędzi jeźdźców tysiące — tuman, znak ich śladu. —

Koń rątszy jest od chmury, bagniet nie opoką!
Serce od skały tęższe! — W niewzruszonym rzędzie
Nasi stoją i milczą — już blisko przypadli. —
Jeśli jeszcze postąpi wściekła dzicz w zapędzie,
Koń dziarski w mgnieniu oka w szrankach naszych będzie!
Nasi milczą — czy jeźdźcy pewną śmierć odgadli?
Uciekają — strzelajmy! — Koń i jeździec padli!

V.

UDERZENIE NA BAGNETY.

Bęben zagrział — krok większy — zbliżać się zaczęto.
 Sto bagnetów na czele sterczy z pod ramienia
 Na ich ostrzu miljonów leżą przeznaczenia —
 I wrogów rośnie żołnierz w kolumnę ściśniętą.

Z stron obydwóch na wiatry chorągwie rozpięto.
 Z pokoleniami dzisiaj cale pokolenia
 Walczyć mają o palmę zwycięstwa, zniszczenia —
 Dziś tryumf albo drugie męczenników święto!

Więc naprzód! Tysiąc głosów z naszej strony wrzasło!
 Proch z panewki! — Zsypali — już biegną — skry broni
 Widać w kurzu — wróg strzelił — dym zaćmił — gdzie oni!

Wszystko jak w kotle jakim zawrzało i zgasło.
 Ale patrz — orzeł biały wieje przy pogoni —
 Pod nim trupy — i w niebo zwycięstw bije hasło!

VI.

SZTURM DO OKOPU ODPARTY.

Warczą kule w powietrzu — śmigają granaty —
 Jeden wpadł do okopu — kręci się i pęka —
 Zamięszanie — tam kadłub — tu noga — tam ręka —
 Tu ratują — tam z trupa krwawe ciągną szaty,
 Na wale znów windują do góry armaty.

Pod spiżu ciężarami ziemia gnije się miękka —
 Zwindowali — nabili — i kanonier kłęka
 I celuje — i pomści krwawej naszych straty.

Już lont swój zapalony drugi w rękę trzyma!
 Przyłożył — strzelił dym się skłębił — wzniosł i znika —
 Ale co za krzyk! — Wróg się do szturm pomyka.

Śmierć lub odparcie — innej nadziei już nie ma,
 Za broń! — kartacze w działa — śledzim go oczyma —
 Ognia wszyscy! — Wał urósł z trupów najezdznika!

VII.

Z W Y C I Ę Z T W O.

Jakiż to grzmot i krzyki i światło i chmury,
 Czy słońce nowe wstaje z błyskającej zorzy?
 W kłębach się ćmi migając stotysięcy noży
 I głos słyszę — to anioł śpiewa hymn u góry!

Śpiew ten zabrzmiał na dole zwyciężkami chóry,
 Jak człowiek prawowierny wyrok śpiewa boży;
 Nim mu śmierć palmę niebios na skronie położy,
 Nim po życiu doczesnem duch zabłąśnie wtóry.

To naszych okrzyk zwycięstw i spełnione losy!
 Dym opadł i grzmot ustał i krzyki ustały,
 A jak pięknej dziewczicy spływające włosy
 Twarz odsłonią — tak sztandar, wzniesiony w niebiosy,
 Opuścił żaglom zwycięstw na dół powiew cały:
 Meteorem za wrogiem błysnął orzeł biały.

VIII.

PUŁK NOWY.

Naszych szwadron rozbity — ratuj się, kto żyje!
 Już ucieczka jedyną żołnierza obroną,

Suwa koń — suwa jeździec — i broń ma spuszczoną
I przypadł na kark koński — koń wyciąga szyję,
A kopytem kurz miecąc wrogom w oczy bije.

Napróżno — liczne pułki z krzykiem w kurzu toną —
Już nie jednego z naszych przepędził grot łono;
Już i reszty nie schroni dziś skrzydło niczyje!

Nadzieja! — Jakaś garstka — tam — bliżej podchodzi —
Z krzyżem w ręku ksiądz na ich postępuje czele,
A cicho w ich szeregach jak przy mszy w kościele.

W tem: — «Ojczyzna niech żyje, przyjaciele młodzi!»
Wódz zawołał — i naprzód! — Bębny grzmią pułkowe —
Było widzieć jak czynem stwierdzili tę mowę!

IX.

SPOTKANIE KONNICY Z KONNICĄ W BORU.

Przednia straż dała ognia i ku nam ucieka,
Patrole w prawo, w lewo, jako bór szeroki,
I pierwszy pluton naprzód — życia koniom w boki!
Marsz, marsz z miejsca! — Wypadli człowiek na człowieka.

Krzyk — strzały — powstał tuman — nie dojrzy powieka —
Zwarł się pluton z plutonem, jak z jednej opoki
Dwa nadęte wytrysną, zewrą się potoki,
Nim z wód nieprzyjacielskich światu wzrośnie rzeka.

Ale patrz — pluton pierzcha — baczność! — W lewo, w prawo
Drugi pluton i trzeci lance do ataku!
Droga wolna — szlusować — rumak przy rumaku —

Marsz, marsz! Wypadli znowu i z krzykiem i wrzawą.
Tylko tą razą moskal przypłacił nam krwawo —
Trzech jeźdźców legło z moskwy przy każdym Polaku.

X.

POSTERUNEK NA STRACENIE.

« Wy idźcie! — Ja z wyborem zostanę młodzieży,
« Duszą naszą i ciałem będziecie zakryci;
« Na znak ogień rozłożym i zapalim wici
« Teraz idźcie, niech bęben do marszu uderzy.

« Jeśli jutro z nas który do was nie przybieży,
« Dajcie na mszę, niech kapłan ołtarze wyświeci
« I za tych modły wzniesie co w polu zabici!»
Zamilkł — poszli — i ogień błysnął jaśniej — szerzej.

Długo błyskał — żołnierze maszerują drogą —
Znikł — lunę tylko widać w chmurze malowanej —
Może i oni w niebo przyjęci zostaną!

Świta — jeżeli żyją — wnet powrócić mogą —
Przeszedł dzień — przeszło jutro — nowe błysło rano!
Na mszę dajcie! — Zabici — nie widać nikogo!

XI.

NAPAD NA OBÓZ NIEPRZYJACIELSKI.

Tli jutrzienka na wschodzie — zacząć się w krzaki —
Cicho z lasu — niech szabla nie brząka, nie błyska,

Ha! — patrzcie — tam na prawo — widać ich ogniska —
Kozak na przedniej straży wyrasta z kulbaki.

Zoczył nas — koniem na wschód wykręca majaki*),
Nie spodziewał się dzisiaj takiego zjawiska —
O — poznał — konia zwraca i w lot nazad pryska.
Więc i my żwawo naprzód rozpuścimy rumaki.

W prawo, w lewo i hurra w całym konia pędzie! —
Hurra! Zagrzniały trąby od końca do końca,
W obozie rwą się senni — zgiełk — wrzawa — krzyk wszędzie.

Ten ledwie dosiadł konia — ten już niedosiędzie —
Nie uciec najeźdźnikom od polskiego gońca!
Pięćset jeńców! — Czekajmyż wschodzącego słońca!

XII.

OSTATNI KANONIER.

Konie wszystkie poległy — żołnierze wybici —
Dowódca tylko jeden z dwoma pozostały,
Oszańcowany w trupy jak w zastępne wały,
Z dwóch armat ciągle bije, i dymi, i świeci.

Lecz napróżno — krwi, mordów wrogowie nie syci
Baterjami na zastęp uderzają mały;
Wkrótce się wróg zwyciężstwem zupełnem poszczyci —
Wody nie ma — spiż w ogniu — kurzą się zapaly.

*) «Wykręcają majaki kozacy» mówi się gdy znaki sobie dają zwracaniem w różne strony konia.

Więc strzelać zaprzestano — śród kul, w siarki dymie,
Trzech z lontami jak duchy migają się zdala
Nieszczęście! — Kula znowu jednego obala!

Co za krzyk? — Zkąd ten wystrzał? — czyjeś słyszać imię —
Imię wołając brata, spiż moczy w krwi bratniej
I znowu dym i świeci kanonier ostatni.

XIII.

PRZECZUCIE ŚMIERCI.

Już ogień rozłożyli szerokie dokoła,
Kręcą się koło strawy żołnierze strudzeni,
Tu głos słyszeć niezbożnych, tam nabożnych pieni;
Zdaleka straż co chwila, hasła głucho woła.

Jednemu tylko smutno — jego pieśń wesola
Nie rozśmieszy, nabożna tęsknoty nie zmieni,
I błądzi między wrzawą, jak śród grobów cieni;
I smutek mu na chwilę nie ucieknie z czoła.

Pytałem o przyczynę — nie odrzekł na to.
Myśleć z drugim, samotnie czuć zawsze jest milej;
Może i on przyczyny niewiedział w tej chwili.

Może płakał nad świeżą przyjaciela stratą?
Może się zegnał w sercu z rodzicielską chatą?
Nazajutrz — bitwa była — i jego zabili!

Dnia 10-go Marca 1833 o godzinie 4-go tej w Dreźnie.

Piersi moje zbolałe — myśli jako oczy
 Zadumanego wieszczą, drą się w czucia głębie,
 I myślami mojemu palę — drętwię — ziębię —
 I myślami mojemu, to raz duch proroczy
 Jak wywołana mara z ciemnej grobów cieśni —
 Wstaje, i świat przestrasza, i przyszłość odkrywa —
 To znów myśl jak żrenica na słońcu drażliwa,
 W łzach się topi, i kona w rozrzewnionej pieśni!

Wtenczas — o wtenczas — moje piersi samowładne!
 I w nich krew jak trysk światła z komety ogniska
 Trząsa sercem i z serca przez lica wybłyska;
 I przez oczy i usta — leci — mdleję — padnę —
 A duch mój skrzydłem wzbity wieszczego natchnienia,
 Gdy jak słońce świat okiem, mnie na wskroś przesięga;
 Myśl znowu jak słup pyłków gra w świetle promienia.
 Albo jak tęczy, w farbach rozwieszona wstęga.

W takiej grze — w takiej walce ustawnej — bez przerwy
 Myśli moje i czucie, duch, w różnym żywiole;
 Gdy myśli jako orły wypuszczę na wolę,
 Oczy ku słońcu ciągną — skrzydła ich nie pierwej
 Zmęczone na dół padną, aż serce się wzmoże.
 A gdy krew, a gdy czucie jak potoku łożę
 Wydnie, rozpręże wałów tysiące z tysiąca,
 Moja myśl jak ów obraz na wodzie powiewa:
 Nadbrzeżnego kamienia, cienistego drzewa,
 Chociaż go wał po wale co chwila roztrąca.

W nocach moich bezsennych, z rozwartą powieką
 Drżącą ręką, z uśmiechem przyjaźni, miłości?
 Sięgałem gdzie na wiatry daleko — daleko —
 I tuliłem do serca nie przytomnych gości!

W dzień często mówę moją, niespodzianie — nagle —
 Przerywam i gdzieś w czucia przypadku odměcie,

Jak ów majtek w odbitym od brzegu okręcie
Ginie gdy kompas stracił — wiatr poszarpał żagle.

Czasem znów w sercu żałość, śmiech na usta pada,
Czasem znak obojętny łyż z oka wywabi;
I gdy czucie wolnieje — serce bije słabiej —
Lśnią myśli jako w nocy świetlików gromada.

Z przeszłości rozruconych, zagasłych pamiątek,
Wtenczas powstają światy jak gmachu budowa
Tylko że czas już niczem — kres, chwila, początek —
Są tylko myśli jednej wyrażenia, słowa —
Myśli wiecznej — gdzie czary i skończoność ginie!
Lat tysiąc wtenczas mogę przeciągnąć w godzinie,
Lat tysiąc z niej wypłynąć, wyprząść się przed okiem —
I człowiek, zostać w duszy jako Bóg wysokim!

Kto to przeczuł — ten walkę uczucia i myśli
Zakończył — ten nie walczy — chce, myśli, i tworzy,
Jako w Oltarzu w nim się obudził duch boży;
I w duchu z bóstwem co dzień połączony ściślej
Codziennie zruca bardziej — prędzej — i na wieki —
Ciała swego ostatki jak suknie znoszone;
Aż w końcu ten co rozdarł przyszłości zasłonę,
I cielesne zasunie przed światłem powieki!

Wtenczas — o błoga chwilo — uwolniony z waśni,
Żywiołom skończoności, duch wraca do źródła,
Zkąd go na chwilę tylko myśl Boga wywiodła,
Ażeby na tym świecie było lepiej — jaśniej!

Czy i mój tak powróci? napróżno pytania
Nie raz ja o niebiosach, Bogu, świecie, marzę
Ale jeszcze godzina na moim zegarze —
Kto wie co za godzinę? — Czem mój duch zostanie?

Sypka popiołu może przez wiatry w przestrzeni
Rozgoniona, opadnie gdy wiatry ustaną.

Różni ludzie do różnych działań przeznaczeni,
Burzliwy mają wieczór gdy burzliwe rano!

Jam się w szkole nieszczęścia jako wiatr na górze
Wychodował wyrósł, jak wiatr może zginę;
Ale przeczekam jeszcze tę jedną godzinę —
I przyjmę z mężstwem równem na co bądź zasługę!

XIV.

KRÓL I GERMEK

ROMANS.

Niech germek śpiewa — skupiło się grono:
Germek wziął lutnię, ścisnął, mocno trzyma,
Lepszego nad nią przyjaciela niema!
Tak czule ścisnął lutnię, brząknął stroną,
I strony wszystkie w jeden akord zlewa.
Zabrzniały — wszyscy słuchają — on śpiewa:

«Dla mnie już szczęścia już nadziei niema
Każdej doznałem na świecie przygody,
Nic mię już teraz na ziemi nie trzyma.
Znałem niebiankę zapaleniec młody!

Goniłem lekkie rokoszy podmuchy,
Wzbiłem się w górę z niebieskimi duchy,
Z kopiją biegłem za sławą w zawody.
Znalazłem rozpacz zapaleniec młody!

Dla mnie już szczęścia już nadziei niema
Każdej doznałem na świecie przygody
Nic mię już więcej na ziemi nie trzyma
Poznałem rozpacz zapaleniec młody!»

«Precz z temi pieśni» — gniewni król zawoła
 «Precz mi! wyrzucić głupiego śpiewaka!
 Rycerz co wierzy w broń swą i w rumaka,
 Gdy krąży puchar roskoszy dokoła,
 Gardzi piosenką jeźli nie wesola.
 Ja wam zaśpiewam, lecz nie, kielich jeszcze
 Niech raz okrąży biesiadników rzędy!
 Wino rozognia uczucia popędy
 Pucharem śpiewniej brzmią natchnienia wieszczę »
 Ledwie Król wyrzekł, Paż w srebrnym pucharze
 Podaje trunek — kubki się ozwały —
 Wypili — umikł znówu orszak cały;
 Wszyscy czekają, co im Król rozkaże.
 On się tymczasem wyciągnął niedbalej;
 Głowę zagrzaną podpira ramieniem,
 Oczyma rzuca, w których się żar pali —
 W tem znak dał ręką, i ozwał się pieniem!
 A Bard najemny spogląda mu w oczy,
 Za jego myślą, brząka lutni stroną;
 To nią kołuje, to w kłęb stronę troczy —
 Król śpiewa, słucha biesiadników grono.

«Gdy rycerz dopadł rumaka,
 W biegu parsknął rumak żywi,
 Hasa, pedzi skrzydłem ptaka —
 Jakże rycerz ów szczęśliwy!

Kiedy w kniei gwar psów słyhać
 Strzelam i zwierz pada w chwili —
 Jakże miło tam oddychać
 W których piersiach kiedy milej? —

Gdy usiędę przy biesiadzie
 Wino tryska, Paż się zwija,
 Myśli płaczą się w nieładzie
 Czyjaż rokosz żywsza, czyja? —

A gdy koni i strzelb krocie
 I biesiada i dziewczyna,

Puhar tokajskiego wina,
 Drugi, trzeci przy ochocie —

Noc w pieszczoty jest bogata
 Dzień rozjaśnia szczęście wkoło
 Chciałbym żyć, przeżyć wesoło,
 Moje lata, koniec świata.»

W zamku rycerze pili i śpiewali.
 Za murem, który zamek w straży trzyma,
 Dźwięk słyhać lutni, i śpiew gernika w dali
 «Dla mnie już szczęścia i nadziei niema.»

CZĘŚĆ II.

W małej wiosce wśród ubogiej chatki,
 Siedział ów gromek — przy nim młoda żona,
 Ręce złożwszy na jego ramiona,
 I poglądając na wesołe dziatki:
 «Śpiewajmy» rzekła Wziął lutnię ze ściany,
 Śmiejąc się nucił i grał na przemiany:

«Wstać na pracę ze skowronkiem,
 Iść w ogrody lub na niwy,
 Wracać z zachodzącym słońcem!
 Zrana, w wieczór, jam szczęśliwy! —

Gdy ze strzelbą idę w pole
 Na twój obiad szukam ptaka,
 W wieczór widzę go na stole!
 Co za szczęście, rokosz jaka! —

Kiedy, w wieczór siedząc marzę
 U nóg dziatwa się uwija,
 Gdy drzemię przy dzieci gwarze
 Czyż rokosz żywsza, czyja? —

Noc w pieszczoty jest bogata,
 Dzień rozjaśnia szczęście wkoło,
 Chciałbym żyć, przeżyć wesoło,
 Moje lata, koniec świata.» —

Tak nucąc germek, ujrzał cienie pod oknami —
Był to Król który nocą wracał z polowania
I przed germka chałupą stał z towarzyszami,
Przywabiony odgłosem lutni i śpiewania.
I wcisnął oczy w szyby i widział zdumiony,
Tyle szczęścia w samotnym w cichym germka domu!
I uważał nadludzką piękność jego żony!
I pochyliwszy głowę, westchnął pokryjomu!
Germek ich poznał — prędko odjechali,
Długo w ciemności ścigał ich oczyma!
I słyszał tylko tę piosenkę w dali:
«Dla mnie już szczęścia, już nadziei niema!»

REDUTA ORDONA.

OPOWIADANIE ADJUTANTA.

WIERSZ ADAMA MICKIEWICZA

PRZYPISANY

JENERAŁOWI UMIŃSKIEMU.*)

Nam strzelać niekazano. — Wstąpiłem na działo
I spojrziałem na pole; dwieście armat grzmiało.
Artyleryi ruskiej ciągną się szeregi,
Prosto, długo, daleko, jako morza brzegi;
I widziałem ich wodza, przybiegł, mieczem skinął,
I jak ptak jedno skrzydło wojska swego zwinął!
Wylewa się z pod skrzydła ściśnionia piechota
Długą czarną kolumną, jako lawa błota,
Nasypana iskrami bagietów. Jak sępy
Czarne chorągwie, na śmierć prowadzą zastępy.

Przeciw nim sterczy biała, wąska, zaostrzona,
Jak głaz bodzący morze — reduta Ordona.

*) Wiersz ten pisany pod wpływem opowiadań Garczyńskiego, umieszczam między dziełami przyjaciela jako wspólną naszą własność. Poświęciłem go ostatniemu wodzowi polskiemu, który o sprawie naszej nierozpaczal i do końca chciał walczyć.

Sześć tylko miała armat — wciąż dymią i świecą;
 I nie tyle prędkich słów gniewne usta miecą,
 Nie tyle przejdzie uczuć przez duszę w rozpacz,
 Ile z tych dział leciało bomb, kul i kartaczy.
 Patrz tam granat w sam środek kolumny się nurza,
 Jak w fale bryła lawy, półk dymem zachmurza;
 Pęka wśród dymu granat, szyk pod niebo leci,
 I ogromna łysina wśród kolumny świeci.

Tam kula, lecąc zdala, grozi, szumi, wyje,
 Ryczy jak byk przed bitwą, miota się, grunt ryje; —
 Już dopadła, jak Boa wśród kolumn się zwija
 Pali piersią, rwie zębem, oddechem zabija.
 Najstraszniejszej nie widać, lecz słyszać po dźwięku,
 Po waleniu się trupów, po ranionych jęku:
 Gdy kolumnę od końca, do końca przewierci,
 Jak gdyby środkiem wojska przeszedł anioł śmierci.

Gdzież jest król, co na rzezie tłumy te wyprawia?
 Czy dzieli ich odwagę, czy pierś sam nadstawia?
 Nie, on siedzi o pięćset mil na swej stolicy
 Król! wielki samowładnik świata połowicy.
 Zmarszczył brwi, — i tysiące kibitek wnet leci;
 Podpisał, — tysiąc matek oplakuje dzieci;
 Skinął — padają knuty od Niemna do Chiwy. —
 Mocarzu jak bóg silny, jak szatan złośliwy,
 Gdy Turków za Bałkanem twoje straszą spiże,
 Gdy poselstwo Paryzkie twoje stopy liże;
 Warszawa jedna twojej mocy się urąga,
 Podnosi na cię rękę, i koronę ściąga!
 Koronę Kazimierzów, Chrobrych, z twojej głowy,
 Boś ją ukradł i skrwawił synu Wasilowy.

Car dziwi się — ze strachu drżą Petersburczany —
 Car gniewa się — ze strachu mrą jego dworzany —
 Ale sypią się wojska, których bóg i wiara
 Jest — car gniewny, — umrzem, rozweselim cara.
 Posłany wódz Kaukazki z siłami pół-swiata,
 Wierny, czynny i sprawny — jak knut w ręku kata.

Ura! ура! patrz blisko reduty, już w rowy,
 Walą się, na faszynę kładąc swe tułowy;
 Już czernią się na białych palisadach wałów —
 Jeszcze reduta w środku, jasna od wystrzałów
 Czerwieni się nad czernią, jak w środek mrowiska,
 Wrzucony motyl błyska. — Mrowie go naciska,
 Zgasł — tak zgasła reduta. Czyż ostatnie działo
 Stracone z łoża, w piasku paszczę zagrzebało?
 Czy zapał, krwią ostatni bombardyer zalał?
 Zgasnął ogień. — Już moskal rogatki wywalał.
 Gdzież ręczna broń? — Ach dzisiaj pracowała więcej,
 Niż na wszystkich przeglądach za władzy książęcej!
 Zgadłem dla czego milczy — bo nieraz widziałem
 Garstkę naszych walczącą z moskali nawałem.
 Gdy godzinę wołano dwa słowa: pal nabij;
 Gdy oddechy dym tłumi, trud ramiona słabi;
 A wciąż grzmi rozkaz wodzów, wre żołnierza czynność —
 Nakoniec bez rozkazu pełnią swą powinność.
 Nakoniec bez rozwagi, bez czucia, pamięci,
 Żołnierz jako młyn palny nabija, — grzmi, — kręci —
 Broń od oka do nogi, od nogi na oko:
 Aż ręka w ładownicy długo i głęboko
 Szukała, nieznalazła i żołnierz pobladnął —
 Nieznalazłszy ładunku, już bronią niewładnął,
 I uczuł że go pali strzelba rozogniona.
 Upuścił ją i upadł — nim dobiją, skona!
 Takem myślał — a w szaniec nieprzyjaciół kupa
 Już łazła, jak robactwo na świeżego trupa.

Pociemniało mi w oczach — a gdym łyż ocierał,
 Słyszałem że coś do mnie mówił mój Jenerał.
 On przez lunetę wspartą na mojem ramieniu
 Długo na szturm i szaniec poglądał w milczeniu.
 Nakoniec rzekł: stracona — Z pod lunety jego
 Wymknęło się łoż kilka; — rzekł do mnie: «kollego,
 Wzrok młody od szkieł lepszy, patrzaj, tam na wale,
 Znasz Ordona, czy widzisz, gdzie jest?» — «Jenerale,
 Czy go znam? — Tam stał zawsze, to działo kierował.

Niewidzę — znajdę-dojrzę! — śród dymu się schował.
 Lecz śród najgęstszych kłębów dymu ileż razy
 Widziałem rękę jego dającą rozkazy. —
 Widzę go znowu — widzę rękę — błyskawicę —
 Wywija, grozi wrogom, trzyma palną świecę,
 Biorą go, zginął, — o nie, — skoczył w dół, — do lochów!»
 «Dobrze» rzecze Jenerał — nieodda im prochów». —

Tu blask — dym, — chwila cicho — i huk jak stu gromów —

Zaćmiło się powietrze od ziemi wyłomów,
 Armaty podskoczyły, i jak wystrzelone
 Toczyły się na kołach; — lonty zapalone
 Nie trafiły do swoich panew. I dym wionął
 Prosto ku nam, i w gęstej chmurze nas ochłoniął.
 I niebyło nie widać prócz granatów blasku —
 I powoli dym rzedniał, opadał deszcz piasku.
 Spojrzałem na redutę — wały, palisady,
 Działa, i naszych garstka i wrogów gromady
 Wszystko jako sen znikło. — Tylko czarna bryła
 Ziemi niekształtnej leży. — Rozjemcza mogiła.
 Tam i ci co bronili i ci co się wdarli,
 Pierwszy raz pokój szczerzy i wieczny zawarli!
 Choćby Cesarz moskałom kazał wstać, już dusza
 Moskiewska, tam raz pierwszy Cesarza nie słusza. —
 Tam zagrzebane tylu set ciała, imiona:
 Dusze gdzie? — niewiem; — lecz wiem gdzie dusza Ordona. —
 On będzie Patron szkańców! — Bo dzieło zniszczenia
 W dobrej sprawie jest święte, jak dzieło tworzenia —
 Bóg wyrzekł słowo stań się, Bóg i zgiń wyrzeczcie,
 Kiedy od ludzi wiara i wolność uciecze;
 Kiedy ziemię despotyzm i duma szalona
 Obleją, jak Moskale redutę Ordona. —
 Karząc plemię zwycięzców zbrodniami zatrute,
 Bóg wysadzi tę ziemię, jak on swą redutę.



DRUKIEM F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.

